

2

WIADOMOŚCI
SIERAKOWICKIE

Biblioteka miesięcznika



ISBN 978-83-62042-08-1

2

Maria Dyczewska

OPOWIEŚCI

naszych starków



OPOWIEŚCI NASZYCH STARKÓW

Maria Dyczewska

OPOWIEŚCI

naszych starków



Gmina Sierakowice 2009

Opracowanie Graficzne i skład:
Pracownia Graficzna Bogusław Gliński Sierakowice

Zdjęcia pochodzą ze zbiorów prywatnych osób,
z którymi przeprowadzono wywiady.
Zdjęcie na okładce jest własnością autorki

Druk:
WDP „Bernardinum” Pelplin

Wydawca:
Gmina Sierakowice

© Copyright by Gmina Sierakowice
Sierakowice 2009

ISBN 978-83-62042-08-1

Chociaż (...) poczucie wyjątkowości stron rodzinnych towarzyszy człowiekowi przez całe życie, to może być ono wzmocnione przez różne doświadczenia jego biografii, a szczególne znaczenie przybiera w wieku starszym, kiedy nie tylko chętniej powraca się do wspomnień dzieciństwa i młodości, ale też coraz łatwiej przywołuje się odległe zdarzenia. (...) Powrót do miejsc dzieciństwa staje się w tym kontekście symbolicznym powrotem do źródeł, zatoczeniem kręgu dopełniającego interpretację własnego życia.

Kaja Kaźmierska *Biografia i pamięć*

Są ludzie, którzy żyją nie tylko długo i szczęśliwie, ale jeszcze mają doskonałą pamięć i talent do opowiadania. W ich biografiach odbijają się wielkie wydarzenia historyczne i mała historia lokalnych społeczności. Z potrzeby utrwalenia tych wspomnień, a także z potrzeby wzbogacenia naszej wiedzy o przeszłości powstał ten zbiór. W opowieściach moich rozmówców jest niemało takich obrazów, które bezpowrotnie odeszły w przeszłość. Nie chodzi jednak, by żałować, że coś minęło, lecz, by własne wyobrażenia o przeszłości budować z takich między innymi refleksów. Myślę, że w zebranych tu wspomnieniach znajdą ślady swoich korzeni liczni mieszkańcy sierakowickiej ziemi, a to umocni ich zbiorowe poczucie tożsamości i przywiązanie do naszej *rodnej*, kaszubskiej ziemi.

Dla mnie niezwykle cennym spostrzeżeniem było to, że w dziejach różnych osób pojawiają się podobne wartości. Przede wszystkim mam tu na myśli przywiązanie do rodziny

– ona jest najważniejsza w każdej opowieści. Szczególne znaczenie więzi rodzinnych przejawia się w trosce o przyszłość dzieci i w bohaterskim nieraz wzajemnym wspieraniu się rodzin rozdzielonych zawirowaniami historii. Oprócz tego silnie uwidoczniona jest w losach moich rozmówców uczciwa i odpowiedzialna postawa wobec obowiązków, których życie im nie szczędziło. Jakże oczywiste było dla nich branie na własne barki wielkich ciężarów! A mimo to potrafili radować się życiem.

Jak zbierałam te wspomnienia? Zamieszczone w niniejszym zbiorze opowieści zostały po raz pierwszy opublikowane w samorządowym miesięczniku „Wiadomości Sierakowickie” w okresie od 1996 do 2006 roku. Przez to dziesięciolecie wysłuchałam biografii prawie trzydziestu osób. Dlatego ówczesny czas teraźniejszy jest w niniejszej publikacji zupełnie odmienny od obecnego, co najwyraźniej widać poprzez fakt, iż moi rozmówcy w przeważającej części już nie żyją. Moje spotkania z nimi były długie, wielogodzinne, wcześniej zapowiedziane, nagrywane na dyktafon, potem przeważnie uzupełniane przez dodatkowe rozmowy. Czasami odwiedzałam mojego rozmówcę powtórnie, czasami tylko telefonicznie dopytywałam o szczegóły. Kolejność prezentacji poszczególnych historii życia ustaliłam wedle kryterium wieku; w ten sposób pierwsze wspomnienia zawierają w tle dzieje Sierakowic niemal od początków ubiegłego wieku, a końcowe – lata po drugiej wojnie.

Wszyscy moi bohaterowie całość a przynajmniej większość życia spędzili w Sierakowicach, albo w najbliższej okolicy. Są to przeważnie tak zwani prości ludzie, bo takich ta ziemia rodziła. Ich żywoty zawierają więc okruchy historii nam najbliższej, historii, która była po części wspólna dla naszych rodziców i dziadków. Ich młodość przypadała zwykle na dwudziestolecie międzywojenne i czasy drugiej wojny światowej, a że byli przeważnie Kaszubami, którzy z natury są silnie przywiązani do swojej *tatczëzny*, tylko pod przymusem opuszczali swoje strony i gdy mogli – powracali. Przeważnie uczyli się w tych samych szkołach, mieli wspólnych nauczycieli, modlili się i przyjmowali sakramenty w pobliskich parafiach, często znali się osobiście. Szczególne miejsce zajmuje w tych wspomnieniach postać księdza kanonika Bernarda Łosińskiego, który przez niemal pół wieku dwudziestego był niejako duchowym przywódcą ówczesnej

lokalnej społeczności. W wielu opowieściach moich seniorów pojawiają się odniesienia do tej niezwyklej osoby. Inny wspólny dla kilku biografii wątek to sprawa udaremnienia rozbiórki kościoła poewangelickiego w latach 50. ubiegłego wieku. Wydarzenie to pokazuje silne przywiązanie naszych przodków do Kościoła.

Kiedy moi rodzice odeszli z tego świata, wtedy uświadomiłam sobie, jak mało ich wypytywałam o przeszłość. Zaczęło mi brakować odpowiedzi na wiele pytań o ich życie, o ich młodość zwłaszcza. A przecież dzięki takiej wiedzy lepiej poznajemy i rozumiemy siebie. Tak więc z pragnienia lepszego poznania własnych korzeni wzięła się u mnie potrzeba do wsłuchiwania się opowieści naszych *starków*. To oni, pokolenie moich rodziców, mieli bardzo wiele wspólnych wątków w swoich historiach, bo dzielili dole i niedole życia na tej samej ziemi i w tym samym czasie. Mam nadzieję, że czytelnikom, podobnie jak mnie, te opowieści pomogą odnaleźć zagubione okruchy pamięci.



Pragnę szczególnie ciepło podziękować tym, bez których nie byłoby tej książki, czyli moim rozmówcom i ich rodzinom – za życzliwe przyjmowanie w swoich domach, za poświęcony czas i zaufanie, z jakim otwierali się przede mną opowiadając mi swoje przeżycia. Słowa wdzięczności kieruję też do zastępcy wójta Zbigniewa Fularczyka za pomysł na taką publikację, do wójta Tadeusza Kobieli za zgodę na sfinansowanie książki oraz do profesora Józefa Borzyszkowskiego za wyrazy uznania, które dodawały mi otuchy. Natomiast za dbałość o stronę techniczną oraz graficzną opracowania dziękuję Bogusławowi Glińskiemu.

Maria Dyczewska

Nigdy w ogniu. Józef Kos	11
Kaszubska matka. Waleria Kiedrowska	23
Pod urokiem orkiestry dętej. Jan Miotk	31
Furman u kanonika. Jan Piotrowski	41
O przodkach sióstr Reiter	51
Wnuczki o pierwszym wójcie. Otton Karszny	61
Po trudach życia błoga starość. Jan Grzenkowicz	73
Mistrz. Franciszek Młyński	83
Siostra Tymotea wspomina	95
Artylerzysta dzielny na zawsze. Konrad Gruchała	101
Truskawkowa potęga i gorycz. Bronisława Polaszk	109
Znawca dobrej kielbasy i motocykli. Brunon Kobiela	125
Całe życie w licznej rodzinie. Elżbieta Bronk	135
Prywatna wojna o tartak. Stanisław Bronk	145
Kaszubskość opisywana dla teatru. Aleksy Pepliński	161
Trzej bracia i las. Antoni Treder	171
Pół wieku doli i niedoli. Zofia i Edmund Lewiczowie	179
Stolarz, skrzypek i amator historii. Stefan Kolka	189
Dzielna Kaszubka. Stefania Zelewska	203
Spółecznik ze Starej Huty. Franciszek Syldek	215
Córka kowala, żona krawca. Helena Czaja	227
Uśmiech pani Stasi. Anastazja Błaszowska	235
Wybrała Gowidlino i pokochała pszczoły. Agata Stenka	243

Nigdy w ogniu

Rozmowę przeprowadzono w grudniu 1996 roku

Józef Kos

(1900–2007)

Józef Kos to jeden z najznamienitszych seniorów gminy Sierakowice. Jako dziewięćdziesięciosześcioletni staruszek jest w pełni sprawną na ciele i umyśle osobą. Chętnie wspomina dawne lata, ale równie dobrze orientuje się w teraźniejszości. Na przykład martwi się chorobą Matki Teresy i Vaclava Havla. Nie odmawia sobie drobnych przyjemności, pijąc nawet wieczorem kawę i paląc w niewielkich ilościach „klubowe”, nie ma też żadnych problemów ze spaniem, a na długowieczność posiada miodową receptę.

Urodził się 27 września 1900 r. jako syn Franciszka i Julianny z domu Wenta. Z żoną Agnieszką, z domu Jelińską z Janowa, miał pięć córek, które opiekują się ojcem od 1976 roku, gdy został wdowcem. Pochodzi z Bącza i tam spędził dzieciństwo. Przed południem chodził do trzyklasowej niemieckiej szkoły w Bączu, a popołudniami pasał krowy i gęsi – rodziców oraz sąsiada. Mówił, że było to odpowiedzialne zajęcie, bo krowy źle pilnowane można było stracić. Pewnego dnia jedna z nich zbyt łąpczywie zając trawę na porośniętych brzegach jeziora – wpadła do topieli. Jednak nie utonęła, bo zaradny Józek szybko pobiegł wezwać pomocy. Trzeba było silnych chłopów i powrozy, żeby krowę wyciągnąć z grzęzawiska. W wieku czternastu lat był „po szkole” i postanowiono, że będzie uczył się szewstwa. Chodził codziennie do Kamiennej Góry do kuzyna, który był szewcem. Zadaniem Józefa jako ucznia było przede wszystkim naprawianie starych butów.

Rodzice Józefa byli początkowo najemnymi pracownikami ziemskimi, ale wytrwale dążyli do tego, by mieć własne gospodarstwo. Najpierw ojciec kupił trzydzieści morgów w Bąckiej Hucie, ale tam niezbyt się zasiedzieli, bo w 1919 roku nadarzyła się okazja kupić gospodarstwo bliżej Sierakowic. Wcześniej ziemia ta należała do Niemca o nazwisku Gasta. Miejsce to było sporym wzniesieniem porośniętym licznymi sosnami, stąd nadano mu nazwę Sosnowa Góra. Ojciec Józefa, Franciszek, był drugim Polakiem, który wykupił część folwarku. Jako pierwsza,

jeszcze przed 1910 rokiem, na Sosnowej Górze zamieszkała rodzina Józefa Majkowskiego.

Jednak zanim Józef wprowadził się na Sosnową Górę, zdążył już zasmakować w wojaczce. Gdy skończył siedemnaście lat, a pierwsza wojna światowa miała się ku końcowi, został zmobilizowany do niemieckiej armii. Miejscem zgrupowania był Rastenberg (dziś – Kętrzyn), położony na terenie Prus Wschodnich. Z Bąckiej Huty na wojnę wyruszyło trzech Józefów – Bulczak, Kiedrowski i oczywiście Kos. Przez trzy miesiące szkolono ich na żołnierzy, przede wszystkim ucząc strzelania.

Po wstępnym przeszkoleniu przewieziono młodych wojaków daleko na Zachód, do Belgii. Stamtąd zaczął się wielotygodniowy marsz – codziennie musieli przebyć czterdzieści kilometrów, a celem był Kanał La Manche. Jednak nigdy do tego celu nie doszli, bo wojna się skończyła. Tak więc Józefa ogień wojny ominął.

Dużo trudniejszy okazał się powrót. W Niemczech zanosilo się na rewolucję, oficerowie puciekali, jechać nie było czym, więc znowu na piechotę zmierzali w stronę Niemiec. Szerzyło się bezprawie i kradzieże dla zdobycia jedzenia. Trzej Józkwie z Kaszub ciężko znosili tę sytuację. Trzymali się razem, bo tylko po kryjomu mogli rozmawiać własną mową. Z Niemiec już pociągiem zostali przewiezieni znowu na Mazury, do Rastenbergu. Tam dość szybko dostali zwolnienie do domu. Nie zatrzymały ich zachęty wojskowych kucharzy, którzy aż tam dowieźli część skradzionych i zaszlachtowanych wołów, żeby zaczęli kilka dni, aż zrobią kielbasy.

W drodze powrotnej musieli zgłosić się do *oberkomando* w Gdańsku, gdzie usilnie ich namawiano, by wstąpili do straży granicznej. Warunki były kuszące: zapłata 5 marek dziennie, a oprócz tego umundurowanie i wyżywienie za darmo. Jeden z młodzieńców dał się namówić i przystąpił do Niemców, ale Józef Kos z kolegą wrócił do swoich.

Pytam, jak to było, gdy nastała Polska. Pan Józef mówi tak: – Moment, gdy Polska z grobu powstała, to była wielka uciecha. Ludzie przeczuwali, że coś będzie; w Niemczech były niepokoje, a na wschodzie zaczęła się wojna bolszewicka. Ona do nas przyszła później i wtedy ksiądz Łosiński apelował, aby wszyscy szli do broni. Garnęli się ludzie z rodzin patriotycznych w różnym wieku – szli i piętnastoletni, i ponad pięćdziesięcioletni mężczyźni.

I tak po powrocie z pierwszej wojny, w maju 1920 roku, Józef Kos, tym razem jako ochotnik, znowu wyruszył na wojnę. Pierwsza zbiórka była w Kartuzach. Tam w parku dostali obiad i po dwadzieścia złotych. – Zanim wsiedliśmy do pociągu – wspomina pan Józef – między nami znalazł się ksiądz Makowski, który wcześniej uczył nas religii. Zawołał swoich uczniów i zaczął przemawiać. Najpierw



Józef Kos w mundurze z 1920 roku (z lewej)



Rower – niezbędny atrybut przedwojennego kawalera

„dał wzmocnienie religijne” i życzył szczęśliwego powrotu, a na koniec powiedział: – Nie wstyďte się swojej kaszubskiej mowy, jak pojedziecie do Polski.

Z Kartuz dotarli do Starogardu, tam dochodziło coraz więcej ochotników, ale nie było czym jechać dalej, więc czekali. Dostali wiadomość, że Polonia gdańska wiezie dla nich swój sztandar. Gdy zatem dotarli ludzie z Gdańska, którym przewodził Józef Ciszewski, urządzono bardzo uroczyste święcenie sztandaru. Kiedy w Starogardzie zebrał się już cały batalion ochotników, pociągi zaczęły ich wywozić. Pan Józef nie wyjechał jako pierwszy, gdyż był w oddziale, w którym były konie i wozy, więc trzeba było specjalnych wagonów do ich przewożenia. Ostatecznie zostali skierowani do twierdzy w Toruniu, tam znowu jakiś czas wyczekiwali. Gdy wreszcie dotarli na teren Guberni, nadszedł dzień rozstrzygającej bitwy – 15 sierpnia. Pan Józef mówi, że „drugi raz nie przyszedł w ogień”.

W wolnej Polsce mógł spokojnie dokończyć naukę zawodu i założyć rodzinę. W Sierakowicach otworzył warsztat szewski Jan Góra, który przed wojną pracował w fabryce obuwia w Berlinie, stąd znał się na najnowszej technologii wyrobu butów. Jak nastała Polska, wrócił tu pracować i ożenił się z Marią Szulfer z Puzdrowa. Pan Józef twierdzi, że dom, w którym miał warsztat Jan Góra, jeszcze stoi przy obecnej ulicy Podgórznej. Właśnie tam Józef Kos uczył się szewstwa. Najpierw został czeladnikiem, a w 1933 roku pojechał do Grudziądza do izby rzemieślniczej na egzamin mistrzowski.

Pierwszy swój warsztat miał Józef na Sosnowej Górze. Mówi, że w Sierakowicach w okresie międzywojennym było siedmiu szewców, m.in. Gafka, Klawiter, Karczewski, Dejk. Wszyscy mieli zamówienia na buty. Robili buty na różne pory roku oraz dla bardziej i mniej zamożnych. Najtańsze były za szesnaście złotych, większość za dwadzieścia-dwadzieścia pięć. Najdroższe były oficerki, kosztowały trzydzieści pięć złotych. Ale bogaty kawaler koniecznie musiał je mieć. Do tego jeszcze gruby *żakét* z sukna, futerkowa czapka, zwana, o dziwo, *klëką* oraz skórzane rękawiczki, „futrowane” królikiem. Gdy jeszcze taki kawaler jechał na *wreje* rowerem z czerwonymi oponami (po kaszubsku *mentlami*), miał szanse u najlepszej panny.

Józef na żonę upatrzył sobie Agnieszkę Jelińską z Janowa. Podkreśla jako jej zaletę to, że była *krawczką*. Pracowała nie tylko w domu, bo gdy ktoś był zamożniejszy i miał dużo do szycia, to zapraszał ją do swego domu. Nasz senior bardzo cenił rzemiosło. Do dziś powtarza za sierakowickim krawcem Kempskim, że rzemieślnik to ma złoty *gryńt*. Wyznawał już wtedy zasadę, że lepiej być rzemieślnikiem niż *gburem*. Bo też dobrze mu się wiodło.

Jeszcze jako kawaler kupił ziemię ze starym domem od Adama Majkowskiego przy obecnej ulicy Leśnej i zbudował tam dom, w którym mieszka do dzisiaj. W 1935 r. wprowadził doń swoją żonę Agnieszkę. Przed ślubem, kiedy trzeba było pójść na naukę przedmałżeńską do księdza Łosińskiego, zastanawiał się, co też tak znamienita osoba im powie, a usłyszał tylko jedną radę: - Nie zbliżaj się do swojej żony, gdy będziesz nietrzeźwy. Dostali też od księdza kanonika książkę, którą docenili jakiś czas później, bo było w niej o wychowywaniu dzieci.

I znowu pan Józef wyruszył w świat. Na początku września 1939 roku został internowany wraz z dużą grupą młodych mężczyzn. Do dzisiaj bez trudu wymienia nazwiska wielu z nich: Bernard Majkowski z Sosnowej góry, Alojzy Pawelczyk z Pustych Łąk, Jan Bulczak z Paczewa, Pepliński z Puzdrowa, dwaj krewni księdza Sychty też z Puzdrowa, dwaj szwagrowie Jelińscy – Brunon i Bernard, z Sierakowic Augustyn Reiter, Jan Bronk, Władysław Werra, Antoni Treder. Wieźli ich w bydlęcych wagonach przez Lębork do Bytowa, a na noc zagonili do stajni wojskowych. Wpędzający ich tam ludzie wrzeszczeli: - Tu jest wasza ojczyzna! Z postojami w stalagach dotarli do Norymbergii. Przed wejściem do lagru spędzono wszystkich na pole. Tam obstarpi ich dziennikarze z aparatami fotograficznymi, a nadzorcy Polaków objaśniali, że są to *polonische Schweine*.

Dwa i pół miesiąca byli trzymeni w namiotach. Spali na słomie, a jedli na obiad – jałową, niedogotowaną kapustę, a na wieczór – jeden kawałek chleba. Pan Józef pamięta, że był z nimi osiemdziesięcioletni człowiek, który miał bardzo poranione plecy. Opowiadał im, że to od poklucia bagnetem, bo ukrywał się w ziemniakach. Nie dożył końca internowania. Zanim jeńców zwolniono, zaczęto ich selekcionować. Nasi zostali włączeni do grupy z Prus Zachodnich. Już jako wybrani dostali ostatni, lepszy obiad – z fasoli, która też była niedogotowana – wspomina pan Józef. Otrzymali dokumenty, które pozwoliły im wrócić w rodzinne strony. Na dworcu w Sierakowicach czekał na nich tłum kobiet i dzieci. Żona Agnieszka z dwiema córkami była wśród nich. W domu pan Józef nakazał, żeby nie podawała żadnego obfitego jedzenia. On i szwagrowie zjedli na początek tylko chleb z kawą. I tak po raz trzeci był na wojnie, ale w ogień znowu „nie przyszedł”.

Dalsze lata okupacji to ciągle zmaganie się z obcą władzą. Najpierw od faszystowskich władz gminnych otrzymał pozwolenie na otworzenie warsztatu szewskiego, wkrótce potem odebrano je, bo pan Józef nie zgodził się przyjąć niemieckiej grupy obywatelskiej. Dostał nakaz pracy w Gdyni, dla okupanta, ale się od tego wywinął i najął się do pracy w jednym z sierakowickich warsztatów, który miał pozwolenie.



Józef i Agnieszka na ślubnym kobiercu; czarna suknia to zwyczaj z czasów zaborów



Józefowe hobby to pszczelarstwo

Kiedyś, wróciwszy z zebrania pszczelarzy, zastał splądrowane mieszkanie i obejście. To były ślady rewizji. Okazało się, że mieszkający nieopodal, na gospodarstwie wypędzonego przez okupanta Brunona Piotrowskiego, świeżo zniemczony listonosz otwierał listy i wyczytał w jednym z nich, że w domostwie Józefa Kosa ktoś się ukrywa. Jednak rewizja nic nie dała, nikogo nie znaleziono. A szukali Władysława Koszałki z Karczewka. Niemcy mieli niedokładne informacje, bo u Kosów ukrywały się przez dwa lata siostry Koszałki, którego cała rodzina została wypędzona z własnego gospodarstwa i zmuszona do zamieszkania w obozie.

Pan Józef dobrze pamięta noc sylwestrową z 1944 na 1945 rok. Już wszyscy wiedzieli, że Niemcy zbierają się do drogi. Po pustkach chodzili znani muzycyści z Patok – Miotkowie, którzy grali na instrumentach dętych. Gdy dotarli do domu Kosa, ten ich poprosił, by zagrali *Jeszcze Polska nie zginęła*. Stanęli na drodze i głośno zagrali. Pan Józef dzisiaj mówi: – Kto słyszał, ten się uzdrowił.

Nasz senior wspomina jeszcze uciekających ze Wschodnich Prus Niemców. Przez trzy dni znalazło w jego domu schronienie małżeństwo z dorastającym synem. Mówili, że dostali dobry przytułek. Gdy usłyszeli frontowe strzały, chcieli uciekać, lecz nie zdążyli. Rosjanie, którzy nadeszli poznali, że to Niemcy, ale nakazali im tylko odejść ze wsi. Zabrali jednak uciekinierom pochodzącym z Mrągowa dwa konie i wóz.

W pierwszych latach po wojnie Józef Kos starał się szewcować po dawnemu, ale się nie dało. W 1950 roku przysłano mu nakaz płatniczy, tzw. domiar na kwotę sto pięćdziesiąt tysięcy złotych! Wtedy poczuł się zmuszony do zamknięcia warsztatu. Innych szewców próbowano nakłonić do pracy w kolektywie. Istniała przez kilka lat w Sierakowicach spółdzielnia szewska, ale zbankrutowała. – Tak, jak ten kolchoz, co chcieli zrobić na plebanii – było trzech robotników, a czterech biuralistów, to nie mogło się udać – mówi pan Józef.

Już nie jako szewc, podjął pan Józef pracę w państwowej składnicy drewna i pracował tam aż do emerytury w roku 1965. Praca – mówi – była raz cięższa, raz lżejsza. Pracowali w różnych miejscach: w Sierakowicach, Kamienicy Królewskiej, a nawet w Kartuzach. Pan Józef znowu wspomina ludzi, którzy z nim pracowali i stwierdza, że tylko dwóch z nich żyje. Są to Leon Bulczak i Antoni Treder z Paczewa.

Pytam mojego rozmówcę o pszczelarstwo. To zajęcie, a właściwie hobby, któremu jest wierny od siedemdziesięciu lat. Z pszczołami ma same dobre wspomnienia, chociaż nieraz tego pożądliły. Ale miód zawsze był słodki. Do oporządzania pasieki wychował sobie następcę, którym jest zięć Konrad Pioch, chwalony za zdolności do tej niełatwej pracy. Przypuszczałam, że przy rozmowie o pszczołach usłyszę receptę

na długowieczność. Pan Józef mówi, że je więcej miodu niż mięsa. Rokrocznie zatrzymuje dla siebie dwanaście dużych słoików miodu. Najbardziej lubi go ze świeżym chlebem i masłem, a zapija kawą. Gdy wychodzę, jeszcze mnie upomina, żebym nie zapomniała napisać, że miód jest najlepszym lekarstwem, zwłaszcza dla ludzi starszych, a ze stanowiskiem dziarskiego seniora trudno dyskutować.

Kaszubska matka

Rozmowę przeprowadzono w styczniu 1997 roku

Waleria Kiedrowska

(1901–2004)

Jest na pewno jedną z najstarszych kobiet w naszej gminie, bo wkroczyła w 96 rok życia. Urodziła się 29 lipca 1901 roku jako czwarte z kolei dziecko Jana i Matyldy (z domu Treder) Klejnów w Patokach. Nie była ostatnim dzieckiem w rodzinie, bowiem ogółem było ich dziesięcioro – siedem dziewcząt i trzech *knôpów*.

Patoki, mówi pani Waleria, były na początku wieku taką maleńką wioseczką jak dzisiaj. Mieszkały tam dwie rodziny Miotków, Klasowie, Klawikowscy, Stencłowie, Furmanowie, no i Klejnowie. Mimo to po odzyskaniu niepodległości był we wsi sklep a nawet karczma. Rodzice Walerii mieli czterdzieści morgów ziemi, nie było to mało, ale i rodzina była liczna. Byli gburami dość nowoczesnymi, bo część ziemi przeznaczali pod uprawy ogrodnicze. Kapusta i marchew były tak dorodne, że ojciec Walerii pokazywał je na wystawach. W gospodarstwie były też zawsze dwa konie i co najmniej trzy krowy. Rąk do pracy było sporo, ale i gęb do wyżywienia nie brakowało.

Pani Waleria dużo pamięta ze szkolnych czasów. Dzieci z tamtej okolicy chodziły wówczas do szkoły w Sierakowskiej Hucie. Szkoła była z niemieckim językiem nauczania, chodziło się do niej sześć lat, a kończyło się tylko trzy klasy, bo nauka w każdej klasie trwała dwa lata. Jedno pomieszczenie przeznaczone było na nauczanie, a pozostałą część budynku składała się na mieszkanie dla nauczyciela. Moja rozmówczyni wspomina, że zawsze na początku i na zakończenie lekcji odmawiano modlitwę, po niemiecku. Jeden nauczyciel uczył wszystkich przedmiotów, tylko w poniedziałki i czwartki przyjeżdżała z Sierakowic inna nauczycielka i uczyła dziewczynki przyszywać guziki, wyszywać dziurki i trochę haftu krzyżykowego. Chłopcy w tym czasie grali w piłkę.

Pamięć Walerii jest imponująca, do dziś zna nazwiska nauczycieli, którzy w ciągu tych sześciu lat pracowali w Sierakowskiej Hucie: Borkowski, Hanut i Gackowski. Wspomina, że Pan Hanut, kawaler – mimo że był Niemcem – znalazł sobie wśród kaszubskich dziewcząt *brutkę* i wymykał



W otoczeniu niewielkiej części prawnuków

się na *wreje*, nawet w godzinach pracy. Mała Walerka i Jasiu Czaja byli na taką okoliczność wyznaczani do pilnowania porządku w klasie. Jednak nie było to zbyt wdzięczne zajęcie, bo inni uczniowie krzywo patrzyli na to, żeby ich rówieśnicy zastępowali im nauczyciela.

Pan Gackowski, który nosił okulary na złotym łańcuszku, miał żonę i dwoje dzieci oraz zwyczaj wykorzystywania uczniów do różnych prac w swoim domu. Waleria prawdopodobnie i w jego oczach zasługiwała na wyróżnienie, bo często – zamiast być na lekcji – opiekowała się dziećmi nauczyciela lub pomagała w kuchni. A gdy zbliżał się czas wizytacji, pan Gackowski szybko douczał Walerkę po lekcjach, żeby dobrze wypadła przy odpytywaniu przez inspektora. Z rodziną Gackowskich wiąże się jeszcze jedno wspomnienie – ich córeczka zmarła i została pochowana w Sierakowicach; chociaż nauczyciel niedługo potem stąd się wyprowadził, grób jego córki jest do dzisiaj na cmentarzu.

Z czasów szkolnych pamięta Waleria jeszcze i to, że zawsze mówiła wiersze podczas uroczystości szkolnych. Gdy zapytałam, z jakiej okazji były te uroczystości, to okazało się, że z zupełnie innych niż dzisiaj. Świętem w szkole był dzień urodzin nauczyciela, a także *roczężna*



Waleria Kiedrowska żyła sto trzy lata

cesarza Wilhelma II. Pewnego razu, żeby elegancko wyglądać podczas wygłaszania wiersza, Waleria poprosiła starszą krewną o błyszczące jak srebro pantofelki. Do dzisiaj wspomina ten dzień jako prawdziwą katastrofę! Buty, które pożyczyła były wyraźnie za duże i miała poważny problem, żeby zrobić choć jeden krok. Zwłaszcza że na co dzień dzieci nosiły na nogach drewniane *korki*, a jak się robiło ciepło chodziły do szkoły boso i tylko podczas ciężkiej zimy ubierały prawdziwe buty.

Pytam panią Walerię, co najbardziej lubiła robić, gdy była panienką. Odpowiada bez wahania, że uwielbiała tańczyć. Płasała przede wszystkim na weselach u rodziny i sąsiadów. Podkreśla, że tańczyła ze wszystkimi, ale najbardziej lubiła tańczyć ze swoim bratem Janem. Kiedyś rodzice postanowili, że nie pójdą na wesele do znajomych, bo było dużo roboty w polu. Gdy weselnicy spostrzegli, że Walerii i Jana nie ma, wysłali kogoś do nich na pole, żeby jednak przyszli. Nie musieli długo prosić – młodzi rzucili swe zajęcia, poszli się przebrać i już byli na weselu. Kiedy indziej, wspomina Waleria, przetańczyła całe wesele z policjantem. Ale na tym ich znajomość się skończyła.

Naręczonym Walerii został gburski syn, Feliks Kiedrowski, który jeszcze przed ślubem kupił gospodarstwo w Tuchlinie. Chodzili ze sobą jakieś pół roku i wcale nie mieli okazji potańczyć. Naręczony przychodził do Walerii zwykle w niedzielę i poznawał się wtedy bliżej nie tylko z nią, ale z całą rodziną. Przed samym ślubem chodzili kilkakrotnie do kościoła na naukę przedmałżeńską prowadzoną przez księdza Łosińskiego, u którego uiszczano się opłatę za ślub. Moja rozmówczyni pamięta, że w grupie, która chodziła na nauki, był niejaki Tempski. Od niego ksiądz nie przyjął opłaty, bo miał nieporządnie wyglądający, naderwany banknot.

Ze swojego wesela też najżywiej pozostały w pamięci Walerii obrazy związane z tańcem. Oto jacyś sąsiedzi nie przynieśli młodym prezentu, ale chcieli swoje zaniechanie nadrobić przy panieńskim tańcu. – Tańczyli ze mną przez dwie godziny bez przerwy i sypali na talerz pieniądze, aż bębnowało – opowiada ówczesna panna młoda po siedemdziesięciu pięciu latach. A ojciec i świadkowie liczyli te pieniądze. W dniu ślubu Waleria nie miała jeszcze ukończonych dwudziestu lat.

Skończył się czas tańców. Waleria zamieszkała u męża w Tuchlinie i tam wspólnie prowadzili gospodarstwo. Tam też urodziło się troje pierwszych dzieci: Brunon, Władysława i Stanisława. Młodym gospodarzom wiodło się nie najgorzej i postanowili kupić większe gospodarstwo. Nadarzyła się taka sposobność w pobliskim Janowie. Umówili się na spłacanie gospodarstwa przez wiele lat, ale nie zapisali tego notarialnie. Niestety, sprzedający okazał się człowiekiem nieuczciwym i po pięciu latach, gdy nastąpiła wymiana pieniędzy tzw. *bartoszy*, nie mogli z nim

dojść do porozumienia. Nie chcieli konfliktu przedłużać i – mimo że mieli już sześcioro dzieci – wrócili do domu rodzinnego Walerii, do Patok, gdzie rodzice dali im mieszkanie.

Mąż wynajmował się do pracy jako furman, przeważnie w lesie, a czasami woził kamienie. Wspomina go pani Waleria jako bardzo pracowitego człowieka, nigdy nie narzekał, że mu ciężko. Podkreśla, że mimo utrudzenia pracą zawsze pamiętał o pacierzu rano i wieczorem.

Ostatecznie, mieli dziesięcioro dzieci, po równo dziewcząt i chłopców. Czasy dla nich nie były łatwe, zwłaszcza podczas drugiej wojny światowej. Bardzo bolesne wspomnienia wiążą się z najstarszym synem, Brunonem. Był świeżo wyuczony na krawca, gdy wraz z dużą grupą młodych mężczyzn został przez faszystów wywieziony do łagru. Zabrano go prosto spod kościoła Św. Marcina, gdzie był na wieczornym nabożeństwie. Matka, chcąc pomóc przetrwać synowi obozowe życie, codziennie szykowała mu paczkę, którą zanoszono na pocztę do pana Bładowskiego. Dlatego codziennie, ponieważ nie można było jednorazowo wysłać paczki cięższej niż kilogram. Pytam, co mu pakowała. Mówi, że przeważnie wędzony *szpiek*. A gdy nadeszła zima, nie mogła mu wysłać butów, chociaż wiedziała, że ich potrzebuje. Wysłała więc tylko wełniane skarpety. Brunon pod koniec wojny wyładował w Anglii, stamtąd powrócił do kraju i zamieszkał w Lęborku. Nie żyje.

Jeszcze troje innych dzieci – Jan, Stasia i Sława – zostało przez Niemców skierowanych na roboty, ale szczęśliwie w pobliżu Sierakowic. Stasia – wspomina matka – to nawet trafiła do dobrych Niemców, Weizenbergów na Wygodzie. Dostawali tam dobrze zjeść nawet inni z rodziny, którzy przychodzili Stasię odwiedzać, a miała ona wtedy zaledwie szesnaście lat. Jan był u Niemca w Stążkach i musiał spać w chlewie z krowami.

Dzieci pani Walerii wojnę przeżyły, ale teraz nie żyje ich już pięcioro i to, jak mówi dzisiaj, są jej najtragiczniejsze przeżycia – śmierć i pochówek własnych dzieci. A byli to Brunon, Władysława, Urszula, Stanisława i Halina. Brunon był krawcem, Władysława pracowała w roszarni, Urszula zmarła w wieku dwóch lat, Stanisława była na gospodarstwie, a Halina dorobiła się renty na hafciarstwie.

Pozostałe dzieci też są dzisiaj emerytami lub rencistami. Synowie Leon i Jan pracowali na kolei, a Bolesław i Stanisław w cegielni. Córką Anna, z męża Stenka, która jak jej siostra haftowała kiedyś w Rękodziele Artystycznym, dzisiaj opiekuje się matką. Pani Waleria zamieszkała z rodziną Anny na Nowym Osiedlu w Sierakowicach czterdzieści lat temu, gdy została wdową. Cała liczna rodzina, która z jej małżeństwa wzięła początek, tu schodzi się w każde święta i uroczystości rodzinne, więc babcia Walerka na pewno nie czuje się osamotniona.

Bo jakże mogłaby się czuć opuszczoną osoba, której małżeństwo zaowocowało do dzisiaj trzydziestoma sześcioma wnukami, siedemdziesięciu czterema prawnukami i ośmioma praprawnukami? Gdy dodamy do tego synów z żonami i córkę z zięciem, to otrzymamy liczbę ponad stu dwudziestu najbliższych, kochających i kochanych przez nią – osób. Oto, co nam dała pani Waleria! Mówi skromnie, że nie było łatwo, ale wspólnie z mężem starali się dać dzieciom to, co od rodziców się należy. Uczyli modlitwy i pracy, a przede wszystkim pamiętali, że najlepiej uczy się poprzez własny przykład.

Pod urokiem orkiestry dętej

Rozmowę przeprowadzono w lutym 1997 roku

Jan Miotk

(1907–1999)

Wielu dzisiejszych seniorów może powiedzieć, że na ich weselu grali muzykanci z Patok. Bracia Miotkowie z Patok grali na weselach, zabawach, uroczystościach kościelnych, dożynkach, majówkach itp. Byli zapraszani w najbliższe okolice, ale również w dość odległe strony, np. do Rokit czy do Krępy za Lęborkiem. Wielu pamięta malowniczy widok, gdy „orkiestranczi” wracali z wesela – zawsze na rowerach, obwieszeni trąbami i trąbkami, z przytroczonymi do roweru bębnami, czasami odpoczywający na przydrożnej murawie i pogrywający od czasu do czasu na jakimś instrumencie. Niejeden pasący wtedy krowy z nostalgią wspomina, jak pięknie błyszczała w słońcu ta największa trąba orkiestry z Patok.

Jan jest jednym z braci Miotków, ma teraz 90 lat i chociaż zdrowie mu dopisuje a pamięć ma niezawodną, to najwyższa pora przybliżyć szerszej publiczności jego bogate życie. Rower to nadal jego środek komunikacji, a sąsiedzi mówią, że na mrozeńskiej górze schodzi z niego dopiero w połowie.

Rodzice Jana mieli jedenaścioro dzieci i chociaż ich osiemnastohektarowe gospodarstwo w Patokach należało do dużych, niełatwo było wychować taką gromadkę. Dlatego Jan, urodzony 12 listopada 1907 r. jako ósme dziecko w rodzinie, gdy tylko skończył obowiązkowe 6 lat nauki w trzyklasówce w Sierakowskiej Hucie, musiał myśleć o jakimś zawodzie. Starszy brat Leon akurat wrócił do Patok, wyuczony już kowalstwa aż w Borkowie i Jan zaczął z nim pracować w kuźni. Nigdy papierów kowalskich nie zrobił, ale właściwie, poza muzykowaniem, jego głównym zajęciem stało się kowalstwo. Dzisiaj zawód na wymarciu, a kiedyś – mówi pan Jan – roboty było wiele. Wieś nieustannie potrzebowała pługów, lemieszów, a czasami robiono i grubsze rzeczy – okucia do wozów i wasągów. W latach trzydziestych wyjechał Jan kowalować do miasta – do Orłowa. Koni do podkuwania było niemało, więc zarobek był, ale Janowi nie podobano się tam zbyt. Głównie

dlatego, że nie można było pracować wieczorami – żandarmi nachodzili kuźnię i upominali, żeby nie hałasować.

W okresie międzywojnia jeździł również na roboty na Żuławach. Pracował przy zbiorze buraków cukrowych, które wyciągało się rozdwojonymi na końcu widłami, a kto wyciągnął bardzo długi korzeń, ten dostawał premię. Przy wybieraniu ziemniaków ważne było, w którym miejscu pola dostało się pracę, bo jak w niewłaściwym, to o wiele dalej nosiło się duży korzec do kopca. A najtrudniej było podczas żniw, bo wtedy machało się kosą po kilkanaście godzin na dobę, na spanie czasu mało, a drobnej postury Jan musiał dorównać roslým parobkom. Gdy wracał po robotach do domu, największy problem miał na granicy, przed Gdańskiem. Starał się na Żuławach kupić ojcu liście tabaki, bo były lepsze niż u nas. Żeby celnicy ich nie przechwycili, owijał tymi liśćmi nogi, a papierosy i zapalki chował w rurkę od siodełka rowerowego.

Nuty po raz pierwszy zobaczył w latach dwudziestych, gdy śpiewał w chórze kościelnym prowadzonym przez organistę Cichosza. Nie był to z pewnością byle jaki chór, bo pan Jan pamięta, że w 1925 lub 26 roku zajęli drugie miejsce na konkursie w Wejherowie. Pytam przy okazji o wspomnienia dotyczące księdza Łosińskiego. Nie są zbyt radosne. Kiedyś, na krótko przed rozpoczęciem mszy, chłopcom z chóru przyszło do głowy wypróbować, czy mogliby uruchomić dzwony. Rozdzwoniły się tak, że ich bicia przez dłuższą chwilę nie można było uspokoić, rozpoczęcie mszy się opóźniło, a niesforni chłopcy dostali nie tylko każdy po kolei w tyłek, ale jeszcze ksiądz kanonik „na kazalnicy wymówił”, że w Patokach są łobuzy.

Jednak jak się zaczęło muzykowanie? Jan i jego brat Józef byli jeszcze kawalerami. Jan grał na trąbce altowej, a Józef na tenorowej. Byli z nimi: Franciszek Pelowski, który grał na trąbce pierwszej, Józef Treder ze Szklanej, grający na klawecie i Józef Młyński z Załakowa, którego specjalnością była tuba. Grał na niej również Bronisław Drywa. Każdy z nich opanowywał umiejętność grania także na innych instrumentach, żeby mogli się zastępować. Młyński grał również na skrzypcach, brat Józef na bandonii, a Jan nauczył się ostatecznie grać aż na... czterech instrumentach: oprócz wspomnianej trąbki grał na skrzypcach, perkusji i basie. Trochę później doszedł do tego składu jeszcze jeden wszechstronnie uzdolniony muzykant – Leon Puzdrowski zwany Dolina, który do dzisiaj daje słuchaczom radość muzykując na bandonii. Pan Jan podkreśla, że Leon najlepiej znał nuty i nauczył innych je czytać. Pytam natrętnie po raz któryś, jak się nauczyli grać, a pan Jan odpowiada: – Ano, złożyliśmy się i pouczali jeden od drugiego. Wreszcie zaczynam rozumieć, że oni po prostu byli bardzo zdolni, bardzo pracowici i bardzo kochali muzykowanie.



Jan Miotk w 1963 roku



Na początku istnienia Zespołu „Sierakowice” pan Jan wchodził w jego skład; stoi w środku, z prawej syn Zygmunt

Czasy wojenne nie sprzyjały muzykowaniu. Jan był dwa lata na robotach w Wejherowie, dorobił się tam choroby, ale jakoś ją przetrwał. Za to po wojnie posypały się zaproszenia, orkiestra miała duże wzięcie. W roku 1947 odbyło się w Gowidlinie wesele Leokadii Bigus z Władysławem Sychtą z Puzdrowa. Na tym weselu pan Jan poznał swoją przyszłą żonę – Zofię Cichosz, która była siostrzenicą panny młodej. Było to wesele inne niż większość. Pani Zofia mówi, że to było pańskie wesele. Krewnym młodego i ważnym gościem był tam ksiądz Bernard Sychta. Tańce zaczęły się od poloneza, a potem goście spacerowali po polach i orkiestra im przygrywała. Jan grał i nie miał wiele sposobności do tańczenia, ale raz zatańczył, a właściwie wziął udział w zabawie „mam chusteczkę haftowaną”. Wtedy poznał Zofię.

Dopiero po pół roku zajechał do Gowidlina, oczywiście – na rowerze. Po kolejnym półroczu Jan i Zofia pobrali się. Czasy były ciężkie. Jan pracował i muzykował. Mieli tylko siedem morgów ziemi a wynajęcie konia trzeba było odpracować. Zofia jeszcze przez dwa lata mieszkała u rodziców, bo nie mieli własnego domu. Dopiero w 1950 roku kupili



Wspólne świętowanie jubileuszy – złote gody Zofii i Jana oraz srebrne syna Zygmunta ze Stefanią

za 75 tys. zł powojenny, wojskowy barak, który wyglądał jak wagon i w nim mieszkali w Patokach sześć lat. Pan Jan wspomina jeszcze dzisiaj, że gdy się budzili w tym prowizorycznym domu, to żartowali, że jadą pociągami. Bardzo chcieli mieć własny, prawdziwy dom. Powstawał on z wielkim wysiłkiem. Na koniec sprzedali barak, żeby sprawić sobie do nowego domu okna i drzwi. Już 42 lata mieszkają w tym zbudowanym przez siebie domu. W nim wychowali dziesięcioro dzieci – 4 córki i 6 synów. Dzisiaj wspominają, że Zofia zawsze chowała dużo kur, dorabiała szyciem rękawic, a Jan chował świnię i dorabiał w lesie.

Kto jak kto, ale Jan Miotk widział wiele wesel i może nam opowiedzieć, jak wyglądały niegdysiejsze ożenki. Przede wszystkim nie odbywały się koniecznie w sobotę czy w niedzielę, tylko przeważnie w inne dni tygodnia. Zaproszenia na wesela często rozwoził drużba, oczywiście na rowerze. Gdy goście zaczynali się zjeżdżać, orkiestra już była i na ich powitanie grała marsza. Niektórzy goście rewanżowali się drobnym napiwkiem.

Przed wyjazdem do kościoła młodzi przyjmowali błogosławieństwo od rodziców. W niektórych domach panna młoda mogła przekroczyć rodzinny próg dopiero, gdy zapalono wiązkę kolendry, a dym z tego ziela okadził próg. Wtedy przeważnie grano *Kto się w opiekę*. Czasami gospodarze życzyli sobie, żeby orkiestra towarzyszyła weselnikom i w drodze do kościoła, i w kościele.

Raz się zdarzyło, że konie wiozące młodą parę zaparły się i ani rusz nie chciały zjechać na drogę. Cały sznur wozów jadących za nimi musiał się zatrzymać. Szeptano, że może konie coś przeczuwają i nie chcą, by do tego ślubu doszło. Jednak postanowiono konie wymienić na inne, te nie miały oporów i wesele się odbyło.

Po powrocie z kościoła grano już weselne melodie, chociaż w trakcie witania młodych chlebem i solą orkiestra wykonywała pieśń *Serdeczna Matko*. Potem już tylko tańce były grane. Najstarszy syn państwa Miotk – Zygmunt, który najwyraźniej odziedziczył po ojcu zafascynowanie muzykowaniem i od lat szefuje naszemu znakomitemu zespołowi folklorystycznemu „Sierakowice” – powiada, że ta orkiestra miała w repertuarze przede wszystkim dużo tańców ludowych, ale obok nich były też znane utwory profesjonalnych kompozytorów, takie jak marsz Radeckiego i Mendelssohna. A Pani Zofia wspomina, że tańczono kiedyś na weselach nie tylko polki i walce, ale także na przykład trojaka – wykonywanego przez trzy osoby, ze złożonymi figurami, i wcale nie był to łatwy taniec. Przed północą podawano weselny obiad a po nim następował kulminacyjny moment – zdejmowanie wianka. Całą ceremonię poprzedzał stosowny marsz. Panna młoda miała zawiązane oczy, była otoczona kręgiem obecnych wśród gości panien na wydaniu i zdjęty wianek z welonem rzucała do góry. Panna, której udało się go pochwycić, zostawała uznana za mającą największe szanse na zamążpójście. Podobnie było z panem młodym: po zawiązaniu oczu odczepiał od swej butonierki kokardę z maleńkim mirtowym wianuszkciem i wyrzucał do góry. Kawaler, który go złapał, stawał się partnerem wcześniej wyłonionej panny i oboje trzymali welon, do którego wkładano datki podczas *brutczégo tuńca*. Czasem welon podczepiano do sufitu, a datki trafiały do kapelusza. Taniec panieński był niekiedy źródłem znacznych dochodów, bo każdy starał się z panną młodą zatańczyć. Muzykanci też. Cały ten ceremoniał był przeplatany muzyką i stosownymi wierszami wygłaszanymi również przez muzykantów. Oto początek dłuższej, wierszowanej przemowy, którą przypomina pan Jan, a pani Zofia mówi, że ludzie zawsze podczas tego wiersza płakali:

Szanowni goście moi,
Opowiem wam krótko i wesoło
Podług starodawnego zwyczaju

Zachowanego dotychczas w polskim katolickim kraju.
Chociaż nie jestem ucząły,
Chciałem powiedzieć kilka słów dla Bożej chwały,
A wy, państwo młodzi,
Co przyjęliście sakrament w Kanie Galilejskiej,
Upadnijcie do nóg rodzicom waszym,
Podziękujcie rodzicom za wychowanie
I doprowadzenie do stanu małżeńskiego,
Bo to nie na godzinę i na rok,
Tylko na życie całe...

Inny zwyczaj weselny polegał na zabieraniu pannie młodej bucika. Kawalerowie się licytowali, wykładali coraz większe kwoty, wykrzykiwali, kto więcej da, ale ostatecznie pan młody przebijał wszystkich i zabierał bucik oraz wszystkie pieniądze. Na weselu uchodziło też nabierać gości. Pan Jan miał wypróbowany taki numer: brał wiadro z wodą, rękawice i głośno narzekał, że nie może złowić tej ryby. Ciekawscy się nachylali, a on ochlaprywał ich wodą. Inny dowcip Jana polegał na tym, że brał bryłkę rozmoczonego torfu, wybierał mężczyzn z wyraźnymi łysinami, rozsmarowywał im tę papkę na głowie i tłumaczył, że to najnowszy specyfik na porost włosów. Nie było w dobrym tonie obrażać się na autorów takich pomysłów.

Wesele dla muzykantów kończyło się później niż dla innych gości. Dopiero nad ranem albo i przed południem następnego dnia pozwalali sobie na skosztowanie weselnej wódki. Zygmunt wspomina, że kiedyś matka, zaniepokojona opóźniającym się powrotem ojca i wujka z wesela w Borzestowskiej Hucie, nakazała synowi tam pojechać i zmobilizować ich do powrotu. Nie przyszło mu to łatwo. Nareszcie ruszyli. Droga na borzestowskiej górze była natenczas bardzo wyboista, a obładowani instrumentami muzykanci ani rusz nie chcieli usłuchać prośb Zygmunta, żeby zejść z rowerów. W połowie góry stało się nieszczęście, muzykanci się poprzewracali. Bęben przedziurawiony, trąbki pogiete! A gdy Zygmunt dotarł wreszcie do ojca, którego wyrzuciło daleko od drogi, ten spokojnie spał z głową w wylocie największej trąby.

Dzisiaj Zofia i Jan Miotkowie są zadowolonymi z życia ludźmi. Cieszy ich, że wszystkie dzieci się usamodzielnily, zdobyły zawody, założyły rodziny. Najmłodszy syn, Andrzej, mieszka jeszcze z żoną i dwojgiem dzieci przy rodzicach, ale buduje obok piękny dom i też pewnie niedługo zamieszka na swoim. A oni są wdzięczni losowi, że mają renty, bo kiedyś starzy ludzie nie mieli takich zabezpieczeń. I pewnie zostaną do końca swoich dni w starym domu, w którym pamięć o orkiestrujących muzykantach jest wciąż żywa.

Furman u kanonika

Rozmowę przeprowadzono w marcu 2000 roku

Jan Piotrowski

(1908–2001)

Kolejny senior, którego poprosiłam o wspomnienia, mówi o sobie, że całe życie starał się nie opuszczać na dłużej Sierakowic. Zaczyna swą opowieść tak: – W Sierakowicach się urodziłem, tu dorobiłem się *pukla* (garbu) i tutaj umrę. Rzeczywiście, Jan Piotrowski tak kierował swoim życiem, by z Sierakowic nie wyjechać. W czasie wojny to ukrywał się, to załatwił sobie robotę u miejscowego Niemca. Listy niemieckiej nie podpisał i nie było też podstaw, aby został wzięty do wojska. Po wojnie starał się o pracę na kolei, jednak długo nic z tego nie wychodziło, bo proponowano mu dojeżdżanie do Gdańska lub Gdyni; dopiero, gdy znalazła się praca dróżnika w samych Sierakowicach z radością się na nią zgodził. Dzisiaj ma kolejarską emeryturę, obolałe nogi i przygarbione plecy. Mieszka dokładnie naprzeciwko domu, w którym się urodził 92 lata temu, przy ulicy Lęborskiej.

Na Janowej ojcowiznie mieszkali dwaj bracia Piotrowscy – Adam i Leopold, którzy ożenili się z dwiema siostrami – Łucją i Moniką Ramczyk z Gowidlina. Adam i Łucja byli rodzicami Jana. Był ich pierworodnym, a po nim na świat przyszło jeszcze dziesięcioro rodzeństwa. Ojciec Jana był robotnikiem, wynajmował się do różnych prac. Dłuższy czas pracował u aptekarza Wernicka, gdzie zajmował się produkcją oranżady. Jednak, gdy aptekarz sprzedał sprzęt do oranżady Pelplińskiemu, Adam musiał poszukać innej pracy. Zatrudniał go m.in. Brzeski, który miał karczmę. Pomagał też w pobliskiej rzeźni, a z czasem stał się samodzielnym *fleszerem* – ludzie zamawiali go, gdy mieli coś do „uszlachtowania”. Zdobył też popularność jako domorosły weterynarz; gdy gospodarzowi zaniemogła jakaś sztuka z inwentarza, to posyłano po Piotrowskiego, który widocznie tak znał i kochał zwierzęta, że wiedział, co im dolega. A że Piotrowskich było w Sierakowicach wielu, zaznaczano, że chodzi o Jadama. Jan dzisiaj mówi o ojcu: – Był nieborak „narobiały”.

Najstarszy syn Piotrowskich – nasz Jan – chodził do dwóch różnych szkół. Większość czasu spędził w szkole niemieckiej, a ostatnie lata



Rodzina Adama i Łucji Piotrowskich; Jan stoi trzeci z prawej

w polskiej. W szkole niemieckiej kierownik nazywał się Lepczyński i najprawdopodobniej dyscyplinę cenił sobie wysoko. Pan Jan pamięta go z tego, że zawracał z drogi uczniów, którzy przechodzili bez pozdrowienia. Gdy uczeń, drugi raz mijając nauczyciela, nie wypowiedział oczekiwanego *guten Tag*, Lepczyński udzielał mu dokładnego „pouczenia”. Niemiecka szkoła różniła się od polskiej również tym, że za nieobecność dziecka w szkole rodzice byli raz w miesiącu karani grzywną. Trudno dociec dlaczego, ale faktem jest, że gdy nastała Polska jeden budynek szkolny u zbiegu dzisiejszej Łęborskiej i Dworcowej sierakowiczanom już nie wystarczał. Lekcje odbywały się również w budynku za rynkiem (potem stare przedszkole), w którym wcześniej znajdowała się oddzielna szkoła dla dzieci niemieckich, a jedną salę lekcyjną urządzono w przyszej stolarni Roberta Kolki.

Młodzieńcze lata pana Jana, naznaczone ciężką pracą, były urozmaicone przynależnością do Katolickiego Stowarzyszenia Młodzieży, które działało pod egidą księdza kanonika Bernarda Łosińskiego. Wśród organizatorów różnych imprez mój rozmówca wspomina Wiktora Sassa i Kiedrowskiego. Zebrania mieli w niedziele, często wyjeżdżali



Posiłek przy wybieraniu torfu na „księżych błotach”; Jan drugi z lewej

na wycieczki rowerowe, na przykład do Wiela. Gdy przyjechali raz na zjazd do Gdyni, podczas defilady młodzież z Sierakowic otrzymała bardzo dużo braw, bo była pięknie jednolicie ubrana. Pan Jan do dzisiaj pamięta, jakie mieli czapki, pasy i że krawaty były żółte.

Po szkole Jan poszedł w ślady ojca i pracował w różnych miejscach – w lesie przy wyrębie drzew i wożąc z Kartuz konnym wozem towary dla karczmarza. Ale najdłużej, bo ponad 5 lat, pracował na gospodarstwie księdza kanonika Łosińskiego. Jego głównym zajęciem było obrabianie ziemi. Na plebanii był jeszcze drugi *kuczer*, Myszk, który przede wszystkim woził księdza kanonika, ale czasami i Janowi zdarzyło się wieźć księdza do chorego czy na odpust.

Na plebanijne gospodarstwo składało się około trzystu mórg ziemi, pięć a czasem sześć koni, jedenaście krów, a do tego niemałe ilości cieląt, świń i drobiu wszelakiego rodzaju. Jan pracował w dwa konie, za które był odpowiedzialny i szczególnie o nie dbał. Uważa, że ksiądz kanonik był zadowolony z jego pracy, bo nigdy nie usłyszał od niego żadnych zastrzeżeń, co nie znaczy, że go nie sprawdzał. Codziennie przychodził na pole – raz przed obiadem i drugi raz po południu. Ksiądz Łosiński



Jan z żoną Joanną stoją z lewej

zresztą był znawcą wielu spraw związanych z końmi, na przykład potrafił sam nałożyć im uprząż – i codzienną, i świąteczną. A kiedyś, gdy jechali na odpust do Sulęcyna, z przeciwka nadjechał samochód. Dla koni był to stwór nieznany, Jan potraktował je batem i został upomniany przez księdza, że nie powinien tego robić, ponieważ będą kojarzyły uderzenie bata z samochodem i zawsze będą reagowały nań strachem.

Z końmi wiąże się również inne wspomnienie o naszym niezapomnianym księdzu Łosińskim. Otóż codziennie rano Jan rozpoczynał swą pracę od *nafutrowania* koni. Plebanijna gospodyni miała klucze do spichrza i tam ważyła stosowną porcję zboża. Jan, który koniom mocno sprzyjał, unosił worek ze zbożem lekko ponad wagę, żeby uzyskać porcję nieco większą niż przepisowa. A gospodyni się śmiała, mówiąc, że teraz już wie, od czego jego konie są takie skoczne. Jednak niekiedy się zdarzało, że przy porannym obrządku w obejściach widać było kanonika. Jan wtedy nigdy nie pozwalał sobie na manewr z wagą, ponieważ ksiądz Łosiński, dbający bardzo o bezwzględną uczciwość pracujących u niego ludzi i stan swoich zasobów, potrafił zaurócić Jana do spichrza i sam ponownie zważyć worek. Mój rozmówca do dzisiaj się



Jedna z wycieczek Katolickiego Stowarzyszenia Młodzieży

dziwuje temu obyczajowi. Przecież – mówi – to były proboszcza konie i proboszcza zboże.

Pytam uprost, jaki był dla ludzi ksiądz Łosiński. Otrzymuję stanowcze zapewnienie, że był dobrym człowiekiem. A na dowód opowieść o tym, że kilka tygodni przed Gwiazdką kupował krowę, którą na plebanijnym wikcie podtuczano i na święta zabijano. Podziałem mięsa z tej krowy zajmował się sołtys Gronowski najlepiej wiedzący, ile i jakiej rodzinie przydzielić. Również w okresie świątecznym na sali widowiskowej za bankiem uczniowie wystawiali jasełka. Było w zwyczaju, że po przedstawieniu ksiądz Łosiński fundował dzieciom łakocie – orzechy laskowe i pieczone oraz całe kosze jabłek z plebanijnego sadu. Kolejka dzieci ustawiała się na scenie, a rozdziału pilnował nauczyciel. Nigdy nie odmawiał tym, które dwu- a nawet trzykrotnie wracały do kolejki. Pan Jan, chcąc podkreślić swoje przywiązanie do księdza Łosińskiego, mówi: – Gdyby on jeszcze żył, a ja bym mógł, to jeszcze dzisiaj chciałbym u niego pracować.

Na sierakowickiej plebanii, wśród dziewczyn tam pracujących była Joanna Wolff, która w 1938 roku została żoną Jana. Jej matka pochodziła z poznańskiego, ale w tym czasie rodzice panny zamieszkiwali

w Łyśniewie. Córka Piotrowskich, pani Zdzisia, opowiada, że rodzina Wolffów zawdzięczała księdzu Łosińskiemu wybawienie z biedy: gdy ojciec Joanny uległ nieszczęśliwemu wypadkowi podczas pracy w gdańskiej firmie i rodzina została bez środków do życia, ksiądz wystarał się dla nich o rentę. Młodość Joanny upłynęła na służbie – nie tylko na plebanii w Sierakowicach, ale także w Chmielnie, a później w Gdyni i Kartuzach. Gdy miała już własne dzieci, wciąż powtarzała, żeby tylko nie musiały iść w jej ślady, bo to bardzo gorzki chleb.

Po ślubie Jan i Joanna też zamieszkali na ulicy Lęborskiej, u Myszka, który w nowo wybudowanym domu pozwolił im wykończyć izdebkę i kuchnię. Tam przyszła na świat w 1940 roku ich córka Zdzisława a w 1944 roku syn Hubert.

W czasie okupacji, jak wszyscy młodzi mężczyźni, Jan pracował tam, gdzie było bezpiecznie, gdzie nie groziło wywiezienie na roboty. Najlepiej wspomina pracę u aptekarza Wernicke, u którego i ojciec kiedyś pracował. Mówi, że ten niemiecki aptekarz był dobrym człowiekiem. Ponieważ lekarza wówczas w Sierakowicach nie było, używano go często do chorego. Wernicke zaraz po powrocie przyrządzał lekarstwo i woźnica, który aptekarza woził do chorego, czekał, żeby zawieźć lek choremu.

Jan był chętnie wynajmowany przez właścicieli sklepów i zamożnych gburów do prac przeładunkowych. Słynął z tego, że nie bał się dźwigania ciężkich worków. Mówi, że jak trzeba było, to i dwa cetnary mąki zarzucił na plecy. Po wojnie Piotrowski jako ładowacz także miał powodzenie. Wspomina, że raz go zdenerwowali, gdy przy rozładowywaniu wagonów dostał większą zapłatę za wagon z workami niż za wagon z sypkim żytem – takie zasady rządziły socjalistycznym transportem. Gdy otrzymał upragnioną pracę na kolei, to największą radość sprawiło mu, że po okresie próbnym uzbierał się dla niego duży deputat węglowy. Miał tego węgla takie ilości, że mógł nimi obdarować jeszcze inne rodziny.

W domu naprzeciwko Piotrowskich przy ulicy Lęborskiej została po wojnie samotna, bezdzietna wdowa Marta Brzeska. Miała braci w Niemczech i w latach sześćdziesiątych do nich pojechała. Rodzinę Jana poprosiła o dogłądanie jej domu. Pan Jan przez rok codziennie chodził tam nocować. Pewnego razu otrzymali z Niemiec list od pani Marty z propozycją, żeby wprowadzili się do jej domu. Nie mieli pewności, jak postąpić. Poradzili się księdza Nowickiego, który był przez panią Martę poinformowany o jej planach. Ówczesny proboszcz jednoznacznie zachęcił ich, żeby się tam wprowadzili i dał im do zrozumienia, że komunistyczna władza mogłaby niezamieszkały dom przejąć. Dzisiaj żyją tam już ponad 30 lat – starsi państwo Piotrowscy, ich dzieci z rodzinami i zameżna wnuczka.



Dziewczyny w rodzinie Piotrowskich też były stowarzyszone

O przodkach sióstr Reiter

Rozmowę przeprowadzono w czerwcu 2003 roku

Nie zdarzyło mi się dotychczas w rozmowach z seniorami usłyszeć tak bogatej opowieści o przodkach, jak w przypadku rodziny Reiter. Trzy siostry – Anna, Bernadeta i Teresa – urodzone i mieszkające nieustannie w rodzinnym domu – kamienicy przy ulicy Kartuskiej w Sierakowicach, mają bogatą wiedzę o swoich protoplastach, a były to również osoby znaczące w historii naszej miejscowości.

Na początku rozmowy pokazano mi publikację Henryka Radomskiego z 1992 roku w „Wiadomościach Sierakowickich”, gdzie autor na podstawie niemieckojęzycznej kroniki szkolnej opisuje nauczycieli z czasów zaboru pruskiego. Oto co pisze między innymi:

„9 lutego 1860 r. przybył do Sierakowic nauczyciel A. von Tempski, autor pierwszych zapisów w kronice szkolnej. Pracował on początkowo sam w jednoklasowej szkole, ale od 1892 r. – gdy zatrudniono drugiego nauczyciela – przysługiwał mu tytuł „pierwszego nauczyciela”, co w ówczesnej hierarchii służbowej było równoznaczne z dzisiejszym dyrektorem. Nic nie wiadomo o jego wykształceniu. Można jedynie przypuszczać, że ukończył seminarium nauczycielskie w Kościerzynie lub w Grudziądzu, bowiem stamtąd rekrutowała się w tym czasie większość tutejszych nauczycieli. Niewiele wiemy też o jego stanie rodzinnym. Jego żona nie była nauczycielką, ale udzielała dziewczętom lekcji robótek ręcznych, za co otrzymywała wynagrodzenie w wysokości 45 marek rocznie. Jej mąż musiał być człowiekiem bardzo aktywnym, bowiem za zezwoleniem władz państwowych pełnił dodatkowo urząd rozjemcy, którego zadaniem było pozasądowe rozstrzyganie sporów. Ponadto był również skarbnikiem komitetu budowy szosy. 1 kwietnia 1898 r., po przepracowaniu 38 lat, A. von Tempski przeszedł na emeryturę. Jego dalsze losy są nieznane”.

Okazuje się, że na temat opisaney przez H. Radomskiego postaci jest więcej informacji. Adolf, bo tak brzmiało jego imię, von Tempski był pradziadkiem sióstr Reiter. Pochodził z Gdańska i tam brał ślub z Marią,



Adolf von Tempski z żoną Marią, autor pierwszej kroniki szkoły w Sierakowicach

prawdopodobnie z domu Gdaniec. Jego ojciec był leśniczym w naszych stronach; w rodzinnych przekazach podkreśla się, że większość obszaru Sierakowic była wówczas pokryta lasami, a miejscowość Stara Maszyna wzięła swą nazwę od usytuowanego tam tartaku. Po przejściu na emeryturę von Tempski wrócił do Gdańska. Miał sześcioro dzieci – dwie córki i czterech synów.

Córka Wanda wyszła za nauczyciela Rozmarowskiego, który prawdopodobnie jakiś czas pracował z jej ojcem w Sierakowicach, a ostatecznie zamieszkał w Gdańsku. Mieli dwóch synów i córkę, której mężem został z kolei nauczyciel o nazwisku Funk. Dalsze dzieje tej rodziny toczyły się w Berlinie; dwaj synowie Funków byli artystami – jeden kompozytorem, a drugi malarzem i zmarli kilka lat temu. Druga córka Adolfa – Klara – też ożeniła się z nauczycielem. Nazywał się Kreps i dodatkowo pracował jako organista w gdańskim kościele św. Franciszka.

A synowie naszego, można powiedzieć, pierwszego dyrektora szkoły wszyscy mieli konkretne zawody: jeden był prawnikiem, Brunon kupcem, Albert był nauczycielem. Pracował jako kierownik szkoły w Łobżenicy



Adolf von Tempski (syn) z żoną Martą i córkami – z lewej Anna, która młodo zmarła, z prawej Maria – matka sióstr Reiter

koło Górki Klasztornej, a ożenił się z kuzynką biskupa Kowalskiego. Czwarty z kolei syn, mający po ojcu imię Adolf – został krawcem. On był dziadkiem moich rozmówczyń i zamieszkał w Sierakowicach. Ożenił się z Martą Grabe, pochodzącą z Rumii i osiedlił się na trzydziestomorgowym gospodarstwie, kupionym mu przez ojca w posagu, przy obecnej ulicy Łęborskiej, na posesji, która potem należała do państwa Woźniaków i Koszałków.

Marta i Adolf mieli dwie córki: Marię i Annę. Anna zmarła w wieku 21 lat i to tragiczne wydarzenie spowodowało, że Tempscy postanowili zmienić miejsce zamieszkania. Ich druga córka, Maria, wyszła za Augustyna Reitera, syna zamożnych gospodarzy z Chmielna, którzy kupili mu nowy dom przy obecnej ulicy Kartuskiej i tam wszyscy zamieszkali. Tu należałoby zaznaczyć, że zdobiące do dzisiaj sierakowicki cmentarz, parasolowato rozłożone „żałobne drzewko” zostało 90 lat temu sprowadzone z zagranicy na grób młodziutkiej Anny przez matkę, która bardzo cierpiała po śmierci córki. W tej okolicy, czyli po lewej stronie od głównej alei, za krzyżem, znajduje się miejsce pochówku wielu przodków sióstr Reiter.

Maria i Augustyn pobrali się w 1919 roku. Ich córki to moje rozmówczynie. W 1926 roku urodziła się jako pierwsza Anna, rok później Bernadeta, a w 1932 Teresa. (Ona wyszła za mąż i obecnie nazywa się Byczkowska). Trzypokoleniowa rodzina – dziadkowie Tempscy, Maria i Augustyn Reiterowie oraz ich trzy córki – mieszkali wspólnie przez dziesiątki lat.

Dziadek był zawołanym krawcem. Przez całe dwudziestolecie międzywojenne, okupację i do 1950 roku, kiedy zmarł, kierował zakładem krawieckim. Było to tak zwane krawiectwo ciężkie, przeważnie męskie. Jako mistrz w swoim fachu, wyuczony zawodu w Gdańsku, miał niemało uczniów. Sprowadzał tkaniny z renomowanych firm i siostry Reiter wspominają, że już w latach trzydziestych jego klienci wybierali stosowny materiał ze specjalnego katalogu z próbkami. Między innymi był znany wśród księży, szył dla nich sutanny i miał zamówienia nawet z Pelplina.

Dziadek Tempski został zapamiętany przez swoje wnuczki jako człowiek bardzo pogodny, zawsze uśmiechnięty i ogromnie cierpliwy. Jego żona przez ostatnie pięć lat życia, a zmarła w 1943 roku, była obłożnie chora. Wiele razy dziennie odrywała swoim zbolalym wołaniem od pracy męża, a on zawsze cierpliwie spełniał jej prośby.

Dwie starsze siostry Reiter rozpoczęły edukację jeszcze w polskiej szkole przedwojennej, której kierownikiem był Leopold Szyć. Z nauczycieli wymieniają Szymańskich, Kosteckich, panów Kwidzińskiego i Perkowskiego, ale najmilej wspominają panią Wandę Nadolną, która uczyła klasy młodsze wszystkiego, w tym również religii. Mała Anna, gdy była w trzeciej klasie, tak ładnie wyhaftowała poduszkę, że pani Nadolna pokazywała jej pracę jako wzór w klasie siódmej. Zaczątki jej talentów do pracy z igłą objawiły się już wtedy, bowiem pani Anna była potem przez wiele lat cenioną i wziętą krawcową. Gdy nastąpiła okupacja i trzeba było chodzić do szkoły niemieckiej, siostry Reiter nie miały problemów językowych, ponieważ babcia Marta od małości rozmawiała z nimi po niemiecku.

Ważną postacią w życiu sióstr, jak i całej naszej społeczności, jest ksiądz Walter Reiche, od czterech lat honorowy obywatel gminy Sierakowice. Gdy w 1940 roku, na prośbę delegacji mieszkańców Sierakowic, do obowiązków duszpasterskich w Lęborku dołączył pokaźną wówczas sierakowicką parafię Św. Marcina, był wyjątkowo zapracowanym człowiekiem. Dopiero pod koniec okupacji zamieszkał na stałe w Sierakowicach. Na początku miał w plebanii tylko dwa pokoje – jeden na biuro, drugi prywatny. Resztę plebanii i ziemie używał Niemiec Erthmann. Ksiądz Reiche wielokrotnie na posiłki przychodził do państwa Reiterów. Pani Anna wspomina, że w niedzielę nosiła mu śniadania do plebanii, bo po odprawieniu nabożeństwa tutaj, śpieszył się na pociąg do Lęborka. Czasami jeszcze obsługiwał parafię w Gowidlinie.



Siostry Bernadeta i Anna Maria w strojach liturgicznych przyjmowały Pierwszą Komunię Świętą w roku 1937



Państwo Reiter z córkami i odwiedzającym ich księdzem Walterem Reiche w latach siedemdziesiątych

Był również chętnie zapraszany na uroczystości rodzinne. Pani Teresa z dumą pokazuje zdjęcie z jej uroczystości pierwszokomunijnej, na której gościem był też ksiądz Reiche. We wspomnieniach sióstr podkreślana jest jego szeroko zakrojona i pełna oddania praca duszpasterska. Gdy u Św. Marcina, po aresztowaniu kanonika Łosińskiego, pozostał wikariusz ks. Smoleński, odmówił on odwiedzin u obłożnie chorej babci Marty. Inaczej niż ksiądz Reiche, który mimo licznych obowiązków przychodził do chorej z posługą regularnie. Co ciekawe, to właśnie on zapoczątkował w parafii oddzielne nabożeństwa dla dzieci. Przedwojenna nauczycielka Wanda Nadolna, która nie mogła wówczas pracować w szkole, uczyła księdza Reichego języka polskiego, a niektórych Polaków – niemieckiego.

Odrębną kwestią były wizyty księdza Reichego u partyzantów, gdyż wymagały one nie tylko pewnego poświęcenia, ale również odwagi. Pamiętne było pójście do Kamienicy Królewskiej, gdzie w bunkrze u państwa Kwidzińskich ukrywali się ludzie z Gryfa Pomorskiego. Siostry Reiter opowiadają, że o północy przyszedł do księdza nieznanemu mężczyzna, ksiądz poszedł za nim nie wiedząc, gdzie idzie i z kim.

Ludzie, do których w końcu dotarli, pojedynczo i nieśmiało przychodzili doń wyspowiadać się i przyjąć komunię, a wyglądali bardzo źle, mieli szarą cerę, zarośnięte twarze i oczy pełne lęku. Jednak o takich sprawach ksiądz Reiche opowiadał dopiero po wojnie, gdy odwiedzał zaprzyjaźnione rodziny w Sierakowicach.

Ważną postacią w życiu sióstr był również ich ojciec – Augustyn Reiter. Miał wiele zawodów, dzięki swoim talentom dopasowywał się do wymogów chwili i robił to, co najlepiej zabezpieczało byt rodziny. Na początku, a przypomnijmy, że ożenił się i zamieszkał w Sierakowicach w 1919 roku, otworzył na zapleczu swego domu kuźnię. Jednak w latach dwudziestych, gdy budująca się Gdynia zaczęła być dla Polaków atrakcyjnym skrawkiem dostępu do morza, zatrudnił się tam jako sternik na stateczku spacerowym. Po sześciu latach takiej pracy zarobił tyle, że założył w Sierakowicach, na parterze swojej kamienicy, dwa sklepy: jeden z porcelaną i naczyniami kuchennymi, drugi spożywczy. Sklepy te dobrze prosperowały przez około dwadzieścia lat. Dopiero po drugiej wojnie trzeba było je zlikwidować. A właściwie zostały zlikwidowane przez sowieckich wyzwolicieli, którzy najpierw sami je splądrowali, a potem pozwolili grabić innym.

Żeby sklepy mogły istnieć podczas okupacji, Reiterowie przyjęli grupę volksdeutsche. Córki Augustyna podkreślają, że kilku mieszkańców Sierakowic, związanych z partyzantką, bardzo ojca namawiało do podjęcia takiej decyzji. Mówili: podpisz listę, to będziesz nam mógł pomagać. Rzeczywiście, pani Teresa pamięta, że ojciec nieraz dla niepoznaki sadzał ją na ramę roweru i jechał do jakiegoś gospodarstwa w okolicach Sierakowskiej Huty, żeby zostawić tam zapasy żywności dla ukrywających się.

Gdy w marcu 1945 roku wkroczyły do Sierakowic wojska sowieckie, a było to w piątek, już w poniedziałek zaaresztowano Augustyna Reitera. Wywieziono go na daleki Ural, w nieludzkich warunkach przetrwał tam siedem miesięcy, śpiąc na cemencie i jedząc, co się dało ukraść z pola. Aż z nieznanых do dzisiaj przyczyn, został przydzielony do grupy więźniów, która bydłecymi pociągami powróciła do Polski. Był wychudzony i chory. Niezadługo został oczyszczony z zarzutów. Najpierw podjął pracę jako maszynista w kamieniołomach w Mojuszu, a potem w cegielni na Długim Krzu. Jednak z czasem rozejrzał się za pracą w mieście; wiele lat był związany z firmą hydrauliczną w Gdańsku. Dla tej firmy opracował jakiś wynalazek, który został nawet opisany. Córki pamiętają, że zapłacono ojcu za ten wynalazek sporą kwotę – tysiąc złotych. Zmarł w 1978 roku, kilka miesięcy po śmierci żony.

Spędziłam dużo czasu na serdecznej rozmowie z paniami Reiter i panem Byczkowskim, ale przy takiej obfitości wspomnień z przeszłości nie starczyło czasu na rozmowę o teraźniejszości.

Wnuczki o pierwszym wójcie

Rozmowę przeprowadzono w marcu 2009 roku

Otton Karszny
(1875–1938)

Już wiele o nim napisano, zwłaszcza w „Wiadomościach Sierakowickich”, jako że był pierwszym wójtem Sierakowic po odzyskaniu niepodległości w 1920 roku. Ten wykształcony w pelplińskim Collegium Marianum Polak i Kaszuba stał się jedną z głównych postaci Sierakowic w czasach tworzenia tutaj państwowości polskiej. Otton Karszny całe dwudziestolecie międzywojenne spędził w Sierakowicach, aktywnie działał na niwie społecznej w przeróżnych dziedzinach, dość powiedzieć, że był bliskim współpracownikiem księdza kanonika Bernarda Łosińskiego. Wiemy, że jeszcze zanim oficjalnie przysłała do nas niepodległość, najpierw jako sołtys, zmienił nazwy ulic na polskie. Zadbął też o to, by tutejsze dzieci jak najszybciej mogły uczyć się języka polskiego i własnej córce zlecił to zadanie, sam podejmując się funkcji kierownika szkoły. Dla dorosłych zorganizował kursy dokształcające, żeby nauczyli się pisać i mówić po polsku. Oprócz tego wspólnie z księdzem Łosińskim tworzył Bank Ludowy, sklep polski pod nazwą Bazar i podejmował inne przedsięwzięcia, mające poprawić warunki życia tutejszej ludności.

Od strony matki wywodził się z rodziny o bogatych tradycjach patriotycznych, spokrewniony był między innymi z księdzem Gustawem Pobłockim, autorem pierwszego słownika kaszubskiego. W czasach zaborów bezwzględne prześladowania ze strony państwa pruskiego zmuszały go do ciągłych zmian miejsca zamieszkania, a był już wówczas żonaty i miał dzieci.

Dlatego uznałam, że ciekawie będzie ukazać życie Ottona Karsznego od strony prywatnej. Jakim był mężem, jakim ojcem, a jakim dziadkiem? Jaki obraz człowieka pozostał w pamięci jego potomków? Umówiłam się na spotkanie z dwiema wnuczkami Ottona – panią Lubomirą Andryskowską oraz panią Adelą Karwacką.

Zapytałam moje rozmówczynie wprost: czy taki aktywny społecznik był równocześnie oddanym rodzinie ojcem i dziadkiem. Niestety, ich odpowiedź nie była twierdząca. O zabezpieczanie bytu rodziny bardziej

troszczyła się żona Ottona – Julianna z domu Walkusz. Wniosła mężowi w posagu majątek rolny w Mojuszewskiej Hucie, który byli zmuszeni sprzedać, ponieważ na Ottona „posypał się grad mandatów karnych i grzywien”¹ za to, że uświadamiał miejscową ludność, iż są Polakami. Potem próbował w Tuchlinie założyć oberżę, znowu pruskie władze nie dały mu pozwolenia. Jeszcze starał się usamodzielnąć, kupując od Żyda kamienicę w środku Sierakowic, jednakże tutaj również robiono mu trudności „z przywłaszczaniem”.

Nie mogąc wśród swoich, czyli wśród Kaszubów, usamodzielnąć się, przenosi się do Gdańska. Tam wynajmuje obszerne mieszkanie i urządza w nim tajną szkołę języka polskiego i historii dla ludności polonijnej. Nie ogranicza się do pracy we własnym domu, współpracując z działaczami Polonii Gdańskiej wyjeżdża na przedmieścia i do okolicznych wsi z odczytami i wykładami. Już wtedy jego żona Julianna w tym dużym mieszkaniu uruchamia jadalnię, żeby pozyskać jakieś środki na utrzymanie. Wnuczki mówią, że w rodzinie zachowało się takie wspomnienie: tam był duży pokój i duży stół. Warunki dla funkcjonowania jadalni i – dodajmy – dla tajnego nauczania też. Mieli już wtedy czworo dzieci: córki Wandę, Adelajdę i Kazimierę oraz syna Leona.

Nadal trapiiony przez pruskich żandarmów w 1910 roku przenosi się do Duisburga w Nadrenii. Otton nadal oddaje się pracy społecznej wśród robotników polskich, jest korespondentem polskich czasopism, ale jednocześnie dzięki poznaniu takich ludzi jak późniejszy wojewoda pomorski Brejski i inżynier Kwiatkowski – otrzymuje płatną pracę. W Duisburgu urodziło się dwoje najmłodszych dzieci Karsznych: syn Kazimierz i córka Maria Apolonia. Wanda, najstarsza córka Karsznych a jednocześnie matka mojej rozmówczynie pani Andryskowskiej, wspominała, że jako uczennica szkoły w Duisburgu pisała wypracowanie o zasługach cesarza Wilhelma. Nie bardzo jej to szło, więc ojciec zainteresował się, nad czym jego córka tak się męczy. Gdy zajrzał do zeszytu, powiedział do Wandy: – To wszystko jest lichy, ja ci napiszę dobrze. Jak napisał i uzasadnił, że ten cesarz jest wrogiem Polski, to wezwano go do szkoły, a Wanda miała niemałe przykrości.

Wrócili do Sierakowic najprawdopodobniej około 1914 roku. Ponieważ Otton Karszny dość szybko dał się poznać tutejszej władzy jako patriotę, głoszący, że niedługo wróci tu Polska, za przyczyną pruskiego wójta Hübnera zostaje w 1915 roku wcielony do wojska. Był najpierw na froncie rosyjskim, potem na zachodnim. Został ranny, ale z nogą w gipsie podjął

1 Ze wspomnienia o Ottonie Karsznym, opublikowanego w pierwszą rocznicę jego śmierci w czasopiśmie „Kaszuby” przez Andrzeja Bukowskiego, przedruk [w:] „Wiadomości Sierakowickie”, nr 11/1992, s. 3–4.



Otton Karszny z żoną Julianną w Mojuszewskiej Hucie



4 czerwca 1933 r. – Zielone Świątki u pp. Karsznych. Otton Karszny z małżonką Julią, trzymającą na rękach Mirkę Andryskowską, stoi syn Kazimierz, siedzi od lewej Wanda – córka Ottona, stoją wnuczka Halina i córka Ottona Kazia

znowu propagowanie polskości wśród żołnierzy polskiego pochodzenia, więc oddelegowano go do baonu telegrafistów, gdzie byli sami Niemcy. Zachorował na serce i dzięki polskiemu lekarzowi dopiero w 1918 roku otrzymał zwolnienie z armii. Wrócił do Sierakowic i gdy tylko wojsko polskie wkroczyło na Pomorze i bardzo serdecznie było witane przez Sierakowiczów – Karsznego wybrano najpierw sołtysem. Jego pierwszą decyzją była, wspomniana na początku, zmiana nazw ulic na polskie. Po kilku miesiącach, w grudniu 1919 roku, mimo że jeszcze urzędował wójt Hübner, ludność miejscowa obwołała wójtem Karsznego. Ten „celem podniesienia nastroju narodowego rozkazał (...) godła pruskie zdejmować i do tychże strzelać”².

Dziewięć lat był Otton Karszny wójtem. Nie ma szczegółowych informacji o tym, na czym polegała jego praca. Jednak pośrednio możemy się

² tamże s. 4.



Przed wejściem do byłego Urzędu Gminy w Sierakowicach przy ul. Słupskiej
– Otton Karszny z żoną po środku w otoczeniu rodziny



Zaręczyny córki Adelajdy z Józefem Kaczmarkiem – 1924 rok

domyślać, że we wszystkich inicjatywach społecznych, które w Sierakowicach miały miejsce, uczestniczył. Zaraz na początku, w 1920 roku, wspólnie z księdzem Łosińskim werbują ochotników do walki z nawałą bolszewicką; z terenu parafii Sierakowice na wojnę wyrusza baon wojska.

Pytam moje rozmówczynie o to, czy dzieci wójta Karsznego były wykształcone. Otóż tak, o to w rodzenie dbano i każde dziecko otrzymało przygotowanie do życia. Córki uczyły się w szkołach dla dziewcząt. Najbardziej zachowała się pamięć o tym, że Kazimiera uczyła się w Miłowodach koło Obornik w szkole prowadzonej przez panią Kurkowską, która wcześniej była kucharką u królowej angielskiej. To było w 1929 roku. Potem wyszła ona za mąż za Ignacego Jakubka, który pochodził z Lipusza, a był wyuczony na leśniczego w szkole pod Poznaniem. Zginął w 1944 roku w Sarajewie jako żołnierz wermachtu. On był ojcem mojej drugiej rozmówczynie – pani Adeli. Jej matka po wojnie była pierwszą szefową w sierakowickiej restauracji Jantar.

Adelajda była pupilką ojca, co jeszcze teraz z maleńkim przekąsem się podkreśla; ukończyła roczny kurs w Pelplinie i z nakazu ojca była pierwszą polską nauczycielką w Sierakowicach po odzyskaniu niepod-



Majówka w 1931 rok

ległości. Wyszła za mąż w 1924 roku za celnika, który pracował na punkcie granicznym w Gowidlinie, jeździł na koniu i nazywał się Józef Karczmarek. Za wojnę bolszewicką otrzymał Virtuti Militari, więc łatwo można się domyślić, że jego patriotyzm został w rodzinie Karsznych doceniony. Karczmarkowie zamieszkali potem w Gdyni, gdzie mąż Adelajdy również był celnikiem. Na początku drugiej wojny został aresztowany i zginął w nieznanych okolicznościach. Długo modlono się o jego powrót, a w rodzinie przetrwała anegdota, że najpierw modlono się o jego rychły powrót i odzyskanie pieniędzy, które przepadły wraz z aresztowanym, lecz w miarę upływu czasu już tylko o powrót Karczmarka.

Wanda uczyła się w Niemczech w szkole zawodowej – przysposobienia do kupiectwa i pracowała najpierw w sklepie państwa Burskich, a potem w utworzonym w Sierakowicach z inicjatywy społecznej sklepie wielobranżowym pod nazwą Bazar. Przy tej pracy poznała swojego przyszłego męża – Wiktora Sassa. On również był wyuczony zawodu kupca, pracował w Wejherowie i tam go wypatrzył ksiądz Łosiński. Zaproponowano mu stanowisko kierownika w zakładanym w Sierakowicach Bazarze, przyszedł więc do pracy, a potem ożenił się z córką

wójta. Najprawdopodobniej miał temperament społecznikowski, bo stał się, obok księdza Łosińskiego i wójta Karsznego, ważną i popularną w środowisku osobą. Był zaangażowany w przeróżne lokalne organizacje, moje rozmówczynie wymieniają między innymi: chór Lutnia, Katolickie Stowarzyszenie Młodzieży, Polski Związek Zachodni oraz straż pożarną. Pełnił w tych organizacjach różne funkcje i dlatego od początku drugiej wojny poszukiwało go gestapo. Uratowała go kuzynka, która przysłała do mieszkania Sassów i uprzedziła, że gestapo przyjdzie po Wiktora. Mieszkanie mieli przy Rynku i trzeba było szybko zbiec po schodach, żeby zdążyć przed Niemcami. Ale Wiktor był uparty, nie chciał uciekać, mówił, że „nic im nie zrobił”. Gdy zdesperowane kobiety w końcu namówiły go do opuszczenia mieszkania, to będąc już na ulicy zobaczył, jak gestapowcy prowadzili miejscowego restauratora Tadeusza Wilge; wtedy uwierzył, że jest też w niebezpieczeństwie.

Natomiast synowie wójta Karsznego nie zwiążali swych losów z Sierakowicami. Kazimierz uczył się w gimnazjum w Wejherowie, a po wojnie został nauczycielem. Natomiast starszy syn Leon „uczył się na kupca”, jak mówią moje rozmówczynie, a pracował w Warszawie w firmie maklerskiej. Tam też zginął w czasie okupacji. Córka Maria Apolonia, mimo że najmłodsza, zmarła najwcześniej.

Babcia Julianna zajmowała się, tak jak kiedyś w Gdańsku, tak również w Sierakowicach – prowadzeniem jadalni. Zarabiała w ten sposób za życia męża i później jako wdowa. Zapobiegliwie starała się o środki na utrzymanie rodziny. Z posiłków w jadalni pani Karsznej korzystali ludzie pracujący w straży granicznej i w policji. O babci Juliannie wnuczki mają wiele ciepłych wspomnień. Przede wszystkim słyszała z ogromnej pracowitości, w rodzinie mówiło się, że nigdy nie miała wolnych rąk. W pamięci kilkuletnich zaledwie wnuczek zachował się obraz babci siedzącej pod piecem przy kołowrotku; jak już wszystko zrobiła, to przędła wełnę. Inną cechą charakterystyczną babci Julianny była wielka dbałość o estetyczny wygląd. Zawsze pilnowała, żeby jej dzieci były nie tylko schludnie, ale i ładnie ubrane, a sama znana była z tego, że nigdy głowy nie nakryła chustką – musiał to być kapelusz albo toczek. Wnuczki mówią: – Była za fajnym!

Pytam je o to, jak wyglądała znajomość wójta z księdzem kanonikiem Łosińskim. Okazuje się, że oprócz łączącej ich bardzo szeroko zakrojonej pracy społecznej, w wolnych chwilach z upodobaniem grali w karty – przeważnie w skata, czasami w baškę, ale nigdy nie na pieniądze! Tej rozrywce panowie zawsze oddawali się na plebanii.

Z księdzem Łosińskim wiąże się też zabawne wspomnienie pani Lubomiry. Jako niespełna czteroletnia dziewczuszka lubiła bardzo zachodzić do kościoła, gdy nabożeństwo odprawiał ksiądz kanonik. Rozsiadała się

w tak zwanych „pańskich ławkach”, żeby ją zauważył, a po nabożeństwie siadała na bocznych schodkach, prowadzących do plebani. Gdy kanonik zastawał ją tam przycupniętą, to zawsze wynajdował w sutannie dziesięć groszy i mówiąc: „Chodź, Pyrda” dawał je dziewczynce. Pyrda – jak żartobliwie wołał na wnuczkę wójta kanonik – zaraz biegła do sklepu sióstr Berendt i zamieniała pieniędzy na ulubiony smakołyk czyli kolorowe słodkie jajeczka.

Otton Karszny oprócz pracy społecznej dużo czasu przeznaczał na pisanie; publikował w czasopismach, chociaż większość jego pisarstwa pozostała w rękopisie. Pisał nie tylko po polsku, ale również po kaszubsku. Wnuczki przypominają sobie, że dziadek Otton podczas pisania często prosił córkę Adelajdę, żeby mu śpiewała, bo wtedy lepiej mu się pisało, a trzeba podkreślić, że miała piękny głos. Ulubioną dziedziną Karsznego była historia i pozostawił opowiadania o księżętach pomorskich, które publikowano w odcinkach w „Pielgrzymie” i „Gazecie Kartuskiej”. Również ważniejsze wydarzenia z dziejów Sierakowic starał się utrwalić, między innymi opisał sprawę zniknięcia dzwonów kościelnych. Pod koniec życia, będąc w kartuskim szpitalu, opisał swoje wspomnienia z czasów wojny.

Gdy Karszny był wójtem, mieszkał z rodziną w budynku przy dzisiejszej ulicy Słupskiej, tam również była wówczas, a także w kolejnych dziesięcioleciach, siedziba urzędu gminnego. Potem jeszcze kilka razy zmieniali miejsce zamieszkania, a pod koniec lat trzydziestych mieszkali przy Rynku, w domu Okroja. Mimo że pani Lubomira miała zaledwie cztery lata, pamięta obrazy z pogrzebu dziadka Ottona. To był styczeń 1938 roku. Na sierakowickim Rynku zgromadziło się bardzo wielu ludzi, sztandary, mundury, feretrony. Z mieszkania Karsznych uroczyście wyprowadzano zwłoki byłego wójta – tak zwana eksporta – do kościoła na dzień przed pogrzebem. Mała Mirka stała u szczytu schodów prowadzących do kościoła i dziwiła się tej rzeszy zgromadzonych ludzi. Trzymała za rękę matkę, której twarz zakryta była czarnym welonem. Nie zdawała sobie wówczas sprawy, że dla Sierakowic to ważny dzień, bo żegnano „jednego z tych, którzy życie swoje spalili w służbie dla dobra Kaszub”³.

3 tamże s. 3.

Po trudach życia błoga starość

Rozmowę przeprowadzono w październiku 1997 roku

Jan Grzenkowicz
(1910–2000)

Podobnie jak inni moi rozmówcy, miał młodość i wiek dojrzały mocno splecione z historią naszych ziem, a wiek sędziwy chyba wyjątkowo pogodny. Jak na swoje 87 lat cieszy się niezłym zdrowiem, ma u boku współmałżonkę Pelagię, ciepłe, schludne mieszkanko w centrum Siemakowic, a na dodatek – troskliwe dzieci. Małżonkowie od lat wiodą uregulowane, choć wcale nie monotonne życie. Są w nim określone pory na spanie, na posiłki i na modlitwę. O stałych porach dogląda ich sąsiadka, a rodzina i znajomi też chętnie wpadają, bo gospodarze są gościnni i ciekawi świata.

Umówiłam się na rozmowę w niedzielne popołudnie, kiedy będą już po poobiedniej drzemce. Była pora podwieczorku. Mieszkająca w pobliżu córka, Maryla Pobłocka, zrobiła mocną, pachnącą kawę i podała ciasto. Kawa dla starszych państwa jest tak samo mocna jak moja. Mówią, że taką pijają dwa razy dziennie. Zadzwoił telefon. Po chwili zorientowałam się, że to najmłodszy syn Janusz, który na stałe mieszka w Paryżu. Wzruszenie malujące się na twarzach rodziców mówiło najdobitniej, że jest ich oczkiem w głowie.



Czas młodości w biografii pana Jana przeplatany był okresami wojen. Najwcześniejsze jego wspomnienie dotyczy wojska. Pamięta, jak przez Kamienicę Królewską, gdzie się urodził, jechało wojsko. To był rok 1914 – początek pierwszej wojny – a Jan miał cztery lata. Rok później ojciec Jana, również Jan, kupił gospodarstwo w Pałubicach. Nie mieli konia, tylko dwie krowy i nimi obrabiano ziemię. Ponieważ ojca powołano do wojska, do pomocy w gospodarstwie przydzielono im wziętego do niewoli Rosjanina. Dobrze go wspominają do dzisiaj, bo wszystko potrafił zrobić, był *mysterny*, potrafił nawet wystrugać *korki*.

W roku 1918 ojciec wrócił z wojny, a Jan pamięta widok wycofującej się artylerii niemieckiej. Jednak wojsko polskie zobaczył po raz pierwszy dopiero w roku 1920 – wspomina że, z powodu przydziewku

mówiono na naszych żołnierzy kozusznicy. Niemcy zaczęli sprzedawać swoje gospodarstwa, więc ojciec Jana wybrał zaoszczędzone w Banku Spółdzielczym w Sierakowicach pieniądze i kupił trzynastohektarowe gospodarstwo w Porębach od Albrechta Arendta. Jeszcze czas wojen się nie skończył, bo trwała walka z bolszewikami, a dziesięcioletni Jan pobiegł na dworzec kolejowy do Sierakowic oglądać zbiórkę i odjazd ochotników na tę wojnę.

Naukę rozpoczął w szkole niemieckiej w Załakowie, ale jej najlepiej nie wspomina. Po roku mógł już chodzić do szkoły polskiej w Sierakowicach i ta podobała się Janowi bardziej. Kierownikiem jej był Gawin i on uczył matematyki, a to był Jana ulubiony przedmiot. Mówi dzisiaj: – Gawin to potrafił zachęcić do nauki. Innego nauczyciela o nazwisku Trepczyk nie wspomina tak dobrze, bo często bił uczniów.

Gdy Jan miał dwanaście lat, nastąpiło inne ważne wydarzenie w jego życiu – przyjęcie do pierwszej Komunii Świętej. Poprzedzały tę uroczystość dwa lata nauki w kościele, gdzie kilka razy w tygodniu schodzili się uczniowie z niekiedy bardzo odległych od Sierakowic miejscowości. Było ich razem około dwustu. Nauki prowadził ks. Maksymilian Krzewiński, wikariusz księdza Łosińskiego, który później był proboszczem w Gowidlinie. Podobnie jak jego wcześniejszy przełożony, został zabity przez hitlerowców. Pan Jan do dzisiaj bardzo ciepło go wspomina.

Po ukończeniu sześcioklasowej szkoły Jan został w Porębach i pracował w gospodarstwie ojca.

W 1932 roku powołano go do wojska. Osiemnaście miesięcy trwała służba w kompanii strzeleckiej 65 pułku w Grudziądzu. Gdy więc zbliżał się wybuch drugiej wojny, Jan był dobrze wyszkolonym rezerwistą, mundur miał w domu i w sierpniu 1939 roku został wezwany do obrony narodowej. Trzy tygodnie przed wrześniem oczekiwali już w pogotowiu. Jego oddział należał do Baonu Morskiego w Wejherowie, a służbę pełnił w okolicach Łapalic, Kartuz i Zawór. Pierwszego września saperzy z jego kompanii zdążyli jeszcze zburzyć most w Reskowie, a drugiego musieli się już wycofywać do lasów pod Rumią. W czasie odwrotu w Kartuzach strzelali do nich niemieccy cywile, mający właściwie obywatelstwo polskie. Boleśnie do dzisiaj wspomina, że taka była ich zjadłość wobec polskiego wojska.

Trzymali się, osłonięci okopami, do dziewiętnastego września. Z Janem Grzenkowiczem było sporo ludzi z naszych stron. Wymienia przede wszystkim Józefa Piotrowskiego, który zginął w Babich Dołach, rozerwany przez szrapnel, zginął również Franciszek Went. Wspomina też, że byli z nim Sychta i Sikora z Puzdrowa oraz Marian Klawikowski. Gdy okazało się, że Gdynia jest już zajęta, skierowali się na Hel. Zostali okrążeni pod Puckiem, niedaleko młyna napędzanego wiatrem. Wtedy



Jan Grzenkiewicz w mundurze z 1939 roku

dowódca – pułkownik Dombek – polecił im się poddać. Białe koszule zawiesili na karabiny i wyszli z okopów. Niemcy przestali strzelać. Gdy zapytali o dowódcę, chłopcy wskazali okopy i w tej chwili usłyszeli strzał – dowódca nie poszedł do niewoli.

Hitlerowcy pełni nienawiści wypytывali każdego: – Ilu Niemców zabiłeś? – i kontrolowali ich kieszenie. Wieczorem, pilnowani przez wachmanów, dotarli do Wejherowa, tam upakowano ich do wagonów i zawieziono do stalagu II D w Stargardzie Szczecińskim. Ludzie na ulicach wyśmiewali się: – Oni chcieli iść na Berlin!

W niewoli był rok. Po zajęciu Francji poszedł na roboty do rolnika w okolicach Stargardu. Gospodarz był życzliwym człowiekiem i po kilku miesiącach Jan poprosił o urlop, bo zbliżała się Gwiazdka. Władze nie dały pozwolenia, ale gospodarz na własne ryzyko wyraził na piśmie zgodę na dziesięciodniowy urlop. Gdy przyjechał do domu, wszyscy mówili, że wojna niedługo się skończy. Postanowił nie wracać na roboty. Zapisał się do Gryfa Pomorskiego. Do końca wojny musiał się ukrywać. Pracował u różnych *gburów*, przeważnie Niemców w okolicach Czarnej Dąbrówki. Do domu przyjeżdżał tylko sporadycznie. Miał wszakże w okolicy liczną rodzinę, a w Tuchlinie narzeczoną i – mimo ciągłego zagrożenia – miał poczucie, że jest wśród swoich. Zajmował się handlem mięsem, z którego były pieniądze, ale i duże ryzyko.

Zanim nadszedł koniec okupacji, przez Sierakowice przewaliła się istna nawałnica – przejeżdżające przez kilka dni i nocy tabory rodzin uciekających z Prus Wschodnich, hitlerowcy przeganiający na Zachód więźniów Stutthofu, a potem Rosjanie. Dom rodzinny Jana w Porębach był w tym czasie świadkiem wielu wydarzeń. Pewnej nocy, gdy w obejściach Grzenkowiczów nocowała rodzina uciekinierów, okazało się, że jest z nimi Rosjanin, niewolnik przydzielony do robót. Poprosił Jana o pomoc – chciał uciec od Niemców i schować się w sianie. Jan się zgodził, chociaż rano była chwila napięcia, że odkryją nieobecność Rosjanina. Na szczęście w ogólnym zamieszaniu nie dopatrzyli się jego braku. Był styczeń 1945 roku. Zbieg przez sześć tygodni ukrywał się na szopce. Temu, kto rano szedł karmić inwentarz, podawał siano, a w zamian otrzymywał jedzenie. Pewnego razu chciał zrewanżować się gospodarzom za ich życzliwość i „zrobił przegląd” wozów innych uciekinierów niemieckich, którzy znowu zatrzymali się na noc u Grzenkowiczów. Był bardzo zdziwiony, że oni nie chcieli takiej wdzięczności.

Na dziesięć dni przed wkroczeniem Rosjan, Jan i jego brat Jacek byli świadkami jednego z najbardziej dramatycznych wydarzeń w naszej okolicy. W kierunku Lęborka prowadzono pod silną eskortą około dwustuosobową grupę kobiet. Mieszkańcy Poręb słyszeli wrzaski wachmanów i widzieli, jak kobiety popędzono biciem. Na końcu tego



Wesele Jana i Pelagii, lipiec 1945 rok

smutnego pochodu jechał wóz, gdzie wrzucano te najsłabsze. Gdy mijali Poręby, wóz ten zawrócono i skręcił on w stronę Ciechomii. Po dłuższym czasie, gdy nastała przedwieczorna cisza, bracia udali się tam, gdzie pojechał wóz. Mieli w tamtej okolicy ziemię i dobrze ją znali. Dopóki były pola, nic szczególnego nie zauważyli, dopiero w lesie zwróciła ich uwagę świeżo naruszona darń. Podeszli bliżej i zobaczyli ułożone obok siebie dość płytko wycięte kawałki runa leśnego. Podnieśli kilka i pod nimi ukazały się ciała młodych dziewcząt. Było ich razem osiem, położone na przemian – głowy przy nogach towarzyszek. Jan i Jacek nawieźli tam więcej piasku, zasypali ciała dokładniej i ustawili nad nimi krzyż. Dopiero w 1956 roku Jan zgłosił wiadomość o zbiorowej mogile ludziom z Gdyni, którzy pytali o takie miejsca. Niedługo potem przyjechała specjalna ekipa i dokonano ekshumacji. Osiem czaszek i pozostałe szczątki ułożono do jednej skrzynki. – Chociaż ludzie mówili, że były to Żydówki, znaleziono tam przy ekshumacji różaniec z obcojęzycznym napisem – kończy swą opowieść pan Jan.

Po zakończeniu wojny trzydziestopięcioletni Jan już nie zwlekał z ożenkiem. Wtedy w ogóle – wspomina pani Pelagia z domu Koszałka –

było bardzo wiele ślubów. Wybrali sobie na dzień ożenku święto Matki Boskiej Szkaplerznej – 16 lipca 1945 roku. Najpierw poszli na poniemieckie gospodarstwo do Poblócia koło Łeby. Pani Pelagii nie podobało się tam od początku, a gdy zaczęło się tworzenie kołchozów, to już ostatecznie zdecydowali wrócić do Sierakowic. Wynajęli mieszkanie u Marcińskich na ulicy Słupskiej, a Jan dostał pracę urzędnika w Kartuzach. Był referentem podatkowym w Miejskiej Radzie Narodowej. Mówi, że wtedy nie trzeba było mieć specjalnych szkół, żeby być urzędnikiem. A pani Pelagia dodaje, że płaca była bardzo marna. Pracował „na stanowisku” dwadzieścia lat. Mówi, że nie był żadnym partyjnym, chociaż go namawiali do wstąpienia w szeregi. Odpowiadał wtedy: – Ja swoje robię i myślę, że dobrze.

Najstarszy syn i córka urodzili się w pierwszych latach po wojnie i pewnie by nie wyżyli z urzędniczej pensji. Mieli na szczęście po rodzicach trochę ziemi, więcej jeszcze wydzierżawili i prowadzili małe gospodarstwo. Krowa, świnia i kury bardzo były pomocne w utrzymaniu rodziny. Budowę własnego domu rozpoczęli dopiero w 1960 roku; po roku zamieszkali w domku gospodarczym, a dom właściwy budowali dziesięć lat. Z budową domu wiąże się bardzo miłe wspomnienie o księdzu Janie Nowickim. Pewnego dnia, gdy pan Jan własnoręcznie robił pustaki na swój dom, ulicą Lęborską w furmance przejeżdżał ksiądz Nowicki. Jechał do szkoły w Paczewie. Zdjął z głowy swój nieodłączny kapelusz, pozdrowił Jana, a dowiedziawszy się, że ten planuje budować dom, zapytał: – Dasz ty radę? Potem zaproponował mu pożyczanie pieniędzy. Grzenkowiczowie pożyczili 2800 zł i podkreślają, że oddali sumę co do grosza, choć wielu nie oddało, gdy ksiądz nagle zmarł. Przy okazji rozmawiamy o innych sprawach związanych z księdzem Nowickim i dowiaduję się, że kupił nowe dzwony, że przebudował posadzkę i że zlikwidował tzw. pańskie ławki w prezbiterium. Mówił przy wielu okazjach: – Ja tych panów nie lubię.

Na zakończenie naszej rozmowy nagabuję o jeszcze jedną sprawę. Jan Grzenkowicz dzisiaj czterdziestolatkom utrwalił się w pamięci jako chyba pierwszy w Sierakowicach sprzedawca lodów, które przez jakiś sprzedawał na sierakowickim rynku. Pytam, jak do tego doszło. Okazuje się, że to za przyczyną wspomnianego na początku syna Janusza. Kartuski ogólniak wydelegował go jako dobrze władającego językiem francuskim do Gdyni, by tam w roli tłumacza obsługiwał jakąś młodzieżową imprezę międzynarodową. Widać zaskarbił sobie czyjąś życzliwość, bo postanowiono mu pomóc, żeby mógł dorobić sprzedawaniem lodów. Ostatecznie skrzynka z lodami wylądowała w rękach pana Jana, został sprzedawcą lodów. Wyrabiane w Gdańsku prawdziwe lody calypso cieszyły się takim wzięciem u diatwy szkolnej, że gdy pana Jana nie było na rynku, dzieciaki potrafiły całą gromadą wtargnąć do mieszkania – wspomina pani Pelagia.



Rodzina Grzenkowiczów z księdzem Reiche w latach sześćdziesiątych.
Z tyłu dzieci: Zygmunt, Janusz i Maryla

Mistrz

Rozmowę przeprowadzono w marcu 1997 roku

Franciszek Młyński

(1912–2003)

Nasz kolejny rozmówca, senior z ulicy Mirachowskiej w Sierakowicach, umie pięknie opowiadać. Jego wspomnienia są żywe i dokładne, potrafi doskonale oddać nastrój dawnych lat, a nadto jest wyjątkowo pogodny i każdą opowieść okrasza uśmiechem. Mimo swoich 85 lat pamięta nie tylko to, co przeżył, ale i to, czego się nauczył. Ozdabia naszą rozmowę wierszami i piosenkami, a ja jestem tak zasluchana, że zapominam chwilami notować.



Ojciec Franciszka Młyńskiego, też Franciszek, był na początku wieku jedynym kowalem w Pałubicach i okolicy. Liczna rodzina Franciszka i Augustyny z domu Stencel, a mieli ośmiu synów i cztery córki, utrzymywała się jednak nie tylko z tego rzemiosła, ale również z trzydziestomorgowego gospodarstwa. Kuźnia była nietypowa, bo nie podkuwano w niej koni, tylko naprawiano maszyny rolnicze, a nawet robiono nowe, na przykład kieraty. Ulubiony syn Franciszka, jego imiennik, oraz czterej inni bracia wyuczyli się w tej kuźni zawodu kowala.

Jednak zanim to nastąpiło, w 1919 roku Franciszek musiał pójść do niemieckiej szkoły powszechnej w Załakowie. Starsze rodzeństwo, szczególnie najstarsza siostra Łucja, starali się go przygotować do pierwszego spotkania z niemieckim nauczycielem, który nazywał się Klaus. Znający dotychczas tylko język kaszubski Franciszek został wyuczony w domu, żeby na pierwsze pytanie nauczyciela odpowiedzieć „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus”, a na drugie – swoje imię i nazwisko. Oczywiście po niemiecku. Nauczyciel tymczasem bez wstępów zapytał Franciszka, jak się nazywa, a ten wyrecytował wyuczoną po niemiecku pierwszą odpowiedź. Nauczyciela wcale to nie rozbawiło, siedmioletni Franek został ostro skarcony. Jeszcze tego samego dnia zaczęła się nauka języka niemieckiego. Nauczyciel tak długo wrzeszczał po niemiecku na przemian „wstać” i „siadać”, a dzieci zmuszał do wykonywania tych czynności, aż wyczerpane fizycznie pojęły, co to znaczy. Drugiego dnia

w podobny sposób uczyły się zwrotów: „ręce na stół”, „ręce pod stół”, a trzeciego dnia: „zamknij drzwi” i „otwórz drzwi”. Nauka pisania zaczęła się później, ale była równie nudna. Klaus codziennie uczył jednej litery. Głośno wykrzykiwał, jakie ruchy uczniowie powinni wykonywać, a oni mozolnie zapisywali swe tabliczki i dopóki nie były wypełnione po brzegi tą samą literą, nie mogli pójść do domu.

Ten pierwszy nauczyciel Franciszka był wyjątkowo gorliwy w tępieniu mowy kaszubskiej. Gdy usłyszał, że dzieci między sobą cokolwiek mówiły po kaszubsku, natychmiast dostawały w ucho. Zaś po polsku dzieci jeszcze nie potrafiły mówić. Gdy kanonik Łosiński podczas kolędy w domu Młyńskich zorientował się, że Franciszek nie rozumie nawet prostego zwrotu „chodź do mnie”, to poradził, by Łucja pomogła bratu uczyć się języka polskiego, a także, by nauczyła go rozumieć, co mówi po niemiecku. Tu trzeba dodać, że dzieci starsze poznawały język polski w kościele, gdzie chodziły na tzw. Naukę, czyli nauczanie katechizmu.

Na początku 1920 roku do kuźni Młyńskiego przyszedł z radosną nowiną Wojciech Zieliński, który służył w wojsku niemieckim: powiedział, że będzie Polska. Ale powiedział też, by nie rozgłaszać tego, bo nie wiadomo dokładnie, gdzie będzie szła granica. Okazało się, że tylko dwa kilometry od Pałubic. Franciszek pamięta, jak oznaczano ją kamiennymi słupami, a na słupach była litera „P” po stronie polskiej, a po przeciwnej litera „D”. Pamięta też, jak do Pałubic przyjechał pierwszy oddział żołnierzy polskich. Byli na koniach, mieli kozuszkowe kurtki i futrzane czapki. Ludzie tak cieszyli się na ich widok, że wszyscy chcieli ich gościć w swoich domach.

Odmieniło się również życie dzieci w szkole. Najpierw nauczyciel Klaus powiedział, że nazywa się Klawikowski. A jego córka, która była z Franciszkiem w tej samej klasie, odezwała się pewnego dnia najczystszą polszczyzną: – Teraz będziemy się uczyć po polsku. Jednak nic z tego nie wyszło, bo w nocy miejscowe wyrostki wybiły nauczycielowi szyby i rano już go nie było.

O urządzenie polskiej szkoły zadbał ksiądz Łosiński. Ojciec Franciszka przekonał go, że w załakowskiej szkole jest za dużo dzieci i dobrze by było, żeby dzieci z Pałubic chodziły do swojej szkoły, którą kiedyś zlikwidowano, a budynek po niej stał wolny. Ksiądz Łosiński również znalazł dla tej szkoły nauczycielkę, powiedział: – Będziecie zadowoleni, bo to jest Kaszubka. Była bardzo młoda, nazywała się Wiktoria Mielewczykówna, a pochodziła z Gowidlina.

Pan Franciszek do dzisiaj ze wzruszeniem wspomina tamtą szkołę i tamtą nauczycielkę. Nie było jej łatwo pracować. Przez pierwsze lata uczniowie nie mieli żadnych podręczników, zeszyty posiadali tylko starsi, elementarz otrzymał Franciszek gdzieś w trzecim roku nauki,



Franciszek (ojciec) i Augustyna Młyńscy z Pałubic

a najbardziej używaną książką były *Historie biblijne w obrazach*. Te Franciszek znał niemal na pamięć. Ksiądz Łosiński często odwiedzał szkołę, interesował się postępami uczniów i – jak mówi pan Franciszek – był z nich zadowolony.

Bo też Wiktoria Mielewczykówna w niczym nie przypominała poprzedniego nauczyciela. Wkładała dużo serca w swoją pracę i nie ograniczała się do prowadzenia lekcji. Przygotowywała z dziećmi przedstawienia, w każdym roku inne. Franciszek brał udział w każdym i do dzisiaj pamięta ich treść. Otrzymywał najdłuższe teksty do wyuczenia na pamięć. Przeważnie grał role figlarnego psotnika, który dokucza dziewczynom. Na przedstawienia w pałubickiej szkole przychodzili ludzie nie tylko z bliska, sala była nabitą, mówi Franciszek.

W tym czasie miało miejsce ważne dla Sierakowic wydarzenie – wizyta prezydenta Wojciechowskiego. Nauczycielka najpierw długo naradzała się z Łucją, z którą się przyjaźniła, jak godnie przygotować uczniów do tej wielkiej chwili. Postanowiły, że wszystkie dzieci będą miały stroje zdobione białą-czerwoną bibułą, a Franciszek miał jeszcze nauczyć się wiersza.

Oto jak zapamiętał ten dzień. Na powitanie Prezydenta wyjechali na koniach aż do Mojusza byli żołnierze wojny bolszewickiej. Dostojny gość był najpierw witany przed kościołem przez księdza kanonika, wójta Karsznego i innych znakomitych mieszkańców. Potem w kościele była msza święta. Po niej dostojny gość przeszedł od kościoła do Dworu Kaszubskiego (dzisiaj dom towarowy). Wzdłuż drogi ustawione były dzieci ze wszystkich szkół w parafii: po jednej stronie dziewczynki, a po drugiej chłopcy. W okolicy banku stały dzieci z Pałubic. Wyróżniały się jednolitym białą-czerwonym akcentem. Chłopcy mieli na głowach rogatywki, a przez ramię wzdłuż ciała przewiązane szarfy. Stanisław Wojciechowski zatrzymał się przy nich i zapytał, skąd są. Gdy nauczycielka odpowiedziała, zapytał, czy to daleko od Sierakowic, usłyszawszy, że to aż 6 kilometrów, odpowiedział, że gdyby było bliżej, chciałby zobaczyć, jakie są te Pałubice. Potem zapytał, czy ktoś umie jakiś wiersz, a wtedy wystąpił mały Franciszek i wyrecytował:

„Co to za obraz, matko, na ścianie?

Czterograniasta czapka na głowie -

Powiedz mi, matko, jak on się zowie?

- Tadeusz Kościuszko.

- Czy żyje jeszcze?

- Umarł od dawna,

Ale cześć Jego jest tak sławna,

Że panów i kmiotków ozdabia ściany.

Oto wiesz teraz, synku kochany”.

Osoba księdza Łosińskiego często pojawia się we wspomnieniach pana Franciszka. Opowiedział mi między innymi o znanej i tajemniczej sprawie zniknięcia dzwonów kościelnych. W 1917 roku, gdy losy pierwszej wojny wyraźnie wskazywały, że Niemcy ją przegrają, a ich wojskom brakowało żywności, koni, a nawet amunicji, zaczęto rekwirować u gospodarzy żywy inwentarz. Krowy szły na rzeź, konie dla wojska. Jednego konia przeważnie gospodarzowi zostawiano. Księdzu Łosińskiemu wzięto dwa konie, a dwa pozostawiono. Oprócz tego zażądano od ówczesnego duszpasterza czegoś więcej – dzwonów kościelnych. Pewnie, żeby przerobić je na kule. Księdzu łaża w oku się zakręciła i odpowiedział, że to niemożliwe, przecież one są poświęcone. Niemcy skwitowali to stwierdzeniem, że ojczyźnie się nie odmawia.

W noc poprzedzającą dzień, kiedy miały być zabrane, dzwony zniknęły bez śladu. Jak to udało się zrobić, opowiadał panu Franciszkowi jeden z uczestników tej akcji – Leopold Piotrowski. Sprawnego zdjęcia dzwonów z wieży podjął się Woźniak – pompier z Sierakowic. Dokładnego przebiegu tej operacji nie zna, wie natomiast, co zrobiono potem. Dwa większe spośród trzech dzwonów załadowano na wóz. Wcześniej wszystkie cztery żelazne koła wozu owinięto dokładnie warkoczami ze słomy, żeby cicho się toczył. Potem, bez pomocy koni, wóz był pchany i ciągniony przez pięciu mężczyzn na pole przylegające do Księżego Lasu, niedaleko gospodarstwa Okrojów i Gojtowskich. Zresztą trzej synowie Jana Gojtowskiego brali udział w tym przedsięwzięciu; byli to Franciszek, Jan i Leon. Z nimi byli również dwaj Piotrowscy – Leopold i Leon.

Na wzgórk, który pan Franciszek mógłby jeszcze dziś dokładnie wskazać, wykopano dużą dziurę, wyścielono ją słomą, złożono tam dzwony, zasypano ziemią, a na końcu dokładnie zabronowano cały kawałek i posiano tam żyto. Gdy następnego dnia okazało się, że dzwonów nie ma, Niemcy całą złość skierowali przeciwko księdzu Łosińskiemu. Ten spokojnie odpowiedział, że dzwony nie były jego własnością, tylko parafian. Niemcy sprowadzili psy i z dużą ilością ludzi zaczęli poszukiwania. Dotarli do łąk przylegających do pola, gdzie zakopano dzwony, bo tam były odcisnięte ślady kół. Jednak dzwonów nie znaleziono. Dopiero po 5 latach, w 1922 roku ksiądz kanonik zorganizował z procesją uroczysty powrót dzwonów na swoje miejsce. A pan Franciszek poznał całą historię, gdy kupił tę ziemię. Leon Gojtowski przyszedł i zakreślając ręką krąg powiedział: – Ta ziemia jest święta.

Chociaż Franciszek do szkoły powszechnej chodził 7 lat i ma piękne świadectwo jej ukończenia, gdy miał już lat 17 ojciec uznał, że nie potrafi dobrze pisać i mówić po polsku. W Załakowie nauczycielem był wtedy Jan Marszałkowski i starszy pan Młyński udał się do niego w tej sprawie. Okazało się, że można by chłopca poduczyć, ale to będzie



W oczekiwaniu na wizytę prezydenta Wojciechowskiego

kosztowało. Nauczanie jednego byłoby za drogie, więc umówili się, że Młyński znajdzie co najmniej dwudziestu chętnych, a wtedy będzie to kosztowało każdego 5 zł miesięcznie. Nie było to zadanie zbyt trudne, chętnych do nauki znalazło się ostatecznie trzydziestu.

Pan Franciszek rozkłada przede mną pieczołowicie przechowywane dwa zaświadczenia, że w zimowe miesiące 1929/30 oraz 1930/31 uczył się na Dwustopniowym Powiatowym Kursie dla Dorosłych po 9 godzin tygodniowo. Najwięcej godzin przeznaczono na język polski i arytmetykę z geometrią, ale oprócz tego poznawał tam geografę, historię i naukę o Polsce współczesnej. Następne lata musiał spędzić w ojcowskiej kuźni, bo w roku 1934 złożył egzamin czeladniczy w Izbie Rzemieślniczej w Grudziądzu. Jak głosi zachowane świadectwo, od tego czasu miał „prawo używać tytułu czeladnika kowalskiego”. Pokazuje mi jeszcze jedno świadectwo, napisane odręcznie, z pieczęcią Szkoły Powszechnej w Sierakowicach. Jest to potwierdzenie, że nasz rozmówca uczęszczał na zawodowy kurs dokształcający. – To był dla mnie bardzo ważny kurs – mówi – bo tam mnie nauczyl, jak obliczać powierzchnię prostokątów, trójkątów, a nawet koła. Ta wiedza była mi pomocna przez całe życie.

Co jeszcze robił Franciszek w latach trzydziestych? Ano – chodził do obrazu. Obrazów w kościele św. Marcina było cztery. Używano ich

przede wszystkim podczas procesji Bożego Ciała, na 3 Maja i 15 Sierpnia. Do noszenia obrazów było dziesięć dziewcząt i dziesięciu kawalerów. Cztery osoby niosły jeden obraz, a przed nimi niesiono proporzec. Na początek zjeżdżali zawsze bryczkami na podwórze plebanii i tam ksiądz Łosiński sprawdzał, czy wszyscy są starannie ubrani. Chłopcy musieli mieć ciemne garnitury i białe koszule. Gdy jakaś dziewczyna miała za duże wycięcie przy sukni, to kanonik był bardzo niezadowolony.

Obrazów również używano w czasie pogrzebów. Były wówczas trzy rodzaje pogrzebów: za pięćdziesiąt złotych od bramy kościelnej z krzyżem i chorągwiami, za sto od krzyża, wszystkie chorągwie i dwa obrazy oraz za dwieście złotych – z domu zmarłego, a w procesji szło całe bractwo, wszystko jak na Boże Ciało, wszystkie obrazy też. Ale to się zdarzało wyjątkowo, pan Franciszek pamięta, że taki pogrzeb miał Karszny z Młynów, brat wójta.

Dom rodzinny Franciszka był przesiąknięty pobożnością. Zbierały się tam w niedziele trzy róże różańcowe – panien, kawalerów i kobiet. Każda w inną niedzielę miesiąca. Modlono się, śpiewano, ale były to również spotkania towarzyskie. W latach trzydziestych, gdy Franciszek był zelatorem, na różaniec przychodzili kawalerowie ze Skrzyszewa, Załakowa i Pałubic.

Czas na zabawę też młodzi mieli. Pan Franciszek wspomina, że około 1930 roku ksiądz kanonik bardzo uroczyście zorganizował czterdziestolecie swojej pracy w Sierakowicach. Na rynku zbudowano ołtarz i tam odbyła się część religijna. A potem ksiądz Łosiński zaprosił wszystkich do Księżego Lasu na zabawę. Wynajęto dziesięciu muzykantów, kupcy rozstawili stoły z łakociami. Zabawa była tak udana, że potem już każdego roku na ożniwiny kanonik organizował taką imprezę. Był obecny do końca, a gdy się ściemniało, to zarządzał koniec i żartował, żeby sprawdzać, czy kto nie został w zaroślach.

W 1938 roku w sąsiedniej wsi Skrzyszewo wypatrzył sobie Franciszek narzeczoną – Annę Jelińską. Jej ojciec Leon, znakomity cieśla, słynął z tego, że wykonał całą konstrukcję drewnianą wieży i chóru w czasie rozbudowy kościoła Św. Marcina. Ksiądz Łosiński, oprócz zapłaty, dał mu dożywotnio prawo bezpłatnego używania miejsca na chórze.

Franciszek z Anną pobrali się dopiero po wojnie, bo ojciec nie chciał pozbywać się córki w tak niepewny czas. Zamieszkali w Sierakowicach w wynajętym mieszkaniu w domu Brzeskich przy dzisiejszej Mirachowskiej. Było to dobre miejsce, bo opodal znajdowała się stara kuźnia, z której Franciszek uczynił swój pierwszy warsztat. Niedługo potem kupił w pobliżu ziemię i starą kuźnię od Władysława Gronowskiego, tam zbudował skromny dom i nową kuźnię.

Nigdy właściwie nie był typowym kowalem, koni nie podkuwał. Jeszcze przed wojną, u ojca, przeważnie naprawiali maszyny rolnicze.

Mówi, że właściwie ten zawód, którego się nauczył, nazywano wtedy z niemiecka *maschinenschlosser*, ale jako Polak nie mógł wyrabiać papierów na ślusarza czy tokarza, dlatego został mistrzem kowalskim. Ojcowy warsztat utrzymywał w sprawności wszystkie okoliczne młyny – w Żalakowie, Tuchlinie, Podjazach. A maszyny rolnicze mieli, oczywiście, miejscowi Niemcy. Pastor Hoffmann, który miał duże gospodarstwo, był stałym klientem Młyńskich i wystarał się im o zwolnienie od podatku.

W warsztacie nie tylko naprawiano maszyny. Już ojciec Franciszka około 1920 roku zrobił nową sieczkarnię i to bez użycia obrabiarki. A w 1926 roku sprowadził sobie z Wejherowa obrabiarkę, która ważyła trzy i pół tony i trzeba nią było ręcznie kręcić. Do dzisiaj stoi w Pałubicach. Wiertarkę też wykonał samodzielnie. Nauczył się tego, pracując przez pięć lat w Lęborku wśród Niemców.

Co więc robił Franciszek w swojej niby-kuźni, z czego utrzymywał rodzinę? Ano, dalej naprawiał maszyny, tylko coraz bardziej skomplikowane. Nieraz części od kieratu przydawały się do innych maszyn. Zawsze dbał o to, by mieć duży zapas różnego żelastwa – tam w potrzebie znajdował odpowiednie kółko czy śrubkę. I tak wielu sieczkarniom, młockarniom, siewnikom, a później kombajnom – przedłużał żywot.

W latach pięćdziesiątych zobaczył w mieście betoniarkę. Obejrzał ją dokładnie i uznał, że to da się zrobić. Gdy zrobił pierwszą na własne potrzeby, zaraz dostał kolejne zamówienia od innych. W sumie zrobił ich chyba ze sześć. Pamięta jeszcze, że pierwsza z nich miała koła od kieratu i kupił ją Brunon Koszałka. Podobnie nauczył się „przez podpatrzenie” robić dmuchawy czy rozdrabniacze.

Pamiętajmy, że były to czasy, gdy najlepiej można było zarobić na zamówieniach państwowych. Pan Franciszek wspomina, że dwa razy mu się taka okazja trafiła. Raz, gdy zrobił na początku lat sześćdziesiątych ogrodzenie dla nowej szkoły przy ulicy Dworcowej, zarobił 12 tysięcy złotych. Do dzisiaj jest wdzięczny kierownikowi szkoły za to zlecenie. A drugi raz zdarzyło się, że przez kilka lat robili kosze druciane do butelek na mleko dla mleczarni. Kierownik był tak zadowolony z pracy Młyńskiego, że podpadł politycznie, tłumacząc swoim zwierzchnikom, iż prywatny rzemieślnik wykonuje tę pracę lepiej niż państwowy.

W latach sześćdziesiątych był pan Franciszek co rusz naciskany, by przejść do pracy w państwowym ośrodku maszynowym. Młyński stanowczo odmawiał. Za swój brak ochoty do pracy w gospodarce socjalistycznej był nękany domiarami, czyli wysokimi podatkami. Cztery razy próbowano go zniszczyć. Zawsze jakoś udawało się zapłacić te ogromne, niczym nieuzasadnione podatki. A raz udało mu się od nich wybronić – pomogła radiowa Fala '56. Przyjechali, sprawdzili, że nie ma podstaw, by płacić 50 tysięcy na fundusz gospodarki mieszkaniowej, bo



Franciszek i Anna Młyńscy z najstarszymi synami, a także ich ciotka, którą opiekowali się do śmierci

tylko dwie rodziny w Sierakowicach miały tak zwane „za duże” domy.

Rodzina Franciszka i Anny powiększała się – dzisiaj mają czterech synów i dwie córki. Talenty techniczne Franciszka znalazły zastosowanie również w gospodarstwie domowym. Kiedy jeszcze nigdzie w okolicy nie było w mieszkaniu kranu, u Młyńskich wodę ze studni można było napompować prosto w kuchni. Ale największym udogodnieniem dla małżonki Anny była pralka, którą zrobił jej mąż. Też najpierw dokładnie ją sobie gdzieś obejrzał i uznał, że to nie jest zbyt skomplikowany cud techniki. Podobierał potrzebne części, pokombinował i z obawami poprosił żonę o jej wypróbowanie. Jak się okazało, wcale nie musiał za dużo poprawiać. Pralka służyła im przez wiele lat, a gdy już było ich stać na kupienie ze sklepu pralki fabrycznej, to jeszcze rodzina z Pałubic poprosiła o tę starą i dalej z niej mieli pożytek.

Dzisiaj Franciszek i Anna Młyńscy już od wielu lat żyją ze skromniutkiej emerytury, ale ich dwupokojowy kiedyś dom zmienił się w jeden z najładniejszych na Mirachowskiej. Najmłodszy syn, Marek, mieszka na piętrze, a pozostałe dzieci też przeważnie w pobliżu. Starszych państwa Młyńskich widzę często, idących wspólnie do kościoła i nie trzeba pytać, czy są szczęśliwi, bo to po prostu widać.

Siostra Tymotea wspomina

Rozmowę przeprowadzono w lipcu 2003 roku

To niespotykane imię otrzymała w zgromadzeniu elżbietanek, kiedy po kilku latach przygotowań złożyła śluby wieczyste. Teraz ma 91 lat. Cieszy się pełną sprawnością fizyczną i umysłową. Jej drobną postać można było tego lata spotkać wielokrotnie na drodze z ulicy Lęborskiej do kościoła św. Marcina, bowiem przebywała tu przez kilka tygodni u swojego siostrzeńca. Siostra Tymotea emanuje pogodnym usposobieniem, jest otwarta i serdeczna wobec ludzi, dlatego odważyłam się ją poprosić o garść wspomnień z czasów dzieciństwa i młodości, jako że urodziła się w 1912 roku w Tuchlinie.

Rodzice mojej rozmówczyni – Jan i Matylda Koszałkowie – mieli ośmioro dzieci, cztery dziewczęta i czterech chłopców. Z tego co mówi siostra Tymotea wynika, że w jej domu rodzinnym były bardzo pielęgnowane tradycyjne wartości: religijność, praca i patriotyzm. Na zabawę też był czas. W niedzielę, gdy nie było postu ani adwentu, uruchamiano w domu odziedziczoną jeszcze po dziadkach dziwną maszynę, zwaną *lejerkastą*. To nie był z pewnością gramofon, tylko duże jak blat stołu koło, które po nakręceniu obracało się i grało. Przy dźwiękach tego urządzenia odbywały się w domu radosne pląsy, każde z dzieci Koszałków nauczyło się tańczyć, tym łatwiej, że stanowili cztery pary. A gdy do ich domu zachodzili w gościnę liczni kuzynowie, wtedy było jeszcze weselej.

Do szkoły siostra Tymotea chodziła w latach 1919–1926. Z początku był w niej jeden nauczyciel o nazwisku Szyc, ale po dwóch latach zastąpili go pochodzący ze wschodu brat i siostra Skorowscy. W szkole łączono dwa oddziały w jedną klasę – chłopcy i dziewczynki usadowieni w oddzielnych rzędach. Najmilej wspomina siostra Tymotea lekcje religii i historii, a podkreśla, że wtedy uczono prawdziwej historii. Pamięta też, przygotowania szkolnego przedstawienia o królu Łokietku, w którym królową została jej siostra Pelagia.

Chociaż lubiła chodzić do szkoły, lubiła też czas po szkole. W domu rodzinnym panowała dyscyplina; najpierw trzeba było odrobić lekcje,



Jedna z uroczystości patriotycznych z udziałem księdza kanonika Łosińskiego

potem ktoś z rodziców przesłuchiwał dzieci, czy są dobrze przygotowane, a potem nakazywano im różne zajęcia w obejściu. Praca była dla każdego, bo rodzice mieli siedemdziesięciomorgowe gospodarstwo. Dzisiaj – dodaje siostra Tymotea – rodzice niczego od dzieci nie wymagają i one często nawet tabliczki mnożenia nie potrafią, bo wyręczają je w tym komputery.

Najpiękniejszym wspomnieniem z dzieciństwa jest dla siostry Tymotei dzień 3 Maja 1919 roku. Miała wtedy siedem lat i rodzice właśnie ją wzięli do tzw. księzego lasu na zabawę, którą zorganizował ksiądz kanonik Łosiński. Prawdopodobnie wcześniej były uroczystości religijne i przemarsz ulicami Sierakowic, jednak mała dziewczynka najbardziej zapamiętała, że wszyscy radowali się rozbrzmiewającą muzyką, że dorośli tańczyli, że mężczyźni mieli meloniki na głowach. Potem już każdego roku uczniowie z Tuchlina i innych miejscowości szli piechotą w odświętnym nastroju do sierakowickiego kościoła ze swoimi nauczycielami czcić 3 Maja. Również pieszo podążały wszystkie dzieci na tak zwane nauki przygotowawcze do Pierwszej Komunii trwające z przerwami dwa lata. W pierwszym roku prowadził je ksiądz wikariusz Brunon Smoleński,

a w drugim – sam ksiądz kanonik Łosiński. Pierwszej Komunii udzielano wtedy w wieku dwunastu lat.

W domu Koszałków była duża skrzynia, wypełniona książkami religijnymi i patriotycznymi. Czytano też regularnie „Rycerza Niepokalanej” oraz „Posłańca Serca Jezusowego”. Pewnie stąd czerpano wierszyki i piosenki, którymi jeszcze dzisiaj siostra Tymotea potrafi zadziwić słuchaczy.

W takim domu był klimat do pojawienia się powołań. Najpierw do zakonu elżbietanek poszła starsza siostra, nazwana później Symplicją. Potem zmarł ojciec Tymotei i to opóźniło o kilka lat jej zamiar pójścia w ślady siostry. Dopiero w 1937 roku spełniło się to pragnienie. Na początku przez trzy lata była w Poznaniu, potem przez dwadzieścia pięć lat pracowała jako dochodząca pielęgniarka domowa w Gnieźnie przy parafii Św. Wojciecha. Ten czas, kiedy pielęgnowała ciężko chorych, uważa za najpiękniejszy okres swojego życia. Następnie przez piętnaście lat była przełożoną domu elżbietanek w Ostrowie Wielkopolskim. A teraz, z racji wieku, już nie ma zbyt wielu obowiązków i mieszka w Kruszwicy. Nie ukrywa cichej nadziei, że może i w Sierakowicach znalazłoby się miejsce do pracy dla elżbietanek; były tu krótko po wojnie a ludzie do dzisiaj wspominają z wdzięcznością ich bezinteresowną i pełną życzliwości opiekę nad chorymi.

Artylerzysta dzielny na zawsze

Rozmowę przeprowadzono w październiku 2004 roku

Konrad Gruchała
(1915–2008)

O Konradzie Gruchale dowiedziałam się od naszych kombatanatów; że stara się być obecny na ważniejszych spotkaniach, że ostatnio był w Licheniu i dzielnie znosił trudy jednodniowej pielgrzymki, chociaż ma niemal dziewięćdziesiąt lat. Powiedziano mi, że chętnie i pięknie opowiada o swoim życiu, w czym nie było żadnej przesady. Oto jaką opowieść usłyszałam.

Urodził się w Łączkach, małej wioseczce w okolicach Mojusza. Gdy w 1915 roku przyszedł na świat jako pierworodny syn Rozalii z domu Kitowskiej i Leona Gruchały, ojciec był na wojnie. Potem rodzina się powiększyła i było u Gruchałów sześćcioro dzieci. Mimo że gospodarowali na sześćdziesięciu morgach, nie było ich stać na posyłanie dzieci do dalszych szkół. Konrad skończył edukację po siedmiu latach nauki w najniższej zorganizowanej szkole w Szopie, a nauczycielami jego byli pan Stark, a potem również pan Sowiński. Opowiada jeszcze dzisiaj z nutką rozżalenia, że był uczniem zdolnym i chętnie uczyłby się dłużej, jednak ojciec potrzebował go do pracy przy gospodarce. Obstawanie przy swoim nie było wtedy w zwyczaju. Od czternastego roku życia razem z tatą chodził w pole kosić. Ojciec już go sposobił na swego następcę. Konrad pomagał przy gospodarce aż do czasu, gdy został powołany do wojska, czyli do 1938 roku.

Został żołnierzem marynarki wojennej, a dokładniej służył w artylerii przeciwlotniczej. Już w marcu 1939 roku, w terminie przyśpieszonym, złożył przysięgę, bo coraz częściej mówiło się, że może być wojna; w kościołach śpiewano suplikacje, a z powodu tego przyśpieszenia rodzice Konrada na przysięgę nie przyjechali. Dla mojego rozmówcy zaczynał się chyba najważniejszy okres jego życia, tak ważny, że do dzisiaj opowiada o nim w szczegółach. Myślę, że wydarzenia i przeżycia wojenne w dużej mierze ukształtowały osobowość pana Konrada. A przecież w jego długim życiu była to krótka chwila – zaledwie dziewiętnaście dni, bo tyle trwała obrona Oksywia. Pan Konrad należał bowiem do obrońców Kępy Oksywskiej. Był jednym z tych, którzy przeżyli.



Konrad Gruchała

Jak wyglądał ten bohaterski epizod Września 1939 w oczach starszego marynarza Gruchały? Należał do baterii Wąwóz Ostrowiecki, której dowódcą był porucznik Rostkowski, a bezpośrednim przełożonym – działowy bosmanmat Miszker. Bateria miała dwa przeciwlotnicze działa dalekostrzelne o kalibrze 0,75 mm, a każde z nich obsługiwało czterech żołnierzy: dowódcę, celowniczy i dwóch ładowniczych. Gruchała był ładowniczym, a dokładniej wręczycielem pocisków, które ważyły po trzydzieści pięć kilogramów. Pełnił służbę przy dziale numer jeden.

Już wiele lat temu pan Konrad spisał swoje wspomnienia z tamtych dni na kilkunastu stronach zeszytu, więc pozwolę sobie je we fragmentach i po nieznacznej korekcie zacytować jako najbardziej wierny opis jego przeżyć.

„Pod koniec sierpnia na naszej baterii było bardzo dużo alarmów, bo niemieckie samoloty zwiadowcze naruszały granice. W koszarach było pełno żołnierzy rezerwy, łóżka ustawione trzy w górę. Przepustki wstrzymane i żony przychodziły odwiedzać swoich mężów, ale odchodziły z płaczem, bo może widzą się ostatni raz. W noc z 31 sierpnia na 1 września koło godziny czwartej bosmanmat wchodzi i krzyczy, że alarm i daje rozkaz, żeby ubierać się na granatowo. Gdy po pięciu minutach nasza bateria stoi w szeregach na dziedzińcu koszarowym, wychodzi taki przygnębiony porucznik Rostkowski i mówi: Czołem chłopcy, byłyły dotychczas różne alarmy, ale dzisiaj jest prawdziwy, bo rozpoczęła się wojna. Dał rozkaz działowym, żeby obsługa zajęła stanowiska.

Zdjęliśmy pokrowce z dział i wkręcamy zapalniki do amunicji. Około godziny siódmej przychodzi meldunek, że w Pucku było już bombardowanie i zginęło siedemnaście marynarzy i komandor marynarki. Za jakieś pół godziny na Oksywiu wyje syrena, za parę minut słychać silny warkot samolotów od strony Wejherowa, wyglądają jak chmura wron, dolatują do Pogórza i rozdzielają się na trzy części: lecą na Hel, na Gdynię i na Oksywie. Rozpoczęło się bombardowanie naszej baterii, po zrzuceniu bomb samoloty zawróciły i poczęły do nas strzelać z broni maszynowej. W czasie bombardowania na krzeselko celowniczego usiadł sam działowy Miszker i dawał rozkazy spustowemu, a my we dwójkę ładowaliśmy pociski do lufy. To trwało koło godziny, ale na naszej baterii nie było zabitych, tylko kilku rannych i w wielu miejscach wyrwy od bomb. Obiad spożyliśmy spokojnie na stanowisku dział.

Niedziela 3 września, zaraz z rana znowu słychać silny warkot samolotów nieprzyjacielskich, ale mijają naszą baterię i lecą w kierunku Helu. Tylko jeden z lotników zawrócił z zamiarem zbombardowania naszego okrętu, który stał przy samym brzegu morza. Nie udało mu się, bo został trafiony pociskiem naszej artylerii i wpadł do wody. Bombardowanie wzrastało codziennie, a huki rozrywanych pocisków zbliżały się.

Około 7 września, gdy poddało się Westerplatte, Kępę Oksywską wziął pod ostrzał pancernik Schleswig-Holstein. Trwało to ze dwie godziny. Tylko nasza bateria ocalała, bo była położona nad samym morzem, na wysokiej skarpie, a pociski albo uderzały w tę skarpę, albo przelatowały nad nami. Ów krążownik strzelał do nas kilka dni. Nasz porucznik zauważył, że od strony Oksywia w jednym z domów są nadawane sygnały świetlne do pancernika, to był niemiecki zwiad; dostaliśmy rozkaz, żeby strzelać w ten dom. Nie pamiętam, którego dnia wieczorem jeden pocisk rozbił się o drzewo a odłamki raniły czterech marynarzy i działowego, który stracił wtedy oko. Front bojowy się zbliżał; przestały strzelać dwa działa artylerii ciężkiej koło Oksywia, tak samo zamilkła bateria na Redłowie i na Grabówku, tylko nasza bateria stawiała jeszcze opór.

Na drugi dzień po zdobyciu Rumi-Zagórza Niemcy wzięli pod ostrzał artyleryjski nasze pozycje. Około 14 września był okropny nalot i samoloty zbombardowały jeden magazyn amunicji. Zapalił się, ale na szczęście była to amunicja małokalibrowa. Miałem wtedy podmianą, byłem akurat w schronie i przy kolejnym nalocie jedna bomba runęła tuż koło mnie; ten schron się obrócił, jakby mu ktoś zagrał do tańca. Przed obiadem, mniej więcej 16 września, pod naszą baterię podpłynęło sześć okrętów nieprzyjacielskich. Jak oddaliśmy do nich kilka strzałów, to zrobiły zasłonę dymną i wtedy zaczęli nas tak obstrzeliwać, jakby z karabinów maszynowych. Było sporo rannych. Kierowca Alojzy Szukenberg odwoził ich do szpitala, ale tam już było pełno. Tego dnia został zabity w naszej baterii marynarz Szarmach.

Teraz na Kępę Oksywską sypały się pociski ze wszystkich stron. Samoloty niemieckie spuszczały ulotki z takim mniej więcej tekstem: Waleczni żołnierze polscy, wasze męstwo jest bezcelowe, wasi oficerowie i podoficerowie są kłamcami, weźcie białą broń i chodźcie do niewoli, wam się krzywda dziać nie będzie. Oficerowie nie pozwalali tych ulotek podnosić. Front się coraz bardziej zbliżał, Gdynia w rękach niemieckich, Oksywie okrążone pierścieniem. W niedzielę 17 września nalot był tak silny a działa nieprzyjacielskie strzelały tak, że nasza obrona była bezskuteczna. W poniedziałek to już karabiny maszynowe tak siały, jakby padał grad.

Nadszedł krytyczny dzień 19 września; artyleria przestała bić, tylko ckm-y z rana jeszcze grały i broń lekka. Po obiedzie o godzinie 14. przychodzi meldunek z koszar, że są Niemcy i kto się poddaje, niech idzie do koszar. Nasz porucznik Rostkowski daje rozkaz, żeby unieszkodliwić działa i przyrządy pomiarowe, rzucić broń i do koszar.

Najpierw poprowadzili nas na Plac Kaszubski w Gdyni, koło wieczora obstawili plac reflektorami i żołnierzami z wycelowanymi karabinami.

Rano wywołali wszystkich oficerów i wywieźli ich autobusami. Nas ustawili ósemkami i prowadzą do Wejherowa. Tu spędziliśmy noc a na drugi dzień odjechaliśmy wagonami bydłecymi, po 75 chłopca w każdym, w kierunku Niemiec. W czasie transportu śpiewaliśmy nabożne pieśni. O północy dojechaliśmy do Starogardu Szczecińskiego, tam kazali wysiadać. Na stacji było pełno Niemców i padały z ich strony różne wyzwiska. Zaprowadzili nas za miasto na taką łąkę, gdzie były rozstawione namioty. Tu o głodzie i chłodzie przebywaliśmy kilka dni. Później zaczęli nas rozprawadzać na majątki, do różnych »bałarów«. Ja w grupie 30 towarzyszy trafiłem do Szwochowa koło Pyrzyc i tu pracowałem do końca wojny”.

Rodzina Konrada dostała nieprawdziwe informacje, że wszyscy na Oksywiu zginęli, więc gdy dotarł do Łączek dokument niemiecki z podpisem syna i zawiadomieniem, że jest w niewoli, to w domu była wielka radość. Pan Gruchała trafił do dobrego Niemca. Właściciel majątku nazywał się Józef von Papen, był katolikiem, a jego żona ewangeliczką. Dzieci płci męskiej przyjmowały religię po ojcu, a dziewczynki po matce – podkreśla mój rozmówca. Ziemi w tym majątku było 4 tysiące mórg, a Konrad pracował jako furman. Wykonywał różne prace, zależnie od pory roku, ale zawsze zaprzęgał trzy konie; jeszcze dzisiaj pamięta ich imiona.

Zaraz na początku niewoli Konrad poważnie zachorował z powodu zapalenia ucha; w czasie działań wojennych był narażony na tak niesamowite huki, że uszkodziły one błonę bębenkową, a potem wdało się zapalenie. Od dziedzica otrzymał pozwolenie na wyjazd do lekarza, ten jednak potraktował go jak symulanta, obrzucił wyzwiskami i pomocy nie udzielił. Następnego dnia dziedzic sam pojechał z cierpiącym Konradem do innej miejscowości, tam został ze współczuciem potraktowany przez niemiecką lekarzkę i otrzymał stosowne lekarstwa. Jednak od tamtych lat słuch ma uszkodzony. Był również ranny, odłamek pokaleczył mu nogę i została spora blizna. Pan Gruchała zaznacza, że jego dziedzic lubił ludzi uczciwych i pracowitych, a pewnie taki właśnie był młody marynarz z Łączek, już od dziecka obeznany z gospodarskimi robotami, więc w zamian doświadczał też przywilejów. Nie jadał na przykład z innymi współtowarzyszami, tylko ze służbą w dworskiej kuchni, dostawał od kucharki biały chleb, oficjalnie zakazany dla Polaków. Mówi, że był tam lubiany, nawet przez dzieci von Papena. Z czasem otrzymywał też przepustki i mógł pojechać do domu.

Jednakże nic nie mogło stłumić bolesnej tęsknoty i poczucia, że się jest w niewoli. Najbardziej smutne były święta, a zwłaszcza Wigilia. Nawet napisał o tym w tekście zatytułowanym *Choinki oblewane łzami*. Píše tam m.in.: „Gdy nadeszła gwiazdka, ustroiliśmy choinkę i śpiewaliśmy

kolędy. Łzy same wciskały się do oczu, bo każdego naszły myśli o jego domu rodzinnym, o matce, o zniewolonej Ojczyźnie. Śpiewaliśmy też pieśni narodowe, które były surowo zakazane. Także późniejsze choinki do końca wojny były łzami polewane”. Dzisiaj mówi pan Konrad, że „kwiat jego młodości zabrała wojna”.

Wrócił do Łączek jako trzydziestoletni kawaler i był najwyższy czas szukać żony. Znalazł ją w pobliskim Mojuszu, nazywała się Władysława Jóskowska. Pobrali się w 1946 roku. Mieli jedną córkę Janinę. Mimo że pracowitości Gruchałom nie brakowało, a w gospodarstwie jeszcze pomagali rodzice Konrada, łatwo nie było, bo traktowano ich jako tzw. kulaków. Marynarska dzielność pomogła Konradowi przetrwać te trudne lata. Nie bał się komunistów; raz na zebraniu w Kartuzach publicznie wystąpił przeciw jakiemuś partyjniakowi, który atakował księżę.

Jednym z tragiczniejszych wydarzeń w powojennych dziejach Gruchałów był pożar, który zniszczył im cały dobytek, ostał się tylko dom mieszkalny. Było to w roku 1972 i dzisiaj mój rozmówca więcej opowiada o dobroci, której wtedy doznali od sąsiadów, strażaków, nawet władz, niż o stratach. Jednakże córka dodaje, że chyba najdzielniejszym w walce z żywiołem był jej ojciec, który potem długo w szpitalu leczył oparzenia.

Gdy warunki polityczne na to pozwoliły, pan Gruchała zaangażował się w budowę kościoła w Miechucinie. Był członkiem rady parafialnej i zbierał pieniądze od ludzi w całej okolicy. Dlatego jego rodzina jest tak mocno związana z tą parafią, mimo że później zbudowano bliżej położony kościół w Mojuszu.

W latach siedemdziesiątych Janina i jej mąż Eugeniusz Tesmer przejęli gospodarstwo Gruchałów. Pan Konrad mówi, że pracują na nim razem i bardzo chwali swego zięcia. Każde kolejne pokolenie zabiegało o rozwój gospodarstwa, dokupili ziemi i jeszcze dzierżawią, a specjalizują się w produkcji mleka. Teraz już i Tesmerowie oddali prawo własności synowi Karolowi, który ma 24 lata i jest kawalerem. Nadal wszyscy pracują wspólnie, pani Janina mówi, że ojciec każdego dnia coś robi, bez pracy nie może żyć. A on dodaje, że lubi to gospodarstwo. Może dlatego jest takim radosnym i serdecznym człowiekiem, patrzy przecież, jak już od czterech pokoleń jego ojcowizna rozkwita.

Truskawkowa potęga i gorycz

Wspomnienia zarejestrowano w okresie
od listopada 1997 do grudnia 1998 roku

Bronisława Polaszk
(1915–1998)

Bronisława Polaszk, ponad osiemdziesięcioletnia właścicielka niegdyś dobrze prosperującego gospodarstwa w Długim Krzu, bardzo ubolewała nad nieprawdziwymi informacjami o początkach truskawkarstwa na Kaszubach. Mówiła oburzona o fałszowaniu historii i o tym, że była naocznym świadkiem tych początków, że chce tę wiedzę upowszechnić. Dzisiaj, gdy truskawka jest przyczyną zasobności wielu kaszubskich rodzin, dobrze będzie się dowiedzieć, jak się to zaczęło. Poprosiłam panią Sławkę o spisanie swoich wspomnień, jako że potrafi nie tylko barwnie opowiadać, ale i pisać. Zabrała się gorliwie do pracy, wbrew drżącym nieco dłoniom i bolącym oczom. Po dwóch miesiącach przyniosła trzydziestostronicowy rękopis i powiedziała: - Ja swoje zrobiłam, teraz to wydrukujcie! Staralam się zbyt nie ingerować w tekst, by zachować swój niepowtarzalny charakter. Jednak pewne zmiany wprowadziłam, żeby uniknąć powtórzeń i zbyt odległych dygresji. Do opowieści pani Sławki dołączyłam również opis dziejów jej samej, co czyni te wspomnienia pełniejszymi.



Urodziłam się w zaciszu powiatu kartuskiego, w trakcie pierwszej wojny światowej, w miejscowości Długi Kierz, w dniu 7 marca 1915 roku w dziesięcioosobowej rodzinie Marty z domu Kreft i Franciszka Polaszk. Było nas ośmioro dzieci, trzech chłopców: Józef, Władysław i Franciszek oraz pięć dziewcząt: Helena, Marta, Gertruda, Joanna i ja – Bronisława Władysława. Rodzice byli właścicielami piętnastohektarowego gospodarstwa. Ziemia ta, pochodząca z parcelacji byłego majątku Długi Kierz, w przeważającej części była piątej klasy. Duża jej część pokryta była wodą, wrzosem, kamieniami i krzewami. Trzeba było ogromnego wysiłku i trudu, by kawałek po kawałku niejako wydzierać tę ziemię naturze. Była to praca ciężka, a niekiedy syzyfowa. Ponad rok przed moim urodzeniem najstarsza siostra Helena wyszła za mąż za Józefa Gruchałę. Tej córce w posagu rodzice dali swoje gospodarstwo.

Latem 1914 roku wybuchła wojna. Mężczyźni zostali powołani do niemieckiego wojska, ojciec i szwagier także. Chociaż trwała wojna, wczesne dzieciństwo miałam spokojne i radosne. Z tego najwcześniejszego okresu zostało mi w pamięci pewne szczególne wydarzenie. Działo się to w pierwszej połowie maja roku 1917. Był wiosenny zmierzch. Mama przygotowała dzieciom łóżka i poszła wraz z siostrą Heleną i chłopcami robić wieczorny obrządek inwentarza. My, młodsze dzieci, zostawione w mieszkaniu same, harcowałyśmy w łózkach, aż dudniło. Nagle otworzyły się drzwi i do pokoju wszedł mężczyzna w wojskowym mundurze. Chwila konsternacji, a zaraz potem nastąpiła wielka wrzawa starszego rodzeństwa i głośne, radosne okrzyki: „Tata! Tata! Tata!” A więc to jest ten nasz tata, pomyślałam. Mama modliła się z nami codziennie o szczęśliwy powrót taty z wojny. Pobiełam witać go razem z innymi.

Ojciec wojował na terenie Francji, w Alzacji i Lotaryngii, i tam został ranny. Po wyleczeniu dostał ten okolicznościowy urlop, który sprawił wszystkim tyle radości. Matka w czasie jego pobytu przygotowywała jak najlepsze posiłki, a ojciec opowiadał nam o swoich wojennych przeżyciach. O tym, jak daleko od domu zazdrościł swemu psu, który spokojnie spędzał noc w wymoszczonej słomą budzie, gdy on o głodzie i chłódzie, ocierając się wielokrotnie o śmierć, walczył w szeregach znienawidzonych Prusaków.

Gdy nastała wreszcie Polska a mężczyźni powrócili do domów, wszystko byłoby dobrze, gdyby nie bieda, która dawała się nam we znaki. Nie było grosza na podstawowe życiowe potrzeby. Głowili się wszyscy, jak wyjść z biedy. Helena Gruchałowa też nad tym myślała. Aż wymyśliła. Postanowiła hodować mirty. Kupiła znaczną ilość doniczek i rozpoczęła produkcję. Sadziła, nawoziła, podlewała, doglądała, a mirty ładnie wzrastały i wabiły specyficznym zapachem. Pamiętam do dziś te rzędy doniczek. Bardzo ładnie mirty się w nich prezentowały i cieszyły serce Heleny, która wnet miała doznać gorzkiego zawodu. Szybko przekonała się, że produkcja mirtów jest nierentowna.

Był 3 maja 1922 roku, podwójne święto. Po nabożeństwie w wygodnym kościele i po obrzędzie Helena Gruchałowa wyruszyła na miedzę po nową porcję sadzonek poziomkowych. Poziomki, które Helena posadziła rok i dwa lata wcześniej w swoim ogródku, już pięknie owocowały i rokowały pewne nadzieje. Po niewypale z produkcją mirtów nieśmiało, gdzieś tam w zakamarkach serca, snuła marzenia o ewentualnym sukcesie z produkcją poziomek.

Gdy wracała z pola z nową porcją sadzonek, przechodząc obok domu sąsiadki natknęła się na nią, stojącą tam wraz z córką. Jasnowłosa, dwunastoletnia Łucja Warmowska zagadnęła Gruchałową widząc, że znów niesie sadzonki poziomek: – U nas są zarośnięte w trawie takie



Helena Gruchała

czerwone jagódki, podobne do tych poziomek, ale nieco większe. Gruchałowa poprosiła sąsiadkę o rozsady tych jagódek.

Rozalia Warmowska kazała córce przynieść tak zwany hak czyli motyczkę do kopania ziemniaków i nią wydobyła z ziemi wielką kępę trawy wraz z krzaczkiem jagody. Obróciła hak ostrzem rogów ku górze i jego tępą nasadą waliła z całej siły w te kępy, by wytłuc z niej ziemię i trawę, a wydobyć tkwiący tam krzaczek. Przy tej operacji mówiła głośno: – *To nie je nic wort – to nie je do niczegłe!* Wysupłany z dużej kępy krzaczek jagódki miał dookoła młode latorośle – słabiutki, bardzo wątłe, wręcz anemiczne sadzonki, osłabione przez bujną trawę, w której rosły. Tych sadzonek było siedem. Rdzeń krzaczka był jakby trochę suchawy, więc go odrzuciły, a owe siedem wątych sadzonek Łucja podała czekającej przy płocie Gruchałowej.

Świadek tego wydarzenia, do niedawna żyjąca Łucja Warmowska, wyszła za mąż za Józefa Cirockiego, który zginął w czasie drugiej wojny. Jako wdowa Łucja Cirocka mieszkała u swej córki, nauczycielki Anny Kasprzak, w Kartuzach na Osiedlu Derdowskiego. Kontaktowałam się z nią telefonicznie pisząc te wspomnienia i pragnę tu z całą mocą podkreślić, że Łucja do końca doskonale pamiętała moment, gdy podawała Gruchałowej dokładnie, jak mówiła, siedem rozsadek. Mimo podeszłego wieku cieszyła się do ostatka dobrą pamięcią i słuchem. Zmarła skończywszy 90 lat 24 lutego 1998 w Kartuzach.

Dla nowych sadzonek Helena przeznaczyła miejsce obok starego domu. Skopała głęboko skrawek ziemi, wynawoziła, posadziła roślinki i podlała. Odtąd te subtelne, delikatne czerwone jagody stały się jej oczkiem w głowie. Opiekowała się nimi bardzo gorliwie, z wielką troskliwością i pietyzmem ich doglądała, a czerwone jagody, czyli truskawki wdzięcznie odwzajemniały się swej opiekunce, rosły i rozmnażały się. Już nie mieściły się na kawałku ziemi koło starego domu, Helena zmuszona była wyjść z nimi na szersze pole.

Gdy z pierwszym koszykiem pojechała do Gdańska, rozważała, czy go sprzeda, a jeśli, to za ile. Wsiadłszy z pociągu szła w kierunku hali targowej. Wiatr odchylił papier, którym przykryty był koszyk. *Haben Sie Erdbeeren da?* – zapytał z niemiecka przechodzący pan. *Ja* – brzmiała odpowiedź Heleny. *Was kostet das?* – znów zapytał przechodzień. Niezorientowana w cenie Helena wymieniła sumę, którą ów przechodzień podwoił i zabrał całą zawartość koszyka. Uradowana wróciła do domu.

Takie były pierwsze kroki stawiane przez Helenę w uprawie truskawek. Sąsiedzi i inni ludzie patrzyli na nią spode łba, naśmiewali się, dowcipkowali, a nawet ironizowali. Mawiano: – To żadna gospodyni, to taka kura, co wciąż grzebie w tej ziemi! Gruchałowa nie zważała na

ironię ani na docinki, robiła swoje. Motyczkowała, rozcieńczała nawóz wodą i podlewała truskawki. Sypiała cztery godziny na dobę! To był prawdziwy tytan pracy. Truskawki odwdzięczały się jej pięknym, dorodnym owocem.

Gdy Helena miała już trochę więcej truskawek, zaczęła je wywozić na sprzedaż. Jeździli oboje z mężem, najpierw furmanką do stacji kolejowej w Mojuszu, dalej do Gdyni pociągiem. A gdy jechali na Hel, do Jastarni lub Władysławowa, to płynęli stateczkiem *Wanda*. Pewnego razu wracając z Helu dojechali pociągiem do Kartuz. Okazało się, że nie ma połączenia do Mojusza, bo w tym dniu wykoleił się pociąg niedaleko stacji Miechucino i tor był zatarasowany. Taksówki żadnej nie było. Nie mieli Gruchałowie innego wyboru, jak tylko nocować na dworcu. Byli oboje potwornie zmęczeni. Przez dzień poprzedni zrywali truskawki, potem przygotowywali towar i jechali, tak więc mieli przed sobą drugą noc nieprzespaną. Postanowili uciąć sobie drzemkę, układając ręce i głowy na dworcowych stołach. Po jakimś czasie głośne skomlenie Heleny obudziło jej męża. Przerwał jej spanie pytając, czy miała jakiś przykry sen. Przyznała, że tak, że ktoś jej powiedział w tym śnie: - Wasze truskawki są tak zniszczone, jakby po nich ktoś wozem jeździł. Helena była bardzo zdenerwowana. Mimo że była trzecia nad ranem, uprosiła męża, by poszukał jakiegoś samochodu i natychmiast pojechali do domu. Całą drogę o niczym innym nie myśleli, tylko o tym, co z truskawkami. Czy sen był prawdziwy?

Pełna najgorszych przeczuć pierwsze kroki skierowała na plantację. Niestety, sen był proroczy! Truskawki stratowane! Wszystkie rzędy, dokładnie miejsce przy miejscu, skrupulatnie były podeptane *korkami* – takimi wielkimi, grubymi drewniakami, jakie naówczas noszono przy domu. Był to iście szatański czyn! Helena była tym bardzo oburzona i wstrząśnięta. Nie mogła sobie miejsca znaleźć. Młoda plantacja, rokująca wielkie nadzieje, pierwszy zbiór! Tyle włożonego trudu! W deszczowe wiosenne dni wiadrami na nosidlach i na bosaka nosiła rozcieńczoną gnojówkę i podlewała te krzaczki. Tyle mordęgi! Tyle krzywdy! Helena bardzo przeżyła to okropne wydarzenie, jednak nie poddała się zwątpieniu, nie pozwoliła się zastraszyć. Wielką siłą woli postanowiła kontynuować swoje truskawkowe dzieło. Odrestaurowała plantację, zrobiła nowe nasadzenia i poszerzyła ją. Rozdawała też za darmo truskawkowe sadzonki, zachęcając ludzi swą mrówczą pracą do naśladowania. Zwykła była mawiać: – *Sadzta so lëdze truskawczy, a wënëketa so biédã z chëczy*.

Gdy miała już większą plantację, zaniósła koszyk truskawek miejscowemu księdzu proboszczowi Anastazemu Sadowskiemu w Wygodzie. Ksiądz podziwiał dorodny owoc, chwalił smak i wyraził życzenie, żeby

osobiście zobaczyć plantację. Na miejscu, urzeczony widokiem rozpościerającej się przed nim wspaniałej plantacji z dorodnymi owocami, stanął jak wryty, oniemiał z wrażenia. Po czym z podziwem i w wielkim uniesieniu głośno wołał: – Cud, cud, cud!

Gratulował gospodarzom sukcesu i oświadczył, że zgłosi tę plantację do konkursu. Niebawem przyjechali kompetentni panowie z branży ogrodniczej z Torunia, który był naówczas miastem wojewódzkim, i komisyjnie ustalili dla dzielnej plantatorki nagrodę w wysokości jednego tysiąca złotych. Była to wówczas duża suma. Gruchałowa podziękowała za nagrodę, ale jej nie przyjęła. Miała już dosyć swoich pieniędzy i ów tysiąc ofiarowała na wspaniały cel, mianowicie na oświatę. Wobec księdza Sadowskiego Gruchałowa uczyniła też piękny gest: wybrała najdorodniejsze sadzonki truskawek i posadziła koło plebanii. Cała plebania była w truskawkach.

W tym miejscu powinienam dokładniej wyjaśnić, skąd wzięły się owe czerwone jagody u wdowy Rozalii Warmowskiej. Oto i cała historia. Pierwszym mężem Rozalii był Michał Lewna, który zginął w pierwszej wojnie światowej. Wdową zainteresował się wdowiec Wilhelm Warmowski. Miał gospodarstwo rolne niedaleko miejscowości Szklana. Około 300 metrów od jego zabudowań, przy rozwidleniu dwóch dróg – z Sierakowic do Kamienicy Szlacheckiej oraz do Borucina – w miejscu, gdzie obecnie stoi krzyż, tylko po przeciwnej stronie, stała niemiecka szkoła, wybudowana w drugiej połowie dziewiętnastego wieku. Szkoła ta w czasie wojny światowej spłonęła i przestała istnieć. Nauczyciel Niemiec wyjechał. Po nim w szkolnym ogródku zostały truskawki, z których wziął trochę rozsadek Wilhelm Warmowski. Latem 1919 roku przyniósł parę sadzonek wdowie Rozalii. Jednak ta miała gospodarstwo, gromadkę dzieci i jeszcze niewielki sklepik prowadziła, więc nie było czasu na doglądanie nieznanych roślinek. Sadzonki prawdopodobnie posadzono i zapomniano o nich. Nikt ich nie pielęgnował. Po upływie trzech lat dwa krzaczki zagięły bez śladu, a po trzecim, też już uschniętym, pozostało owo siedem mizernych, wątłych sadzonek.

W latach trzydziestych uprawa truskawek w gospodarstwie Gruchałów osiągnęła swój najwyższy rozkwit – mieli wówczas czternaście mórg czyli trzy i pół hektara ziemi pod truskawkami! W okolicy nie było żadnego zakładu pracy, gdzie miejscowa ludność mogłaby trochę zarobić. Były tylko kamieniołomy w Mojuszu i cegielnia w Długim Krzu, gdzie zatrudniano około piętnastu ludzi. Gruchałowa zatrudniała do trzydziestu osób. Za pracę płaciła dobrze. Oprócz tego dawała dwa posiłki dziennie – obiad i podwieczorek. Dlatego już od początku roku zaczynali zgłaszać się młodzi ludzie – zwłaszcza dziewczęta i młode mężatki – do pracy przy motyczkowaniu, a także przy zrywaniu owoców.

Gdy zbiory truskawkowe Gruchałowej były już bardzo obfite, kupcy z Gdańska sami przyjeżdżali do niej po towar. Raz zdarzyło się, że chcąc zabrać cały towar, przeładowali wóz. Włożyli trzy i pół tony owoców, wóz nie wytrzymał i powyżej Wygody, na górze na wprost „herkulesa” nastąpiła awaria. Trzeba było telefonicznie używać pomocy i cały ogromny ładunek przeładować. To było piekło dla kupca!

Dnia 3 lutego 1939 roku Helena i Józef Gruchałowie obchodzili uroczystości jubileusz 25-lecia pożycia małżeńskiego. Na uroczystość zaproszony był między innymi ksiądz Zygmunt Poćwiardowski, od 1935 roku proboszcz w Wygodzie. Z powodu nieszczęśliwego wypadku nie mógł przybyć osobiście i ze szpitala w Kartuzach napisał do jubilatów długi list z życzeniami. Oto jego treść:

„Kochani Jubilaci! W uroczystym tym dniu składam Wam, moi drodzy, jako Wasz proboszcz moje najserdeczniejsze życzenia. Z całego serca byłbym razem z Wami, ale trzeba ofiarę złożyć – zamiast być u Was, muszę leżeć w szpitalu. Byliście dla mnie bardzo życzliwi. Zawsze wspomagaliście mnie, ile razy się do Was zwróciłem. Przyjmijcie więc dziś tu publicznie wobec Wszystkich, moje szczere podziękowanie. Niech *gułki* się chowają, niech truskawki rosną. Cała okolica dziś wdzięczna jest tej cichej, pracowitej Gruchalinie za te jagody, które właśnie przed żniwami, kiedy najciężej, tyle przynoszą »dytków«. Gdyby wszystkie kobiety były tak pracowite byłoby dobrze w świecie.

I jagodnik Gruchała znany jest daleko i szeroko. Zna dobrze świat, był na wojnie, był w Niemczech, a jednak pozostał dobrym katolikiem, dobrym Polakiem, wiernym Kaszubą. Chcieli go zatrzymać w Reinlandzie, chcieli mu dać gospodarstwo, ale Gruchała wrócił do Kaszubów. Tu znalazł swoją »Lenę« i jest dziś powszechnie lubiany i szanowany.

Kochani Jubilaci! Niech ten dzień pozostanie Wam w pamięci. (wyraz nieczytelny) Podziękowaliście Bogu dziś rano, a teraz w gronie najbliższych i księdza wikarego, który mnie zastępuje, bawcie się wesoło. Duchem jestem z Wami. Wypijcie za Wasze i moje zdrowie! Jubilaci niech żyją!”

Helena Gruchałowa zmarła nagle 30 czerwca 1944 roku, w pięćdziesiątym roku swego życia, nie doczekawszy wyzwolenia spod okupacji. W ostatni wieczór swojego życia, w święto Piotra i Pawła, około godziny 21.00, gdy widocznie bardzo źle się czuła, wyszedłszy przed dom zawołała męża Józefa, będącego na podwórku. Po czym straciła przytomność i jej nie odzyskała. Pojechano po lekarza do Sierakowic, lecz ten nie przyjechał chorej na ratunek. Następnie wysłano bryczkę po księdza. Ksiądz Poćwiardowski stawiał się o drugiej w nocy. Helena zmarła o szóstej rano. Pogrzb odbył się przy licznych udziałach wiernych i, co ważniejsze, została pochowana na honorowym miejscu cmentarza

w Wygodzie, przy samym krzyżu – w zamian za zasługi, jakie posiadała nie tylko jako darczyńca kościoła, ale jako pionierka truskawkarstwa na Kaszubach. Proboszcz Poćwiardowski nie przyjął zapłaty za pogrzeb, a w przemowie podkreślił, że Gruchałowa truskawkami uratowała Kaszuby od biedy.

W 1996 roku ukazał się w „Pielgrzymie” (nr 13/171) artykuł pod tytułem *Truskawkowe życie*, z niego pozwolę sobie przytoczyć taki oto fragment: „W Wygodzie nie żyje się może wygodnie, komfortowo, ale całkiem dostatnio. Zapewniają to truskawki, które na nieurodzajne gleby kaszubskie sprowadził ksiądz Poćwiardowski. Uprawa się przyjęła i powstało truskawkowe zagłębie ...” i dalej: „Każdego roku wygodzianie przekazują w darze 700 kobiałek truskawek Wyższemu Seminarium Duchownemu w Pelplinie. Chcą w ten sposób wyrazić wdzięczność za to, że duszpasterz uratował Kaszuby od biedy.” Aż wierzyć się nie chce, że w katolickim piśmie publikuje się tak wielką nieprawdę! Ksiądz Poćwiardowski przybył do Wygody w roku bodajże 1935, podczas kiedy truskawka zaczęła być uprawiana przez Helenę Gruchałową w 1922 roku. Najprawdopodobniej nazwisko księdza podano pomyłkowo, miało pewnie chodzić o księdza Anastazego Sadowskiego. Ale mieszkańcy parafii Wygoda dobrze wiedzą, że żaden ksiądz – ani Poćwiardowski, ani Sadowski – truskawek na Kaszuby nie sprowadził. To wielkie nieporozumienie! Tą, która wprowadziła uprawę truskawek na Kaszubach, była Helena Gruchałowa poprzez to, że 3 maja 1922 roku zasadziła w swym ogrodzie pierwsze rozsady.

Pragnę w tym miejscu przypomnieć, że ksiądz Sadowski, gdy zachwycił się plantacją Gruchałowej, zgłosił ją do nagrody. Stało się to najprawdopodobniej powodem mylnych insynuacji i przypuszczeń. Uważano bowiem, że skoro ksiądz zgłosił tę plantację do nagrody, to prawdopodobnie i on te truskawki sprowadził. W przewodnikach turystycznych z tamtych czasów zaczęły się ukazywać informacje, że ksiądz proboszcz Sadowski sprowadził truskawki. A przecież to wielkie nieporozumienie!

Oprócz listu księdza Poćwiardowskiego są i inne dowody na pionierską rolę mojej siostry. Już po wojnie ukazywały się teksty, gdzie wymieniano ją jako tę, która zapoczątkowała uprawę truskawek na Kaszubach. W czasopiśmie „Kaszëbe” nr 8 (63) Karol Rozbicki pisał: „Szeroko po ziemi kartuskiej krążą legendy o Helenie Gruchałowej. Jak zwykle w legendach, tak i w tej, nikt dokładnie nie wie, jak to było z tą Gruchałową. W Kamienicy Szlacheckiej, Miechucinie, Borzestowie i w Kamienicy Królewskiej – wszędzie powiedzą: – Gruchałowa z Długiego Krza sprowadziła truskawki. Czerwona jagoda była do pierwszej wojny znana tylko z opowiadań i tchnęła egzotyką. Gruchałowa tworząc własną,

sprowadziła truskawkową legendę na ziemię. Przyniosła skądś - dziś tego nikt nie wie, skąd - kilka wątych roślinek i wsadziła je w ogródku przed domem. Latem pojawiły się pierwsze jagody. Urwipolcie z całej wsi nie dawali spokoju soczystym, pieszczonym i hołubionym owocom. Kobieta zrywała się w nocy i odpędzała intruzów. Równocześnie, choć sama niewiele ich miała, wydzielala sąsiadom po kilka sadzonek”.

Genezę truskawkarstwa na Kaszubach opisałam uczciwie i sumiennie, z całą odpowiedzialnością przed Bogiem i społeczeństwem. Truskawki na Kaszubach to niezaprzeczalne dzieło Heleny Gruchałowej, która ma tym samym wielkie zasługi dla tej ziemi. W rocznicę jej śmierci, na świętych Piotra i Pawła, uczcijmy ją wspomnieniem i wdzięczną modlitwą.



Na tym kończy się relacja pani Sławki Polaszki. Dzieje rodziny, która rozpowszechniła na Kaszubach truskawki, będą pełniejsze, gdy dodamy do niej wspomnienia opisujące życie pani Sławki, która kontynuowała dzieło siostry. Spisałam je po wysłuchaniu kilkugodzinnych opowieści.

Bronisławę Władysławę Polaszki zna wielu z racji swoistego talentu krasomówczego, używa bowiem wyjątkowo poprawnej i nieco staroświeckiej polszczyzny, ale i po kaszubsku mówi bardzo pięknie. Zawsze garnęła się do ludzi żyjąc sprawami swojego środowiska, często wypowiadała się na różnych zgromadzeniach i zawsze miała coś ważkiego do powiedzenia. Jeszcze kilka lat temu, podczas gminnych spotkań seniorów chętnie wygłaszała dla umilenia czasu długie recytacje, na przykład z Mickiewicza. Podkreśla, iż zna na pamięć dwadzieścia sześć, niekiedy bardzo długich, wierszy. Miejscowi mówią, że była podobno nauczycielką. Dzisiaj pani Bronisława ma 82 lata i czuje się bardzo osamotniona. Swego czasu dom, w którym mieszka, ożywiały huczne gościny, a dziś wszystko się pochyliło ze starości, tak jak zmałała i posiwiała jego mieszkanka. Dawniej miała wielu starających się, a dzisiaj mówi, że żaden nie był tym wyśnionym. Kiedyś marzyła o studiach uniwersyteckich i do teraz z wielkim rozżaleniem te niespełnione marzenia rozpamiętuje. Nie znaczy to wcale, że jest zgorzkniała i nieaktywna. Jest nadal młoda duchem.

Jak sama podkreśla, urodziła się w podczas pierwszej wojny światowej w Długim Krzu i na zawsze zamieszkała w tej wsi, przynależnej do wygodzkiej parafii. Gdy przyszła na świat, najstarsza siostra Helena była już od roku mężatką i ze swym małżonkiem Józefem Gruchałą zostali rodzicami chrzestnymi Bronisławy. Sławka od maleńkości garnęła się do nauki. Mówi, że w wieku pięciu lat czytała adoracje do żłóbka w kościele. Gdy przyprowadzono ją do siedmiooddziałowej a czteroklasowej szkoły w Lisich Jamach, okazało się, że umie już czytać. Do pierwszej klasy chodziła rok, drugą „przeskoczyła”, trzecią zaliczyła w rok, a resztę

tych siedmiu lat spędziła w najwyższej, czwartej klasie. Szkoła była skromnie wyposażona, ale nauczycieli wspomina jako bardzo dobrych; uczyły dwie siostry Anna i Rozalia Pozorskie, a kierownikiem był pan Modrzejewski. Pewnie i pedagodzy namawiali Polaszków, by dziewczynie umożliwiono dalszą naukę; wszak ona podkreśla, że sama bardzo ich o to prosiła, bo niczego tak nie pragnęła, jak się uczyć. W załatwieniu szkoły pomogli państwo Trześniakowie, którzy mieli pierwszą fabryczkę obróbki bursztynu w Gdyni.

Od 1929 do 1932 roku Sławka uczęszczała do siedmioklasowej Publicznej Szkoły Powszechnej w Gdyni przy ul.10 Lutego, która bardzo różniła się od szkółki w Lisich Jamach. Posiadała gabinety do fizyki, chemii, geografii, a także pracownię do robót ręcznych. Dziewczęta uczyły się szycia (były cztery maszyny krawieckie) oraz gotowania (była też kuchnia), a chłopcy stolarki. Ogółem na świadectwie szkolnym figuruje dwanaście przedmiotów. Miała też możliwość nauki języka obcego – wybranego spośród trzech. Bronisława zdecydowała się na język niemiecki i dlatego rozpoczęła naukę w połowie klasy piątej, bo tego języka nie uczyła się wcześniej. W innych przedmiotach była bardziej zaawansowana i mogłaby rozpocząć naukę od klasy szóstej. Na początku miała pełno obaw, czy sobie poradzi, ale już pierwsze oceny pokazały, że jest zdolna. Najlepiej widać to na świadectwie ukończenia szkoły, gdzie znakomita większość przedmiotów jest oceniona na bardzo dobry. Do dzisiaj pani Bronisława wspomina tę szkołę z ogromnym szacunkiem i czułością. Przez dziesiątki lat utrzymywała kontakty z koleżankami z gdyńskiej ławy szkolnej, jak również z jednym z nauczycieli – profesorem Kordasem.

Dopiero po skończeniu pełnej szkoły podstawowej otwierały się przed siedemnastoletnią Sławką możliwości dalszego kształcenia. Miała upatrzoną szkołę – liceum humanistyczne w Tczewie. Jednak była ona o wiele kosztowniejsza niż stancja w Gdyni. Miesięczna opłata miała wynosić 53 złote. To była zbyt duża kwota dla rodziców Bronisławy. Mieli przecież jeszcze inne dzieci, którym trzeba było wyprawić wesela, dać posagi.

Prawdą jest, jak mówi moja rozmówczyni, że Gruchałowie byli w bardzo zażyłych stosunkach z księdzem Sadowskim i w założonym przez niego w Wygodzie Banku Ludowym lokowali wszystkie swoje dochody z coraz lepiej prosperującej plantacji truskawek. Na początku lat trzydziestych, gdy nastał najlepszy dla Gruchałów okres, dochody z truskawek były bardzo duże. Gruchałowa hojnie fundowała różne potrzeby parafii – dzwony, sztandary. Pani Bronisława mówi z rozżaleniem, że siostra ślepo wierzyła księdzu, ufała, że pieniądze w banku są bezpieczne. Oddawała tam każdy grosz, natomiast nie myślała



Bronisława Polaszk

o potrzebach swojej najmłodszej siostry i chrześniaczki jednocześnie. A ta tak bardzo pragnęła się uczyć! Skutki wielkiego kryzysu dosięgły i naszych stron – bank splajtował w 1933 roku i pieniądze Gruchałów przepadły. Nadziei na dalszą naukę nie było już na czym opierać. Pozostała gorycz.

Gruchałowie i Polaszkowie nadal uprawiali truskawki, chociaż nie dawały już takiego dochodu. Tłumaczyli Sławce, że jest im potrzebna w domu, że ją sobie upatrzyli na dożgonną opiekunkę. Mieli zresztą piętnaście hektarów ziemi i – mimo że wynajmowali ludzi – trzeba się było nieźle urobić. Ojciec Sławki zmarł na początku drugiej wojny, a pod koniec, jak wiemy, zmarła siostra Helena. Wtedy wraz z matką zamieszkały u Gruchały. Był dla Sławki jak ojciec, swoich dzieci nie miał.

Po wojnie dostęp do szkół był łatwiejszy. W początkach lat pięćdziesiątych pani Sławka zapisała się do szkoły korespondencyjnej stopnia licealnego w Gdańsku. Wybrała ją, bo była bezpłatna. Miejscowi myśleli, że uczy się na nauczycielkę, ponieważ nikt w okolicy tak długo się nie uczył. Do dziś przechowuje plik prac pisemnych sprzed półwiecza, które ilustrują jej edukację w tamtych czasach. Są prace z literatury, historii, a nawet geologii. Pamięta też doskonale zawartość tych tekstów i pokazuje mi fragment, gdzie zakończyła wypracowanie stwierdzeniem, iż „za sanacji nauka była przywilejem ludzi zamożnych”.

Bardzo ciężko przychodziło jej godzić obowiązki związane z prowadzeniem gospodarstwa i naukę w szkole. Uczyła się właściwie tylko nocami. Pamięta, że wiele ich spędziła na czytaniu *Chłopów*. Jeździła do Gdańska tylko raz w miesiącu na tzw. kursokonferencję, chociaż konsultacje były co tydzień, ale korzystali z nich tylko bliżej mieszkający. Często miała wyrzuty sumienia, że za mało się uczy. Pewnego razu z dużym zażenowaniem usprawiedliwiała się przed nauczycielem geografii, że nie jest przygotowana do zajęć. Potem jednak okazało się, że tylko ona jedna zna odpowiedzi na pytania nauczyciela. Bardzo mu tym zaimponowała.

Ówczesny kierownik szkoły w Lisich Jamach – Florian Stolec – zwrócił się do pani Bronisławy z propozycją podjęcia pracy nauczycielskiej. Odmówiła, bo gospodarstwo było ważniejsze. W ostatnich miesiącach przed maturą ciężko zaniemogła i znalazła się w szpitalu. Chorowała wcześniej i wiedziała, że powinna poddać się operacji, ale ją odwlekała, aż wreszcie nie było innego wyjścia. Mówi, że tylko dzięki doktorowi Mroczkiewiczowi, który wtedy był dyrektorem kartuskiego szpitala, została przy życiu. Długie miesiące leczenia uniemożliwiły jej zdawanie matury w wyznaczonym czasie. Do szkoły już nie wróciła.

Pani Bronisława mówi, że jest kontynuatorką dzieła siostry Gruchalowej; najpierw z matką a potem ze szwagrem uprawiała truskawki. Nie ograniczała się jednak do obrabiania ziemi z truskawkami. Aktywnie włączyła się w badanie i upowszechnianie nowych odmian. Była członkiem wielu stowarzyszeń ogrodniczych i współpracowała z placówkami naukowymi w Miłobądku i Skierniewicach. Mówi, że ogółem przetestowała siedemnaście różnych odmian truskawek. Na swojej ziemi urządzała oddzielne poletka dla każdej z nich, ustawiała tabliczki z ich nazwą oraz ostrzeżeniem: „Krzaczki doświadczałne, nie wolno zrywać”. Potem te truskawki mierzyła, ważyła, liczyła i wszystko spisywała. Jako jedną z najlepszych w tamtych czasach odmian wymienia truskawkę o nazwie *talizman*. Sprowadziła ją kilka lat po wojnie, bo przedwojenna odmiana zaczęła drobnieć. Truskawka *talizman* miała wiele zalet: była plenna, dorodna i bardzo smaczna, jednak zbyt wrażliwa na transport, żeby ją upowszechniać. Mimo to pani Bronisława dla własnych potrzeb długo tę odmianę uprawiała.

O dokonaniach pani Bronisławy Polaszk pisano w fachowych i codziennych czasopismach, nagrywano wywiady do radia. Jej plantacje odwiedzały wycieczki, zapraszano ją na różne narady ogrodników, a raz nawet była gościem ogólnopolskiego zjazdu truskawkarzy w Warszawie, gdzie mówiono o jej osiągnięciach. Oto fragment obszernego tekstu p.t. *Truskawki i kobiety* pióra J. Fidlera z czasopisma „Owoce, warzywa, kwiaty” z 1963 roku:

„Ta pełna zapału i werwy życiowej kobieta całe swe siły poświęciła od kilku lat sprawie truskawek. Założyła i sama prowadzi ponad półtora hektara truskawek. Nie zadowala się jednak bardzo dobrymi wynikami, jakie dzięki własnej wyteżonej pracy uzyskuje przy uprawie miejscowej odmiany truskawek, uprawianej na terenie bazy od lat kilkunastu. Z całym zapałem oddaje się badaniom u siebie i wprowadzaniu nowych odmian, lepiej plonujących. To ona właśnie wprowadziła polecane przez instruktorkę Poradzińską odmiany Talizman, Senga Sengana i wiele innych. Dzisiaj w jej gospodarstwie istnieje coś w rodzaju małego, prowadzonego bez dotacji zakładu doświadczalnego, w którym wykazuje się i bada przydatność kilkunastu nowych odmian”.

Widać z tego, że – pomimo iż całe życie przemieszkiała w Długim Krzu – była kobietą światową. Nie tylko zresztą z powodu truskawek. Była ciekawa świata i zafundowała sobie kilka razy w życiu pobytu w sanatoriach i na wczasach. Do dziś przechowuje skrupulatnie swoje fotografie na tle gór i statków dalekomorskich. Została również w latach sześćdziesiątych wydelegowana na dożynki centralne do stolicy.

Mieszkańcy Długiego Krza byli bardziej odcięci od świata, dopóki nie wywalczyli sobie asfaltowej drogi. Pani Bronisława twierdzi, że

przyczyniła się do jej budowy znacząco, ponieważ na jednym z zebrań bardzo mocno stawiała tę sprawę. Pamięta, że dla zminimalizowania problemu mówiła o czterech kilometrach i taka cyfra figuruje na tablicy po dziś dzień, chociaż tak naprawdę droga jest nieco dłuższa.



Dnia 22 października 1998 roku w wieku 83 lat zmarła Bronisława Władysława Polaszk. Do ostatnich dni swego życia kłopotła się, by jak najdokładniej całą prawdę o zasługach Heleny Gruchałowej upowszechnić. Najważniejszy dokument związany z tą sprawą – list księdza Poćwiardowskiego – przekazała mi „pod opiekę” w niespełna miesiąc przed własną śmiercią. Napisała wtedy do mnie: „Łódź mego życia dobija do tamtego brzegu”. Pochowano ją dnia 24 października 1998 roku na cmentarzu parafialnym w Wygodzie, obok Heleny Gruchałowej.

Znawca dobrej kiełbasy i motocykli

Rozmowę przeprowadzono w lipcu 1997 roku

Brunon Kobiela

(1915–1999)

Ma 82 lata, mieszka z żoną Joanną w jednej z najstarszych kamienic przy ulicy Kartuskiej. Wszyscy starsi mieszkańcy Sierakowic pamiętają go jako *bēlnego* gbura, który obrabiał pola w Starej Maszynie i pod Sosnową Górą, a także tam, gdzie dzisiaj jest tzw. nowa szkoła. Brunon Kobiela miał dobrze zmechanizowane gospodarstwo, a na ciągniku jeździł w pole jeszcze kilka lat temu. Od młodości miał pociąg do motoryzacji. Po wojnie był jednym z trzech mieszkańców Sierakowic, którzy mieli samochody, a w czasach kawalerskich nie rozstawał się z motocyklem. Wszak nawet ci, którzy go znają od dawna, pewnie nie wiedzą, że zanim został rolnikiem, był utalentowanym masażerem.

Urodził się w Reskowie, w zamożnej gburskiej rodzinie, ale w roku 1920 jego ojciec Franciszek nabył trzydziestomorgowe gospodarstwo od Niemca Kuscha w Sierakowicach. Kupiono nie tylko ziemię, ale również kompletne zabudowania, a nawet inwentarz żywy. To miejsce stało się rodzinnym gniazdem dla Brunona rodzeństwa, a potem dla jego własnej rodziny. Do dzisiaj w domu tym mieszkają dwie córki z rodzinami oraz najmłodszy syn Tomasz, który przejął gospodarkę.

Chodził do polskiej szkoły w Sierakowicach, gdy kierownikiem był pan Szyca. Najlepiej wspomina nauczycielkę Wandę Nadolną, natomiast nauczyciel o nazwisku Borek został zapamiętany jako ten, który bił uczniów, a kij do bicia miał zatknęty za cholewę wysokich butów. Raz nawet ojciec Brunona połamał mu ten kij na znak protestu wobec takich metod wychowawczych. Zresztą – podsumowuje to wspomnienie – ten szkolny był „antkiem”. Inne wspomnienie z lat szkolnych dotyczy kierownika Szycy. Gdy Brunon przyniósł do szkoły przez nieuwagę srebrną papierośnicę ojca, kierownik wybrał się do rodziców i wypytывał, czy syn nie pali papierosów. Ojciec musiał zaręczyć, że nie pali. O wychowanie dziatwy szkolnej dbał również ksiądz kanonik Łosiński, który nakłonił młodego Brunona, żeby chodził na spotkania KSM i brał udział w próbach chóru „Lutnia”.

Jednak osobą najbardziej znaczącą w okresie młodości dla Brunona był jego ojciec Franciszek. Ponieważ dom Kobieliów był duży i usytuowany w centrum Sierakowic, przeznaczył on część pomieszczeń na ubojnię, rzeźnię i wytwórnię wędlin, a także sklep z tymi wyrobami. Franciszek nie był uczony na rzeźnika, ale zatrudniał fachowców. Najlepszym z nich był niejaki Krefta i gdy Brunon skończył szkołę, pod jego okiem uczył się sztuki masarniczej. Był zdolnym uczniem, po kilku latach okazało się, że nikt jak on nie potrafi doprawiać wyrobów mięsnych. Dzieci dorastały i mięsny interes stał się podstawą utrzymania rodziny. Brunon pracował na zapleczu, a w sklepie sprzedawał jego szwagier. Wojna nie zakłóciła zbytnio rodzinnego interesu, bo Niemcy też potrzebowali regularnych dostaw. Jednak – jak podkreśla pan Brunon – zawsze solidnie za wszystko płacili. Kobielowie musieli część dziennej produkcji odstawiać dla wojska, były to całe beczki słoniny i smalcu.

Ponieważ młody Brunon nie uległ naciskom, żeby podpisać listy narodowości niemieckiej, miejscowy pastor Hoffmann przyczynił się do tego, że wywieźli go na roboty. Pół roku kopał rowy przeciwartyleryjne pod Toruniem, ale gdy przyjechał na pierwszy urlop, okazało się, że miejscowym Niemcom bardzo Brunona nieobecność dała się we znaki – nikt nie umiał zrobić tak dobrej kielbasy jak on. Wykombinowali, że otrzyma skierowanie na roboty, ale w rodzimej masarni.

Pan Brunon jeszcze dziś podkreśla, że zawsze starali się mieć wyroby najlepszej jakości, ale byłoby to niemożliwe bez dobrych maszyn. Dlatego jego ojciec, a potem on sam, zabiegali, by mieć najnowocześniejsze urządzenia. Mówi, że do dzisiaj ma komplet dobrze zakonserwowanych maszyn masarniczych, wszystkie z silnikami. Zastanawia się głośno: Może należało je dawno sprzedać...

Ojciec Brunona był nie tylko wielkim entuzjastą techniki. O dziadku Franciszku do dzisiaj krąży wiele legend rodzinnych. Jemu zawdzięcza rodzina na przykład piękny księgozbiór, który wypełnia całą biblioteczkę w mieszkaniu Joanny i Brunona. Otóż w czasie okupacji, gdy młodzi pracowali przy mięsnym interesie, straszy pan co jakiś czas podbierał im kilka sztuk słoniny czy jakiejś kielbasy, pakował to do worka i wywoził do Gdańska. Spragnionym konkretnego jedzenia „miastowym” sprzedawał zawartość worka za książki. Ten sam *rubzak* wypełniał książkami i wracał pociągami do Sierakowic. Z dworca na skróty, przez Księżę Pola i od ogrodu docierał do domu. Wybierał tak niewygodną trasę, bo jego żona – babcia Rozalia – była wielką przeciwniczką wymieniania mięsa na książki. Więc zostawiał worek gdzieś w pokrzywach i dopiero pod osłoną nocy dyskretnie lokował kolejne tomy w pokoju rzadziej odwiedzanym przez Rozalię, która i tak wyrzekała jeszcze wiele lat po wojnie: – Żniwny wóz by zebrał z tych książek.



Brunon Kobiela

A dzisiaj pan Brunon podkreśla, że tata byle jakich książek nie kupował. Rzeczywiście, dla znawcy to chyba same białe kruki, m.in. dwudziestoczwartotomowa encyklopedia, bogato ilustrowana; stare wydania Pisma Świętego, żywotów świętych no i sporo leksykonów o najnowszych wynalazkach technicznych. Wszystko do dzisiaj w dobrym stanie, w przepięknych oprawach.

Dziadkowa słabość do techniki przetrwała w innej anegdocie. Sprawił on sobie pojazd, podobny do motoroweru, zwany setką. Uruchomił ten niby rower z silnikiem dość łatwo, wyruszył na główną ulicę Sierakowic, ale miał problemy z zatrzymaniem się. Przejechał wieś wzdłuż i wszerz, na rynku okrążył kilka razy pompę i w końcu skierował się w stronę domu. Tam ciekawe finału dzieciaki usłyszały dziadka wołającego, żeby otwierały bramę na podwórze. Ledwo ją minął, krzyczy, by otwierać wrota do stodoły. Jakoś zdążyły i to polecenie wykonać, a gdy ochłoneły z wrażenia, zaczęły rozglądać się za dziadkiem. W jednym rogu stodoły znalazły jedną *szlorę*, w drugim drugą, a dopiero po dłuższej chwili z siana wygramolił się sam dziadek.

Franciszek, mimo że otwarty na nowoczesność, był raczej surowym ojcem. Brunon rozsmakował się w kawalerskim stanie i wytrwał w nim aż do czterdziestego roku życia. Jednakże w używaniu kawalerskich rozrywek bardzo przeszkadzał mu ojciec. Pewnie trochę z obawy o bezpieczeństwo syna, wszak w czasie okupacji obowiązywała godzina policyjna, a wyprawy kawalerskie Brunona przypadły na czas wieczorny. Jednak Brunon dzielnie pokonywał wszelkie trudności. Gdy dziadek zamykał go na klucz w pokoju, to raz dwa naszykował sobie drugi klucz. Gdy pilnował w pobliżu drzwi, żeby nie wyszedł, on schodził drabiną wcześniej przystawioną do okna, a mieszkał na piętrze. Gdy łańcuchem przytrzymał motocykl syna do wozu, ten szybko wynajdywał sposób na otworzenie kłódki. Surowy ojciec wątpił w skuteczność swoich zabiegów, gdy pewnego dnia wyjął z motocyklowego koła ośkę, a zaradny Brunon pożyczył od kolegi, który miał taki sam motocykl, potrzebną ośkę i bez przeszkód uruchomił pojazd. Ojciec, zupełnie zdezorientowany, powiedział wtedy do swojej Rozalii: – *Białko*, jak on i bez ośki na te *wreje* potrafi jechać, to my już nic nie poradzimy.

Dopiero grubo po wojnie znalazł sobie pan Brunon odpowiednią towarzyszkę życia. Z panią Joanną spotkali się w Czarnej Dąbrówce, gdzie pracowała jako urzędniczka, ale pochodziła z Gowidlina, z rodziny Lisów, i miała dwadzieścia cztery lata.

W tym czasie Kobielowie mieli już samochód, kupiony od uciekających Niemców (BMW rocznik 1933). Pod koniec wojny mieli jeszcze lepszy samochód, ale – mimo że schowany był głęboko w słomie – Rosjanie go znaleźli i zarekwirowali. Brunon o mało nie stracił życia przez



Goście weselni Joanny i Brunona – Gowidlino 1955 rok

ten samochód, bo wyspał do paliwa cukru. Rosjanie uparcie holowali go do Kartuz, a tam wszystko się wydało i Brunona oskarżono o sabotaż.

W pierwszych latach powojennych samochody w Sierakowicach posiadali Marcińscy, Stanisław Bronk i Kobielowie. Pan Brunon często był proszony o zawiezenie kogoś do chrztu czy do ślubu. Jednak najwięcej wspomnień wiąże się z osobą księdza Jana Nowickiego, któremu często szoferował. Jeździli na odpusty do sąsiednich parafii, czasem na kolędę, ale najbardziej emocjonujące były wyjazdy do komunistycznych urzędów, z którymi ksiądz Nowicki miał na pieńku. Najgłośniejsza była sprawa o kościół poewangelicki.

Pewnej niedzieli w maju 1956 roku ksiądz Nowicki zupełnie niespodziewanie ogłosił, że po południu tegoż dnia odbędzie się uroczystość poświęcenia dotychczas zamkniętego kościoła. Ludzie potem mówili, że ksiądz miał swoich informatorów i wiedział, że istnienie kościoła jest zagrożone. Rzeczywiście, zaraz w poniedziałek w biały dzień do kościoła podjechała spora ciężarówka, wysiedli z niej ludzie z łomami i innym sprzętem i zaczęli dobierać się do drzew. Wyglądało na to, że mieli polecenie kościół rozebrać, bo gdy dobiegli tam pierwsi mieszkańcy

Sierakowic, to już drzwi i część posadzki od wejścia włożono na samochód. Najpierw dotarły tam kobiety i to, co na samochód powkładano, one z powrotem zdejmowały, krzycząc, że nie dadzą rozebrać ledwo co wyświęconego kościoła.

Potem ludzi schodziło się coraz więcej. Kobielowie widzieli, jak ksiądz wikary Bazyli Olęcki biegnie tam przez pola, poszedł i pan Brunon. Miejscowy partyjniak przestrzegał go, żeby się nie zbliżał, bo „z tego będzie poważna sprawa”. Ludzi było już tak dużo, jak w niedzielę po kościele. Wtedy nadjechał samochód osobowy z partyjniakami z Kartuz, ale nie wysiedli przy kościele, tylko pojechali do gminy i tam wezwali księdza Nowickiego. Zaatakowany przez urzędników, iż to on jest winien całemu zajściu, bo kto go upoważnił do wyświęcenia kościoła, odpowiedział, że jego władze. Po tej rozmowie odstąpiono od rozbiórki i nie doszło do poważniejszych zamieszek, natomiast księdzu Nowickiemu wytoczono sprawę w sądzie gdańskim. Na rozprawę zawiózł go pan Brunon swoim samochodem. Pojechali rano, a dopiero koło trzeciej ksiądz Nowicki z wikarym Olęckim wrócili do samochodu. Byli bardzo wyczerpani, ksiądz Nowicki ocierał pot z czoła jak po ciężkiej pracy. Powiedział z dużą ulgą w głosie: – No, Brunonie, ja tym... (tu użył niezbyt cenzuralnego słowa) komunistom dałem! Potem wyciągnął banknot i poprosił, żeby Brunon kupił *liter sznapsa*. Był jeszcze z nimi jeden z braci Stenclów, stolarzy. Całą drogę słuchali relacji z przebiegu rozprawy. Najbardziej utkwilił panu Brunonowi w pamięci fakt, że ksiądz Nowicki nie pozwolił sędziemu wziąć do ręki dokumentu, z którego wynikało, że miał prawo kościół poświęcić. Pozwolił im tylko popatrzeć. Pan Brunon mówi, że ksiądz Nowicki był bardzo odważnym człowiekiem, przeżył wojnę na *Batorym* jako kapelan i niestraszne mu były pokrzykiwania urzędników.

Czasy komunistyczne były niesprzyjające również dla firmy masarniczej Kobielow. Na początku, jakieś dwa, trzy lata, dało się interes prowadzić, ale potem nowa władza wszystko chciała skolektywizować i nie mogło być konkurencji dla spółdzielczych wyrobów. Brunon Kobiela do dziś z niesmakiem wspomina te geesowskie kielbasy – Jak się flak rozcięło, to sama woda leciała! Złodziej na złodzieju siedział, a o jakość nikt nie dbał. Nawet pieprzu i soli brakowało, nie mówiąc o innych przyprawach. – Gdy założyli na ziemiach odebranych Kościołowi spółdzielnię produkcyjną, to – wspomina pani Joanna – nie chciało im się normalnie wybierać ziemniaków, tylko je pługiem wyorywali.

Żeby zniszczyć prywatnego masarza, użyto podstępu. Ktoś doniósł, że Kobiela ma w swoim obejściu więcej mięsa niż dostawał z przydziałów. Podczas nocnej kontroli znaleziono mięso ukryte pod słomą. Mimo że ktoś inny przyznał się, że to jego mięso zakupione na wesele, nie uznano niewinności pana Brunona. Poszedł do więzienia. Przed roz-

prawą siedział trzy miesiące w Gdańsku. Wśród więźniów było wielu rzemieślników, a zwłaszcza rzeźników. Po rozprawie został skazany na obóz pracy i tam przez pięć miesięcy na bardzo słabym wikcie ciężko pracował. Po powrocie zajął się gospodarowaniem na roli. W czasach gierkowskich przyjechali go prosić, żeby otworzył w Sierakowicach prywatne masarnię. Jednak, jak mówi, stracił zaufanie do komunistów i miał dosyć ich kontroli.

Dzisiaj w odmienionej Polsce, może i byłoby przyjemnie, gdyby pod okiem pana Brunona ktoś młodszy kontynuował tak dobrze ongiś prosperujące przedsięwzięcie. Jednak tak się nie stało, chociaż jego dzieci mieszkają w pobliżu i są związane z Sierakowicami. A najstarszy syn Brunona – Tadeusz – z dużym oddaniem od 1999 roku pełni w Sierakowicach funkcję wójta gminy.

Całe życie w licznej rodzinie

Rozmowę przeprowadzono w grudniu 1997 roku

Elżbieta Bronk
(1917–2008)

Urodziła się 80 lat temu, czyli w 1917 roku w znanej rodzinie Bigusów w Kawlach koło Gowidlina. Była dziewiątym dzieckiem Jana i Pauliny, którzy mieli ostatecznie dwanaścioro dzieci. Dwoje z nich zmarło dość wcześnie, a pięciu chłopców i pięć dziewcząt doczekało dorosłości. Do dzisiaj żyje ich troje. Majątek Bigusów też nie był mały; powstał z podzielenia pięćdziesięciohektarowego gospodarstwa na dwie równe części, oprócz ziemi należała doń również część jeziora. Pierwsze wspomnienie małej wówczas, trzyletniej, Elżbiety ma wymiar historyczny, pamięta, jak jeden z wujów wrócił z wojny bolszewickiej. Na trwałe zapadły w jej wspomnieniach również snute przez ojca opowieści o pierwszej wojnie światowej, ponieważ był na niej od początku do końca.

Mówi, że dzieciństwo miała bardzo pogodne, chociaż życie wcale nie było lekkie. Żeby utrzymać tak liczną rodzinę, ojciec i matka musieli być bardzo pracowici, a każde z dzieci od małego też miało swoje obowiązki. Dwóch braci Elżbiety – Józef i Wojciech – uczyło się w ośmioletnim gimnazjum w Wejherowie. Ich nauka kosztowała ogromne pieniądze – za każdego płacono pięćdziesiąt złotych miesięcznie, a krowa kosztowała sto dwadzieścia.

Elżbieta chodziła do szkoły w Gowidlinie. To była siedmiooddziałowa a sześcioklasowa szkoła powszechna. Wszystko, co wiąże się z latami szkolnymi, to dla pani Elżbiety dobre wspomnienia. Z nauczycieli najcieplej wspomina Franciszkę Muchowską, która była po kursach i pochodziła z Goręczyna. Przez pierwsze trzy lata prowadziła zajęcia z wszystkiego, także religii. Uczyła też – mówi pani Elżbieta – prac ręcznych; zaczęła od nauki cerowania, potem robili małe serwetki z różnymi ściegami, nawet prąść wełnę przyuczała. Gdy uczniowie byli starsi, to na lekcjach robili rzeczy przydatne dla siebie czy dla domu. Do dzisiaj moja rozmówczyni przechowuje serwetkę z tamtych czasów. Nie uczyła ich co prawda pani Muchowska haftu kaszubskiego, ale sztukę haftu tzw. angielskiego opanowała Elżbieta na jej lekcjach i do dzisiaj



Dom w Kawlach przed wojną

takowe wykonuje. A chłopcy na pracach ręcznych uczyli się między innymi wyplatania koszy.

W pierwszych latach nauki wystarczyło, że uczniowie nosili do szkoły elementarz i tabliczkę oraz *gryfel* do pisania. Zeszyty obowiązywały dopiero, gdy uczniowie potrafili już pisać i rachować. A tabliczki były oprawione w drewniane ramki, które trzeba było obowiązkowo w sobotę dokładnie wyszorować; w poniedziałek nauczycielka sprawdzała, czy są czyste.

Nauczycieli w szkole było więcej. Pani Elżbieta pamięta na przykład Jankowską, Maszkową, Komkowską, Tuszyńską, a kierownikiem był Cześnik, który wziął sobie żonę z Sierakowic, z domu Formela. Szkoła mieściła się już wtedy w dwóch budynkach i dopiero starsze klasy chodziły do tej koło kościoła.

W latach trzydziestych, gdy Elżbieta była dorastającą panienką, życie kulturalne Gowidlina było bardzo ożywione. Wspomina, że przez wiele lat była uczestniczką spotkań w ramach Katolickiego Stowarzyszenia Młodzieży. Mimo, że KSM było przy parafii, a proboszczem gowidlińskim był ksiądz Krzewiński, spotkania młodzieży prowadziła ulubiona nauczycielka pani Elżbiety – Franciszka Muchowska. Tematyka spotkań



Rodzice Elżbiety - Jan i Paulina Bigusowie z Kawli

była różnorodna; raz haftowano obrusy na ołtarze, kiedy indziej robiono na drutach rękawice dla wojska, przygotowywano przedstawienia, a także przynajmniej raz w roku organizowano zabawę. Przyjaźnie z tamtych czasów przetrwały do dzisiaj.

Innym sposobem na spędzanie wolnego czasu dla tamtejszej młodzieży były próby chóru kościelnego. Uczyli się tam młodzi nie tylko pieśni kościelnych, bo kierował nimi wyjątkowo uzdolniony i wykształcony, a jednocześnie bezinteresowny organista – Stanisław Klinkosz. W pewnym okresie postanowił co zdolniejszych nauczyć również grać i utworzył zespół mandolinistów. Elżbieta do nich należała. A mandoliny stały się odtąd instrumentem popularnym w rodzinie i do dziś dnia pani Elżbieta z wnukami nadal tworzy mały zespół.

Mimo że rodzina Bigusów biedna nie była, moja rozmówczyni okres międzywojenny kojarzy z biedą i cytuje dla ilustracji strofę piosenki:

„Bracie kochany, wstąpże w mój dom,
Ostatnią kromkę dla ciebie mam,
Zacierki z octem najesz się też,
Bo bieda jest wszędzie, jak ty sam wiesz”.

Opowiada, że znała rodziny, w których zacierkę doprawiano octem, żeby „wygnać surowiznę”.

Druga wojna dla mieszkańców Kawli rozpoczęła się hukiem samolotów, których całe eskadry w piątek leciały na południowy wschód. Niemcy przyszli w niedzielę, chociaż już w sobotę zatrzymali się w połowie drogi między Gowidlinem a Kawłami. Byli – jak mówi pani Elżbieta – bardzo kulturalni. Ojciec miał broń myśliwską i uznał, że należy ją oddać, jednak po odejściu Niemców znalazł ją w obejściu przewieszoną przez gałąź leszczyny.

Ojciec postanowił również, że nie będą nigdzie uciekali. Tak nakazywały doświadczenia z pierwszej wojny. Tylko młodzi mężczyźni powinni się ukryć. W domu był jeden brat Elżbiety, a u sąsiadów Błaszkwskich aż trzech kawalerów. Wyruszyli na rowerach w kierunku Brodnicy z takim zamiarem, żeby oddalić się od linii frontu. Dotarli do Wisły pod Toruniem. Tam zostawili rowery, bo przeprawiali się czołnem. W ręce Niemców dostali się aż w Łowiczu, ale trzymano ich stosunkowo niedługo, bowiem wrócili do domu wcześniej niż inni miejscowi mężczyźni, wywiezieni do Norymbergii. Pozostali synowie Bigusów byli w momencie wybuchu wojny w wojsku lub pracowali poza domem, tak więc tego roku pomagały ojcu w zasiewach tylko córki, a wśród nich i Elżbieta.

Najbardziej tragiczny los dotknął jednego z braci Elżbiety – księdza Józefa Bigusa. Miał przed wojną parafię w Toruniu i przed Wrześniem został powołany do wojska na kapelana. Okupanci zwolnili go z internowania, więc wrócił do swojej parafii. Już po dwóch tygodniach jako



Elżbieta na ślubnym kobiercu z Leonem Bronkiem



Pani Elżbieta również w podeszłym wieku występowała publicznie na przeglądach rodzin muzykujących; grała i ze słuchu, i czytając nuty

cywil został aresztowany i poprzez Stuthoff dotarł do Oranienburga. Tam widział moment, kiedy przywieziono sierakowickiego proboszcza księdza kanonika Łosińskiego. Tak opowiadał o tej chwili: „Kanonik był bielusieńkim staruszką i było oczywiste, że nie ma żadnych szans.”

Ostatecznie ksiądz Bigus został osadzony w Dachau. Tam jakimś cudem przetrwał do końca wojny i doczekał się wyzwolenia przez aliantów. Przez całe lata należał do grupy więźniów, których poddawano eksperymentom medycznym. Między innymi musiał wystawiać ciało na ugryzienia komarów zakażających malarią. Gdy zachorował, to potajemnie dostarczono mu lekarstwo z Czerwonego Krzyża. Pani Elżbieta z całym przekonaniem mówi, że ocalenie jego wymodliła matka, bo „ona potrafiła się modlić”. Ksiądz Józef Bigus od roku nie żyje.

Dla pozostałej w Kaulach rodziny Bigusów wojna też przyniosła wiele nieszczęść. Ich zadbane i dobrze prowadzone gospodarstwo zostało oddane osiedleńcom niemieckim. Wiadomość, że nadjeżdżają do nich samochody, rzucił dojącego krowy dziewczętom sąsiad jadący na rowerze. Nie zdążyły nawet korków włożyć na nogi. Rodzice porzucili zajęcie w ogrodzie i wszy-



W dziewięćdziesiąte urodziny w otoczeniu dzieci i ich współmałżonków

scy tak jak stali opuścili dom na całe trzy lata, do końca wojny. Nocą, gdy domu pilnował strażnik, Elżbieta z siostrą zakradły się, żeby wynieść pierzyny i wędzony szpiek ze strychu. Nie były wprawione w takiej robocie i wychodząc ze strychu oknem narobiły hałasu. Skończyło się na oddaniu przez strażnika strzałów w ciemność. Potem, gdy ich gospodarstwo objęła młoda rodzina niemiecka z czwórką dzieci, Elżbieta i jej brat przez kilka miesięcy pracowali jako parobcy przy własnym inwentarzu, bo udało się zataić, że to ich ojcowizna. Mieli przynajmniej sposobność wynosić rodzicom trochę jedzenia. To się zresztą wydało i dostęp do domu się skończył. Bigusom w ukrywaniu się pomogli sąsiedzi Bojanowscy.

Elżbieta została zgłoszona do *arbeitsamtu* i otrzymała skierowanie do innej pracy: została służącą u zniemczonych Polaków w Łączyńskiej Hucie. Byli gorsi niż prawdziwi Niemcy. Nawet nie mówili po niemiecku, tylko jak wszyscy – po kaszubsku – i tak naprawdę nie potrzebowali pomocy. Jednak prawdopodobnie bardzo pragnęli mieć służącą, bo gdy Elżbieta zachorowała i potrzebowała pomocy lekarskiej, z dużą nieufnością zawieźli ją do lekarza. Dostała dwa tygodnie zwolnienia

z pracy, a gdy był czas wracać, zgłosiła się sama do urzędu pracy z prośbą, by skierowano ją gdzie indziej. Nie chciała wracać do tej rodziny. Gospodarz z Łączyńskiej Huty miał jednak więcej do powiedzenia i stanowczo domagał się jej powrotu. Uparła się, że wszędzie, ale nie tam. W rezultacie wyładowała w więzieniu. Najpierw w Kartuzach, a potem w Gdyni. Spędziła tam kilka tygodni. Jej stanowczość pomogła. Dostała tam pracę i mieszkanie.

Była już wtedy narzeczoną Leona, który miał warsztat kołodziejski w Podjazach. Pochodził również z bardzo licznej rodziny Bronków, w której było pięć siostr i ośmiu braci, a wszyscy nieprzeciętnie uzdolnieni technicznie. Leon robił wozy konne, sanie, bryczki, stolarkę okienną, a jego syn Mieczysław, który został na ojcowiznie, dodaje, że w tuchlińskiej szkole przez wiele lat dzieciom służyły ławki robione przez ojca. Elżbieta i Leon poznali się w drodze na odpust św. Anny w Sulęczynie. Pobrali się zaraz po wojnie, w maju 1945 roku i zamieszkali w Karłowie, gdzie Bronkowie mieli dwudziestoczerohektarowe gospodarstwo. Pani Elżbieta opowiada, że ojciec Leona kupił tę ziemię jako część majątku, którego właścicielem był kiedyś Żyd, a było ono tak podzielone, żeby gospodarka miała wszystkiego po trochu – i łąki, i lasu, i błot torfowych.

Zaraz po wojnie rodzina Bronków była jeszcze razem – trzynastoro dorosłych dzieci wróciło z wojny do domu. Większość szybko się usamodzielniała i odchodziła, a rodzina Elżbiety i Leona powiększała się. Doczekali sześciorga potomstwa – dwóch córek i czterech synów. Pani Elżbieta podkreśla, że wszyscy się czegoś nauczyli. Widać, że w ich rodzinie przywiązywano wagę do tego, by dzieci przygotować do życia przez zapewnienie im zawodu. Najstarsza córka – Agnieszka – jest w klasztorze u pallotynów, skończyła szkołę muzyczną i gra na organach. Syn Mieczysław skończył szkołę rolniczą i przejął gospodarstwo. Córka Teresa jest nauczycielką. Następny jest syn Jan, który wyuczył się w szkole zawodowej na kierowcę. Bernard jest stolarzem, też po szkole zawodowej, a najmłodszy Stanisław wykwalifikowanym leśnikiem.

Z tej gromadki pani Elżbieta dochowała się do dzisiaj dwadzieścia dwoje wnucząt, które dokładnie w połowie dzielą się na chłopców i dziewczynki. Gdy są imieniny babci Elżbiety, w Karłowie odbywają się najliczniejsze zjazdy rodzinne. Pan Mieczysław, przysłuchując się tym wyliczeniom, wtrąca: – Nie jest powiedziane, że na tym koniec! A ma już *karno* najliczniejsze, bo dziewięćoosobowe. Nie tylko po liczbie dzieci widać, że jest to kolejne pokolenie rodziny przywiązanej do tradycji. Wskazuje na to również świadome pielęgnowanie *rodnej* mowy – w tym domu mówi się po kaszubsku z przekonaniem, że jest to dobre i ważne. Równie pieczołowicie kultywowane jest rodzinne śpiewanie i granie – na mandolinach oczywiście.

Prywatna wojna o tartak

Rozmowę przeprowadzono w październiku 1999 roku

Stanisław Bronk
(1919–2007)

W pełnym ciepła i serdeczności mieszkaniu mojego rozmówcy spędziłam wiele godzin, bowiem Stanisław Bronk jest utalentowanym gawędziarzem, ma w zanadrzu mnóstwo anegdot. Uczestniczył też w wielu wydarzeniach ważnych dla historii Sierakowic i chętnie snuje opowieści o innych, zapominając o sobie. Przy pomocy najmłodszej córki Małgosi, z którą mieszka od 15 lat, pielęgnuje też pamiątki rodzinne: wyłożono mi pięknie uporządkowane fotografie w kilku albumach, zafoliowane w segregatorach dokumenty, nawet mogłam zobaczyć kasetę wideo z filmem o przedwojennym domu rodzinnym Bronków w Karłowie.

Stanisław Bronk urodził się 4 września 1919 roku jako jeden z młodszych synów Józefa i Otylii (z domu Sobisz) Bronków w Karłowie. Matka jeszcze nie miała 17 lat, gdy wydano ją za mąż. Urodziła razem dziesięć synów i pięć córek, spośród których dwoje dzieci zmarło wcześniej. Mieli dwudziestoczerohektarowe gospodarstwo i jezioro. Od małego dzieci były wdrażane do pracy przy gospodarstwie. Chodziły do szkoły w Tuchlinie, gdzie kierownikiem był Józef Skorowski. Kiedyś na zebraniu rodziców ojciec Stanisława zaproponował, żeby nauczyciele egzekwowali od rodziców, których dzieci wyrządzają jakieś szkody materialne w szkole, zapłatę za nie. Tak się niefortunnie złożyło, że niedługo potem winnym rozbicia dwóch szyb został uznany Stach, chociaż, jak mówi, to wybryk kolegi spowodował szkodę. Chcąc nie chcąc zaniósł ojcu list z informacją, że za szyby należy zapłacić dwa i pół złotego. Ojciec najpierw kazał mu naszykować szlig - giętki kij, którym dostał stosowną porcję batów, a potem dał pieniądze na szyby. Kolega nie oddał swemu ojcu listu, tylko przehandlował gołębie na potrzebną mu kwotę i uniknął kary.

Ojciec był surowy i na inny sposób - grubsze przewiny swoich dzieci kuitował nakazem pójścia do spowiedzi. W młodszym wieku potulnie go słuchali. Gdy jednak pewnego razu polecił starszemu już Leonowi wypowiadać się, bo go niesłusznie posądzał o nieczne zamiary wobec



Józef i Otylia Bronkowie ze swoimi dziećmi; Stanisław siedzi na dole z lewej

urodziwej sąsiadki, ten wyjechał z domu na trzy dni do ciotki. Gdy wrócił, ojciec bardzo zaniepokojony dopytywał się, gdzie był. Otrzymał odpowiedź, że grzech był tak wielki, iż musiał z nim jechać aż do biskupa.

Drugiego września 1939 roku w sierakowickim kościele, gdzie akurat odbywała się uroczystość przyjęcia do pierwszej komunii, ksiądz Łosiński nawoływał, by zachować spokój i nie opuszczać swoich domów. Stach z matką również byli wtedy w kościele, a gdy wracali do Karłowa, droga do Tuchlina i Gowidlina była wypełniona uciekającymi. Pytam, gdzie ludzie uciekali, a pan Stanisław odpowiada, że chyba w kierunku Gdyni. W domu ojciec również szykował wóz do wyjazdu, była już na nim beczka z wędzonym *szpiekiem* i inny prowiant, jednak pod wpływem uspokajających słów księdza Łosińskiego zaniechali wyjazdu.

Brat Bernard został powołany do wojska polskiego. Ojciec pożegnał go znakiem krzyża i słowami: – Synku, ale nie zabijaj! Odbywał służbę w Babich Dołach. Często nasłuchiwali wieczorami odgłosu bombowców i w ten sposób myślami byli z bratem. Po jakichś dwóch miesiącach dostali urzędowy papier z wiadomością, że Bernard żyje i jest w obozie jenieckim w Szczecinie. Ojciec napisał do niego list i zaadresował go



W obejściu Bronków spotkanie młodzieży z KSM, rok 1932

następująco: Bernard von Bronk. Niemcy, którzy cenzurowali korespondencję jeńców, zaczęli sprawdzać prawdziwość owego „von”. Gminna władza okupacyjna w Sierakowicach potwierdziła prawo do tytułu. Bernardowi to pomogło – mógł sobie wynająć w Szczecinie mieszkanie, chociaż do końca wojny musiał pracować w firmie okupanta.

Wszyscy synowie Bronków mieli duże zdolności techniczne i ciągnęło ich do nowoczesnych maszyn, samochodów, motocykli. Pewnie mieli to po ojcu, którego gospodarstwo też było wyposażone nowocześnie, m.in. mieli wiatrak. Rodzice właściwie tylko jednego z synów zdążyli skierować na naukę zawodu u rzemieślnika, pozostali poradzili sobie sami. Gdy Stanisław skończył tuchlińską szkołę, ojciec powiedział do niego, że chyba będzie pasł krowy. Ale to zajęcie było dla młodego człowieka upokarzające. Stało na tym, że będzie „robił w konie”. Była to ciężka praca od świtu do nocy i przy pierwszej sposobności Stanisław wyrwał się do Kościerzyny. Mówi, że jest samoukiem. Właściwie uczył się ślusarstwa, a kierowcą został mimochodem. Już przed wojną miał swój pierwszy własny samochód – studebakera, a brat Antoni aż dwa: wilmana i chevroleta. Bez większego problemu zdał stosowne



Maszyna wieloczynnościowa skonstruowana w 1936 roku przez Leona i Bernarda Bronków, którzy mieli wśród braci opinię najbardziej „mysternych”



Bracia Bronkowie z Karłowa w 1943 roku; od lewej: Antoni, Leon, Jan, Bernard, Alojzy, Franciszek, Stanisław, Alfons

egzaminu i zdobył potrzebne świadectwa. Na ich podstawie otrzymał pracę w firmie budowlanej gdańszczanina Eduarda Mielke. Woził materiały budowlane, najpierw w okolicach Sulęcyna i Sierakowic, a później w Gdańsku.

Na początku wojny okupanci dali spokój rodzinie Bronków. Synowie byli poza domem, mieli pracę i mieszkania z dala od Tuchlina. Stanisław długo wynajmował pokój u Kobieliów w Sierakowicach i stąd dojeżdżał do pracy. Z rodzicami zostały tylko córki. Ojciec był kilkakrotnie używany przez władze okupacyjne i zachęcany do podpisania listy niemieckiej. Nie zgadzał się.

Latem 1942 roku Stach otrzymał poufną wiadomość, że w Tuchlinie szykuje się coś niedobrego. Poprosił żandarma Peka, któremu naprawiał motocykl, czy może się przejechać. Otrzymał zgodę skierował się do Karłowa, by uprzedzić rodziców. Nie bardzo wierzyli, że grozi im jakieś niebezpieczeństwo. A jednak już tej nocy zostali wywiezieni, tak jak wielu innych z okolicy, m.in.: Stencłowie, Kreftowie, Szutowie, Kuczkowscy i Zelewscy.

Gdy do Stacha, który był w Gdańsku, dotarła wiadomość o nieszczęściu, poprosił swojego *baumeistra* o zgodę na wcześniejszy powrót do Sierakowic. Dostał ją i zaniepokojony rozpytywał o rodzinę. Już następnego dnia w gowidlińskim kościele spotkał siostrę Wandę, a potem ojca. Okazało się, że prawie wszyscy zdążyli uciec, tylko jedna z sióstr, Dorota, nie uciekła i została wywieziona do Potulic. Pozostali uniknęli wywiezienia i do końca wojny tułali się po znajomych i krewnych. Ojciec Stanisława był bardzo strapiony, trudno go było pocieszyć. Na domiar złego, worek z najpotrzebniejszymi rzeczami, który przed ucieczką wystawił na dwór – zginął. Ponieważ zatrzymali się niedaleko, w Rębienicy u Damaszków, z bólem patrzył, jak marnieje jego gospodarka w rękach nieudolnego niemieckiego przesiedleńcy. A mieli Bronkowie trzy konie, piętnaście sztuk bydła, sporo trzody i drobiu. Po wojnie ostał się tam tylko jeden koń. Ale ojciec nie doczekał końca wojny – zmarł na zapalenie płuc w następnym roku. Pan Stanisław mówi: – Tata poszedł na drugi świat z kłopotu.

Po wojnie pan Stanisław był już zupełnie usamodzielnionym finansowo, dwudziestosześcioletnim kawalerem. Najpierw założył ze swoim bratem Bernardem firmę przewozową o nazwie Gryf. Mieli duży samochód ciężarowy marki bussing i wozili nim przeważnie drzewo z lasu. Właściwie do dzisiaj ma dowód rejestracyjny na samochód marki bussing, chociaż z tamtego pozostały w nim zaledwie dwa elementy, pozostałe części stopniowo i własnoręcznie wymieniał na nowsze. Przez ten pojazd pan Stanisław brał udział w historycznym wydarzeniu.

Tuż po wojnie miał swoim bussingiem przywieźć do sklepu Koszałków opony od Jereczka w Podjazach. Gdy wybierali te opony w szopie, zostali ostrzelani. Nie wiedzieli, kto do kogo strzela. Jak wystrzały ustały, dwaj milicjanci z opaskami włączali mu się do szoferki, w której były jeszcze dwie osoby z Sierakowic i kazali jak najszybciej jechać do Sierakowic. Tu stanęli przy sklepie Koszałków, a pod budynek dzisiejszej gospody podjechał jadący cały czas za nimi ciężarowy bedford wypełniony partyzantami. Mieli naszywki z Matką Boską Ostrobramską, co pan Stanisław dokładnie widział, bo błyskawicznie wyskoczyli z samochodu i rozbiegli się z karabinami w dłoniach. Na bedfordzie był zamontowany karabin maszynowy, przy którym stała kobieta. Ujęli tutejszego milicjanta Wierzyńkiewicza i trzymającego ręce w górze umieścili w samochodzie. Brzeziński i jeszcze jeden milicjant zdążyli uciec drogą w kierunku cmentarza. Partyzanci szybko odjechali w kierunku Kartuz. Potem okazało się, że przy polu Zelewskich spiłowali słup telegraficzny, żeby odciąć łączność. W Miechucinie skręcili na Bącz i w okolicach Mirachowa się rozsypali. A Stanisław Bronk został zmuszony przez milicjantów do ponownej jazdy na miejsce strzelaniny.



Stanisław i Bernadeta w dniu ślubu

Tam się okazało, że w zabudowaniach Romana Labudy leży dwóch zabitych i trzech rannych. Kazali panu Stanisławowi wieźć jednych i drugich – do szpitala i kostnicy. Jednak przekonał milicjantów, że nie będzie dobrze wieźć ich razem. Jemu przypadło odstawienie do Kartuz tych zabitych. Wszyscy poszkodowani byli milicjantami. Miejscowi mówili, że to milicja pierwsza zaczęła strzelać.

Dopiero w 1949 roku Stanisław zdecydował się na ożenek. W budynku dla pracowników poczty mieszkała rodzina listonosza Bazylego Majkowskiego, a jego córka Bernadeta wpadła w oko mojemu rozmówcy. Majkowscy byli niezamożni, Bernadeta sprzątała w szkole, a narzeczoną postanowił, że powinna przed ślubem trochę poznać świat. Zafundował jej szkołę gospodarstwa domowego u sióstr zakonnych w Chojnicach. Miała być tam przez rok, ale skończyło się na półrocznej nauce, gdy okazało się, że Stanisław został bez pomocy kobiety, która dotychczas prowadziła mu gospodarstwo. Bernadeta obdarzyła męża siedmioma córkami. Lata pięćdziesiąte i sześćdziesiąte, kiedy przychodziły na świat ich dzieci, nie były łatwe. Chociaż Stanisław miał wiele talentów i był bardzo przedsiębiorczy, nie było mu dane w spokoju pędzić życia

rodzinnego. Przez czternaście lat prowadził swoją prywatną wojnę o tartak.

Jeszcze dzisiaj opowiada o tamtej sprawie z dużymi emocjami. Ma pękaty skoroszyt dokumentów, które ilustrują kolejne etapy walki o tartak. Pamięta dokładnie nazwiska ludzi, słowa, które wtedy padały i jego opowieść staje się dzięki temu bardzo plastyczna. Mam obawy, czy uda mi się ją wiernie oddać. Pan Stanisław rozpoczyna od historii powstania tartaków w naszej okolicy.

Pierwszy był w Starej Maszynie, stąd wzięła się nazwa osady. Jego właścicielem był Żyd. Potem przeniesiono tartak do Grzenkowiczów w Sierakowicach, którzy odkupili go od Żyda. A tartak Stanisława Bronka zbudował w 1942 roku Niemiec Schmidt na ziemi zakupionej od innego Niemca. W oddzielnym baraku znajdowały się biura i ten barak przez długie lata służył Bronkom za mieszkanie. Do kupienia tartaku od nadleśnictwa w Mirachowie namawiał Stanisława leśniczy Hinc. Powtarzał: – Stachelku, kup ten tartak! Jeden z dokumentów z maja 1945 roku wymienia długą listę budowli i urządzeń, które składały się na majątek tartaku, ale kończy się stwierdzeniem, że zostało to zabrane przez wojska sowieckie. A były tam m.in. dwa traki, pięć motorów elektrycznych, transmisja, dwa traktory, dwa wózki wąskotorowe itp. To, co kupił w 1946 roku, to były przede wszystkim budowle – hala i 4 baraki do składowania desek – oraz ziemia, na której stały. Urządzenia mechaniczne zostały rozgrabione. Do 1952 roku inwestował w tartak i cieszył się, że przynosi coraz lepszy dochód.

Niespodziewanie został wezwany do Wydziału Przemysłu i Handlu w Kartuzach. Tam urzędnik zapytał go, czy ma pozwolenie na prowadzenie tartaku. Odpowiedział, że tak i na żądanie okazał stosowny papier. Urzędnik wziął tak ważny dla Stanisława dokument i powiedział, że już nie ma pozwolenia. Nie mógł zrozumieć, dlaczego tak postąpił, pytał, czy są jakieś zarzuty przeciw niemu. Powiedziano mu, że państwo nie ma surowca dla jego tartaku. Nic nie pomogło tłumaczenie, że przecież okoliczna ludność przywozi do tartaku swoje drzewo, bo rolnicy mają prywatne lasy i potrzebny jest im tartak. Wrócił do domu zrozpaczony, oboje z żoną zastanawiali się, z czego będą utrzymywać rodzinę.

Wtedy został taksówkarzem. Jeździł najpierw oplem, potem wiele lat starym mercedesem. Często zatrudniał go miejscowy lekarz Lammek, któremu szoferował niekiedy jeszcze w czasach okupacji. Taksówka była również niezbędna, gdy trzeba było zawieźć kobietę do porodówki, której pierwsza siedziba była w domu Koszałków przy Rynku. Nieraz zdarzało się, że kobiety zaczynały rodzić już w samochodzie. Wtedy był problem, jak zapisać miejsce urodzenia, żartuje pan Stanisław. A w 1959 roku mógł już sobie pozwolić na nowy samochód. Kupił warsawę. Był

bardzo szczęśliwy, gdy wracał nową warszawą z Gdańska i całą drogę modlił się, żeby ten samochód dobrze mu służył. Ma go do dzisiaj.

Co się działo w tym czasie z tartakiem? Ano – tartak objęła w posiadanie Spółdzielnia Inwalidów z Kartuz. Jednak nie oddał go tak łatwo. Gdy przyjechało czterech panów z Kartuz – w tym prezes spółdzielni Mikuszewski i sekretarz partii Wenta – z propozycją, że chcą tartak wydzierżawić, nie zgodził się. Wówczas sierakowicki sekretarz partii Markowski zaaresztował Bronka. Do więzienia przyszedł ponownie sekretarz Wenta i przekonał pana Stanisława, że nie ma się co sprzeciwiać, bo sam siedział i nie życzy mu takiego losu. Spisano umowę na dzierżawę. Z ustalonej kwoty połowę musieli Bronkowie oddawać na jakiś fundusz, a jedną czwartą na podatek. To, co mi zostało, wystarczało na kominia-rza – mówi pan Stanisław. Po jakimś czasie spółdzielnia postanowiła wykupić od Bronka maszynę. Nastąpiło takie prawo, że można było kupić urządzenia wbrew woli właściciela. Pan Stanisław nie odebrał pieniędzy, złożono je w depozycie. Kolejny krok do pozbawienia Bronków tartaku nastąpił około 1955 roku, kiedy nadeszło powiadomienie, że przejdzie on na rzecz skarbu państwa. Pan Stanisław miał dziesięć dni na odwołanie się. Nie wiedział, gdzie najlepiej, najskuteczniej się odwołać. Postanowił napisać wprost do Ministerstwa Przemysłu i Handlu. Gdy komisja z Kartuz przyjechała spisywać majątek i przygotowywać odebranie tartaku, w jej dokumentach jako właściciel figurował Niemiec Schmidt, a Bronk był tylko użytkownikiem. Zrozumiał, jak bardzo nieuczciwi są ci panowie. Niczego im nie podpisał.

Niezdługo nadeszło pismo z Warszawy, które nakazywało wstrzymać wszelkie kroki zmierzające do przejęcia tartaku przez skarb państwa. Spółdzielnia dalej użytkowała tartak, ale przestała płacić jakąkolwiek dzierżawę. A Bronkowie dwudziestopięcioprocentowy podatek musieli i tak płacić, bo mieli umowę. Taka sytuacja trwała trzy lata. Potem za namową mecenasa Hirsza pojechał pan Stanisław do Warszawy. W ministerstwie spędził dwa dni i do dziś jest pod wrażeniem, jak tam było elegancko. Powiedział, że jest Kaszubą z Pomorza i dzieje mu się krzywda, bo państwo chce mu zabrać to, co kiedyś od państwa kupił. Przywiózł do Sierakowic solenne zapewnienie wysokiego urzędnika, że niedługo zostanie decyzję o pozytywnym załatwieniu sprawy. Tak też się stało. Wtedy spółdzielnia zapłaciła mu zaległą dzierżawę i dzięki temu mógł kupić sobie nową warszawę.

W 1964 roku dzięki pewnej odwilży politycznej pan Stanisław otrzymał zgodę na remont tartaku. Spółdzielnia zdewastowała zakład, a on się cieszył, że może go remontować i rzeczywiście dzięki temu remontowi tartak odzyskał, chociaż trwało to jeszcze dwa lata. Ale zanim doszło do remontu, był jeszcze konflikt o ziemię. Spółdzielnia naruszyła własność



Zdewastowany tartak po odzyskaniu w 1964 roku

Bronków, bo nie całą ziemię miała w dzierżawie. Urzędnicy powiatowi byli bardzo zauzięci i bez sądu nie dało rady. W jednym miesiącu odbyło się siedem rozpraw, przesłuchano dziewięćdziesięciu świadków. Niektórzy ludzie bali się zeznawać przed sądem, więc pan Stanisław prosił ich o oświadczenia pisemne. Pamięta, jak zdenerwowany nieczystymi zagrywkami spółdzielców sędzia Franciszek Noga krzyknął: – Dość tego krętactwa! Spółdzielnia zgodziła się wycofać ze sprawy.

Z remontem też nie poszło łatwo, ponieważ postawiono panu Bronkowi absurdalny warunek, że może być wykonywany, ale bez przerywania produkcji. Pan Stanisław, już zahartowany w bojach z biurokratami, przekonał kogo trzeba, że to bezsens. Po zakończeniu remontu okazało się, że uruchomić tartaku pan Stanisław nadal nie może, gdyż zezwolenie na jego prowadzenie mają spółdzielcy. Do dzisiaj przechowuje artykuł z „Dziennika Bałtyckiego”, którego autor opisuje całą sprawę. Ostatecznie po czternastu latach walki tartak wrócił do właściciela. Do dzisiaj jest czynny.

Wśród wspomnień pana Stanisława z lat pięćdziesiątych jest jeszcze opowieść o tym, jak uratowano przed rozbiórką kościół poewangelicki,

dzisiejszej parafii Św. Jana Chrzciciela. W sobotę, w trybie nadzwyczajnym, ksiądz Jan Nowicki poprosił taksówkarza Bronka o pilny kurs. A było już około godziny jedenastej w nocy. Ksiądz Nowicki powiedział: – Pruj, ile samochód wytrzyma, do biskupa w Orłowie! W Kartuzach zabrali ze sobą księdza Stryzaka i załatwili pozwolenie, że taksówkarz może jechać poza powiat. Z biskupem, który akurat był w Orłowie, księża załatwiali zgodę na wyświęcenie kościoła. Wrócili do Kartuz około drugiej w nocy i byli tak zadowoleni, że ksiądz Stryzak poczęstował wszystkich lampką wina mszalnego, jako że innego trunku nie miał. Dopiero w drodze powrotnej ksiądz Nowicki naświetlił panu Stanisławowi sprawę: spółdzielnia produkcyjna z Sierakowic o wdzięcznej nazwie *Wiosna* uzyskała zgodę na rozbiórkę kościoła, żeby pozyskać cegły. Aby to uniemożliwić, należało bardzo pilnie przemianować kościół na katolicki. I tak się stało. W niedzielę kościół poświęcono przy licznych udziale wiernych, a w poniedziałek sierakowickie kobiety obroniły go przed rozbiórką¹. Jeszcze wiele dni po tych wydarzeniach ksiądz Nowicki żył w wielkim napięciu, co chwilę był używany na przesłuchania i bał się aresztowania w nocy. Dlatego pan Stanisław umówił się z pracującą w centrali telefonicznej na pocztę panią Elżbietą Stencel, że po godzinie osiemnastej, gdy telefony nie działały, połączy dom Bronków z plebanią na stałe. Ksiądz Nowicki przez dłuższy czas dzwonił wieczorami i sprawdzał, czy ma kontakt z życzliwymi mu ludźmi. Nawet nie przypuszczał, że pan Stach był umówiony z ludźmi mieszkającymi w pobliżu banku, gdzie była zamontowana syrena strażacka, że ją włączą, gdyby w plebanii działo się coś podejrzanego.

Smak myślistwa poznał Stanisław jeszcze w domu rodzinnym, jako że jego dwaj bracia – Leon i Antoni – byli myśliwymi. – Gdy rozpoczęła się wojna – mówi Bronk – w domu było osiem flintów. Ojciec nakazał je wyrzucić. Dzisiaj w Sierakowicach jest kilka kół łowieckich, a pan Stanisław należy do najstarszego. Nazywa się *Słonka*. To nazwa jadalnego ptaka, objaśnia mój rozmówca. W ubiegłym roku bardzo uroczystości i hucznie obchodzono w Sierakowicach pięćdziesięciolecie *Słonki*. Pan Stanisław jest jedynym żyjącym współzałożycielem tego koła. Był wielokrotnie w jego władzach, a w wydany na pięćdziesięciolecie albumie pamiątkowym umieszczono jego wspomnienia. Pozwolę sobie w obszernych fragmentach zacytować, żeby oddać klimat polowań w początkach PRL-u.

„Przed wojną nie wymagano pozwolenia na broń. Natomiast po wojnie o przydzieleniu broni decydował rygorystycznie Urząd Bezpieczeństwa, wydając zezwolenia na ściśle określone trzymiesięczne

1 Dokładniej to wydarzenie jest opisane we wspomnieniach Stefanii Zelewskiej.



Pan Stanisław z upolowanym lisem

terminy. W 1946–47 roku wydzierżawiłem gromadę Sierakowice. Nie miałem wówczas broni. Wiadomo mi było, że w miejscowości Krępa koło Lęborka mieszkał pan Stenka, który miał broń w szerokim wyborze. I to właśnie od niego wraz z kuzynem kupiliśmy dubeltówki. Przy czym kuzyn na swoją broń otrzymał rachunek, a ja nie. Dzięki pomocy pana Lipińskiego, ówczesnego komendanta milicji, zalegalizowałem swoją broń”.

„Zaproszono mnie wraz z kolegą Ruszkowskim na polowanie zorganizowane przez pierwszego nadleśniczego Nadleśnictwa Mirachowo pana Stępniewicza. Zbiórka odbyła się przy „kamieniu”. Leśnicy uczestniczący w polowaniu byli ubrani w kozuchy, za którymi ukrytą mieli broń. Oddawali strzały dziwnie, ponieważ jednym energicznym ruchem wydobywali broń i łup... Żaden nie trafił w zwierza. Byłem na tym polowaniu najmłodszym myśliwym i to właśnie mnie obdarzył bór. W pokocie był jeden dzik, strzelony przeze mnie na krzyż, w wadze około 90–100 kg. Dzika przewieźliśmy do leśniczówki w Bąckiej Hucie, gdzie myślałem, że przynajmniej go podzielimy między sobą. Zdziwiłem się dopiero wtedy, gdy leśniczy Treder zawiózł dzika do Nadleśnictwa Mirachowo, nas jedynie poczęstowano grogiem”.

„Po zatargu z pracownikami UB, którzy polowali nie będąc na swoim terenie, doszło do zdania broni w gromadzie Sierakowice. Po oddaniu broni powróciłem do polowania dopiero wtedy, kiedy przyjechali do mnie ciężarowym lublinem milicjant Józef Pek i inni. (...) Wiedząc, że dobrze strzelam, zaproponowali mi wyjazd na polowanie. Dotarliśmy do leśniczego Leona Hincy, któremu kazali pożyczyć dla mnie broń. (...) W polowaniu uczestniczyło około siedmiu myśliwych polujących na rogacze, kozy i dziki. Gdy czekałem na stanowisku, po chwili zaczął na mnie nacierać rogacz i już chwilę potem znalazł się w pokocie, w którym w sumie były dwa rogacze oraz koza. Ponieważ formalnie nie mogłem mieć broni, upolowaniem rogacza pochwalił się komendant milicji Józef Lipiński, dzięki któremu wybrnąłem z sytuacji”.

Pan Stanisław w przeróżnych sytuacjach życiowych był zawsze skuteczny – i gdy walczył o swój tartak, i gdy polował na zwierzynę.

Kaszubskość opisywana dla teatru

Rozmowę przeprowadzono w czerwcu 1998 roku

Aleksy Pepliński

Dla zajmujących się kaszubszczyzną swojsko brzmi nazwisko dwóch braci Peplińskich – księdza Antoniego i nauczyciela Aleksego. Regionaliści bardzo chętnie czerpią teksty ze spuścizny wierszowanej księdza Antoniego i utworów scenicznych Aleksego. Gdy ten ostatni przeszedł na nauczycielską emeryturę, zamieszkał na plebanii w Mściszewicach, by tam przez dwanaście lat, zachęcany przez brata Antoniego oraz innych, pisać dramaty. Wymyślał postacie i układał dialogi, którymi wypełniał sceny i akty; opisywał elementy scenografii, a także wygląd i ruch postaci. Wszystko po to, by utrwalić i przekazać młodym, jakie były kaszubskie święta, zwyczaje, obrzędy, a także język. Przeszło dwa lata temu ksiądz Antoni zmarł, a Aleksy Pepliński wrócił do rodzinnego Łyśniewa, do domu swej szwagierki Senezeuszy Leszczyńskiej, gdzie bywa również jego siostra Wanda. Zwolniony przez kobiety od troszczenia się o sprawy codzienne, stale pisze. Zapełnia kolejne bruliony i utrwala naszą kaszubskość.



Urodził się w Wielkim Kłinczu pod Kościerzyną w 1921 roku, a gdy był rocznym dzieckiem, rodzina sprowadziła się do Łyśniewa. Tu spędził większość życia. Przyszedł na świat nieprzytomny – mówi, że tak napisali w „Pomeranii”. Matka Justyna Szreder, po pierwszym mężu Leszczyńska, często potwierdzała, iż urodził się chorowity i „doktor długo go żywił”. Ale głowę „dość miał” – powiada. Był ósmym dzieckiem z sześciorgiem braci i sióstr przyrodnych, starszym bratem Antonim i młodszą siostrą Wandą. Przy takim *karnie* dzieci pewnie niewiele było czasu na edukowanie Aleksego. A jednak, mając cztery lata znał litery i czytał. Zostało to dokładnie sprawdzone podczas kolędy. Ksiądz zobaczył w kącie pokoju czytającego malucha i trochę ironicznie doń zagadał, że sobie czyta, ale pewnie z książką do góry nogami. Rodzice odpowiedzieli, że raczej zna litery. Ksiądz podeszedł i kazał mu czytać głośno. Gdy maluch poprawnie wywiązał się z zadania, ksiądz podejrzewał, że nauczył się

tekstu na pamięć. Podał dziecku swój brewiarz i gdy usłyszał *secula seculorum* bez zamieniania łacińskiego „c” na polskie „k” – uwierzył. Dzisiaj pan Aleksy mówi: – Dla mnie było fraszką czytać, chociaż nie wiedziałem, o co chodzi w tekście.

Do szkoły poszedł, jak wszystkie dzieci w Łyśniewie, w wieku 7 lat. Pytany, czy się tam nie nudził, odpowiada, że nie, bo przecież tylko potrafił czytać, a innych rzeczy nie umiał. W 1935 roku skończył szkołę powszechną i postanowiono zatrzymać go w domu, bo pracy było dużo. Ojciec Piotr miał czterdziestohektarowe gospodarstwo, 70 sztuk bydła, a maszyn nie było. Każde ręce do roboty bardzo się przydawały. Pewnie zastanawiano się, czy by nie dać Aleksego do szkół, ale przekraczało to możliwości finansowe rodziny. Starszy brat Antoni uczył się najpierw w gimnazjum, a potem w liceum i na to „wnet każdy miesiąc trzeba było przeznaczyć świnię”. Akurat przed wybuchem drugiej wojny zdążył zdać maturę.

Opowiadając o czasach okupacji pan Aleksy bardzo poprawnie posługuje się językiem niemieckim. Pytam, czy się go uczył. Okazuje się, że nie, a nauczył się ze słyszenia i czytania gazet. Gdy siedł paść krowy, ojciec dawał mu niemiecką gazetę, żeby przeczytał, co tam w świecie nowego, a wieczorem opowiedział domownikom. Pamięta jak boleśnie odebrali szyderscy ton wielkiego nagłówka w „Gazecie Łęborskiej” – *Ostatni niemiecki apel do sumienia Europy o pokój*. To zapowiadało atak na Rosję.

Po wojnie Aleksy zaraz skorzystał z możliwości kontynuowania nauki. W Bytowie było gimnazjum kończące się małą maturą i liceum z internatem. Dla roczników przerośniętych z powodu wojny umożliwiono intensywną naukę – kończenie dwóch klas w jednym roku. W 1948 roku Aleksy był już po maturze. Na świadectwie, gdzie figurują same dobre i bardzo dobre oceny, z goryczą pokazuje jedyną trójkę z języka polskiego. Mówi, że dyrektor Zygmunt Fiedorowicz nie chciał go szczególnie wyróżniać wysoką średnią i dlatego zaniżył mu ocenę akurat z języka polskiego. Myślał o studiach, ale nie miał szans, bo ojciec był kułakiem, a dzieci wrogów ludu nie przyjmowano na studia. – Człowiek się trochę załamał! – wzdycha.

Dopiero w 1950 roku zaproponowano mu pracę nauczyciela. Wtedy nie można było wybierać sobie miejsca – dostał nakaz pracy w Zdunowicach, wioseczce w lasach koło Sulęczyzna; a tam, jedenaścioro uczniów i chata z jedną klasą oraz drugim pomieszczeniem na: kuchnię, sypialnię, kancelarię i wszystko inne. Artur Paszkiewicz, kierownik szkoły w Łyśniewie, znał dobrze Aleksego, bo ten jeszcze jako uczeń szkoły średniej organizował w Łyśniewie różne przedstawienia. Obiecał wybawić go z tego zesłania. Aleksy dostał na początku pracę w szkole



Aleksy jako młody nauczyciel



Na plebani w Czarnowie koło Torunia u brata Antoniego wraz z siostrami, które tam prowadziły dom

w Jelonku, a po roku w Łyśniewie i tam przepracował 26 lat. Pracując podjął zaoczne trzyletnie studia, po których został nauczycielem matematyki i fizyki.

Pasją Aleksiego było, jak to mówi, robienie teatrów. O tym opowiada najchętniej. Pierwsze dwa, trzy lata po wojnie można jeszcze było robić jasełka, później już nie. Szukał repertuaru, a Paszkiewicz podsuwał jakieś tłumaczenia z rosyjskiego, ale to mu się nie podobało. Sięgnął do baśni braci Grimm i Andersena. Szukał takich, które nadawały się do inscenizacji – żeby akcja nie działa się raz na wodzie, raz na koniu, bo trudno do tego zrobić dekoracje.

Wspomina o problemach z modlitwą w szkole. W Puzdrowie jeszcze się modlili, bo tam kierownik nie był partyjny. Więc i Aleksy zaczął odmawiać modlitwę w Łyśniewie. Doszło to do władz i „oberwał” on i jego kierownik. Lokalny sekretarz patrzył na Aleksiego podejrzliwie, bo ten nie chciał wejść w szeregi partii, wymawiał się słabym zdrowiem, choć zapewniano go, że nie będzie musiał przychodzić na każde zebranie. Jego ówczesnych zwierzchników raziło też to, że nie przestał chodzić

do kościoła. Pan Aleksy wspomina: – A ten sekretarz, co całe życie źle gadał na księży, to podobno przed śmiercią chciał mieć księdza i było przykre wydarzenie – w Sierakowicach nie zastano ani proboszcza, ani wikarego na miejscu, posłano więc po księdza w Gowidlinie i tam też nikogo na plebani nie było.

Komunizm był czasami śmieszny – mówi pan Aleksy. Wspomina defiladę pierwszomajową w Sierakowicach w latach pięćdziesiątych. Co tylko przejeżdżało przed trybuną, było witane okrzykiem „niech żyje”. Gdy nadjechała makieta bomby atomowej, też przywitał ją taki okrzyk. A po każdym przemówieniu śpiewano hymn narodowy i Międzynarodówkę. Na hymn ludzie zdejmowali czapki, a na Międzynarodówkę wkładali z powrotem. Bardzo śmieszne incydenty zdarzały się też na zebraniach, podczas których liczni mówcy przekonywali, że należy walczyć o pokój. Pewnego razu w Łyśniewie jakiś podpity chłop, niewiele rozumiejący z bełkotu wygłaszanych przemówień, zerwał się nagle i krzyknął: „Jak ten Churchel chce wojny, to ja mogę iść, kto pójdzie ze mną?”. W roku 1951 jesienią, krótko przed wyborami, na rogu ulicy Łęborskiej i Jeziornej w Sierakowicach widniał transparent, który czytany od strony Jeziornej wyglądał na świństwo: ODUPOPIERAJFRONT NARODOWY. Dopiero od ulicy Łęborskiej widoczny był początek: MŁODZIEŻY NAR.

– Jak człowiek był przygnębiony politycznie, to ducha karmił kawałami, komedią – mówi pan Aleksy. Szukał komicznych akcentów i do przedstawień przygotowywanych w szkole. Niewiele troszczył się o zakazy, gdy urządzał spektakle szkolne z uczniami. Przedstawień jednak domagała się także młodzież starsza. Tu chodziło przy okazji i o zarobek, i o zabawę, a nawet o wyszynk. Wtedy trzeba było jechać po zezwolenie do powiatu, żeby uzyskać zgodę na scenariusz przedstawienia. Urzędnik miał wielką księgę, w której był spis zakazanych tytułów. Nie zawsze udawało się Aleksemu gładko załatwić sprawę, raz nawet skonfiskowano mu książkę. Nie bardzo się tym przejął, bo na próbie wziął od swoich „aktorów” teksty ich ról, w nocy to wszystko przepisał i miał znowu scenariusz. Przed wojną, mówi pan Aleksy, ludzie najchętniej śmiali się, jak było o diabłach albo o Żydach, a po wojnie można było iść za to do więzienia.

Niedawno ukazała się w „Wiadomościach Sierakowickich” relacja Danuty Pioch ze spotkania z panem Aleksym, z której wynika, że nie zarejestrowałam w swojej rozmowie bardzo ważnych wspomnień o relacjach obu braci Pelplińskich, stąd uzupełnię obraz życia mojego bohatera stosownym cytatem.

„Oddzielną zupełnie część życia stanowią pobyty Aleksego u brata Antoniego. Jak wspomina Danuta Tandek, pracująca z Aleksym w Łyśniewie, każdy niemal wolny czas był dla Aleksego »wyjazdową mobilizacją«.

Przychodził wtedy do szkoły z potrzebnym bagażem, by najbliższym po zakończeniu zajęć transportem pojechać do brata, a droga była daleka – parafia w Czarnowie pod Toruniem. Bracia mieli rozliczne pasje. Pisanie, komponowanie, przygotowywanie sztuk scenicznych, wspólne śpiewy w gronie rodzinnym i fotografowanie. Dzięki temu dość dobrze udokumentowane są ważne momenty z życia rodziny. Aż trudno pojąć, kiedy na to wszystko znajdowali czas, zważywszy, że jednocześnie z życiem artystycznym toczyło się życie duchownego i nauczyciela, jak również mozolna walka o byt. Ksiądz Antoni, jego dwie siostry oraz kilkoro dzieci brata, które wychowywał po jego śmierci, ciężko pracowali na parafialnym gospodarstwie. Pomagał im w tym dzielnie dojeżdżający Aleksy. W Czarnowie, z dala od Kaszub, powstały najbardziej tęskne utwory księdza Antoniego. (...) Ksiądz Antoni śpiewał o Kaszubach, aż wreszcie je sobie wyśpiewał. W 1983 roku niespodziewanie został przeniesiony do Mściszewic, gdzie pozostał do śmierci, jednak po przeniesieniu zaprzestał pisanie”¹.

Wydaje mi się, że istnieje baśniowy świat pana Aleksego. Jak pamięta, to już w wieku 7 lat składał pierwsze rymowanki. Potem jako nauczyciel ze trzy, cztery utwory napisał na potrzeby szkoły i uczniów. Dopiero, gdy przestał pracować zawodowo, oddał się pisaniu w pełni. Zachęcał go do tego nie tylko brat, ale również Bruno Richert, były redaktor naczelny „Zrzeszy Kaszubskiej”, który ostatnie trzy lata życia spędził w Mściszewicach, a także profesor Józef Borzyszkowski. Za jego namową powstały *Jasełka kaszubskie*, a potem w 1985 roku dzięki jego pomocy zostały wydrukowane. Pan Aleksy pokazuje mi spis własnych utworów scenicznych i jest tam dwadzieścia jeden tytułów². Większość z nich, bo aż dwanaście jest po kaszubsku. Pisownia trochę specyficzna, ale pan Aleksy potrafi szczegółowo uzasadnić swoje poglądy na ten temat.

Do jasełek i baśniowego świata pan Aleksy ma szczególny pociąg. Żartobliwie do rzeczy podchodząc, można przypuszczać, że to jego niewielki wzrost ma jakiś wpływ na takie łatwe zanurzanie się w świecie aniołów, krośnięt, diabłów, a także innych kaszubskich i niekaszubskich straszków oraz duszków. Z jasełkami w tytule są aż trzy utwory – jeden w realiach kaszubskich, jeden w palestyńskich i jeszcze jasełka nowoczesne, w których trzej królowie nazywają się: Kacper Wałęsowski, Melchior Janka i Baltazar Borzyszka. Czas Bożego Narodzenia, tak bogaty na Kaszubach w obrzędy i zwyczaje, został utrwalony w dorobku

1 D. Pioch *Spotkanie z Aleksym Pelplińskim* „Wiadomości Sierakowickie”, R. 2009, nr 2, s. 14–15.

2 Według najnowszych informacji Aleksego Pelplińskiego liczba utworów scenicznych wzrosła do około trzydziestu, a tylko sześciu użyto do inscenizacji.



Przedstawienie *Gwałtu, co się dzieje* w Łyśniewie w 1964 roku

pana Aleksego także wielu innymi tytułami, m.in. *Wilia*, *Sylwester*, *Zapustny koń*, *Herody*, *Noworoczne rozgraje*, *Trzej Królowie* i *Nowy Rok*. Odnajdziemy w nich mnóstwo zapamiętanych z dzieciństwa zabaw, obyczajów oraz wróżb. A wszystko opisane z głębokim namysłem, aby jak najdokładniej odzwierciedlić to na scenie.

Inny świat, ale jakże bliski kaszubskiej kulturze, ukazany został w utworach pt. *Piekielna narada*, *Bytowskie straszki*, *Cudowny lasek* czy *Przeżyta bajka*. Autor zadbał, żeby były w nich elementy komiczne, postacie z literatury kaszubskiej – Smętek, Borowa Ciotka czy krośnięta – a nawet aluzje polityczne. Dużo obyczajowości kaszubskiej zawierają fabuły opisane w *Dziwnych wrejach* i w *Kwiecie paproci*. Szkoda, że tylko nieliczne utwory próbowano wykorzystać do przedstawień, a na tym panu Aleksemu zależy najbardziej.

Nie sposób omówić tu całego dorobku mojego zacnego rozmówcy, ale wspomnijmy jeszcze o jednym utworze scenicznym. Do zajęcia się postacią biskupa Konstantyna Dominika nakłonił go wspominany już Bruno Richert. Dostarczył on dane o rodzinie i życiu biskupa. Pan Aleksy na początku miał wątpliwości, czy jest odpowiednią osobą do pisania

o Słudze Bożym, ale z czasem bardzo go postać biskupa Dominika, który zmarł w opinii świętości, wciągnęła. Pokazuje mi duży brulion akademicki, prawie w całości wypełniony rękopisem sztuki w sześciu aktach. Każdy akt ilustruje fragment z innego okresu życia bohatera. Wszystko uporządkowane i dokładnie opisane – postacie i sceny. Pan Aleksy mówi: – Mam taki plan – jak przyjedzie papież, to poproszę kogoś, kto będzie miał do niego przystęp, żeby mu wręczył. Mam tu stosowne pismo, którym zezwalam na dowolne zmiany. Może się ta moja praca na coś przyda.

Oprócz utworów scenicznych pan Aleksy spisuje również gawędy i przypowieści. Ma ich kolejny gruby, duży zeszyt. Zgromadził tam kilkadziesiąt krótkich tekstów, które podzielił według tematów w sposób następujący: gawędy społeczno-polityczne, o jedzeniu, o handlu, o ludziach przebiegłych, o naiwniakach, o swatach oraz – grupa ostatnia – o szkole i dzieciach.

Przytoczę na koniec znamienne wypowiedź pana Aleksego, oddając istotę jego osobowości – równie twórczej co hojnej: – Ktoś zobaczył, że mam wiele książek i zapytał, komu to zapiszę w spadku. Ja nie będę robił testamentu. Mam tylko jedno małe życzenie – żeby te wszystkie przedstawienia były w jednych rękach i żeby udostępniono je tym, którzy będą chcieli robić teatr. Wtedy i po śmierci przyczynię się dla kultury. Mój bratanek Piotr Leszczyński jest *szkólnym* i jemu to będzie pasowało.

Trzej bracia i las

Antoni Treder

(1922–2005)

Mój kolejny rozmówca mieszkał na pograniczu Sierakowic i Paczewa. Tu, z małymi przerwami, spędził całe swoje życie, ponieważ ojcowizna Antoniego znajduje się opodal. Był najmłodszym z trzech braci Trederów – Bronisław, zwany Bronisiem, i Jan nie żyją. Antoni urodził się w 1922 roku. Rodzice braci – Jan i Paulina z domu Grabowska – byli w Paczewie tęgimi *gburami*; mieli dziewięćdziesiąt dwa morgi ziemi uprawnej. Na gospodarce pracowali też mieszkający z synem dziadkowie braci – Józef i Józefina z Drywów.

Rodzina Trederów słynęła z tego, że mieli dobre i mocne konie, przeważnie aż cztery. Konie służyły nie tylko do obrabiania ziemi, ale pracowały również w lesie. Jan i Bronis byli zatrudniani w młodości przez leśniczego z Kamienicy Królewskiej – Jana Dąbrowskiego – do wywożenia drewna. Zresztą, nie tylko oni, bo najczęściej pięciu-sześciu furmanów ze swoimi zaprzęgami konnymi ciągnęło ogromne drewniane bale z naszych stron aż za Sulęczyno albo do załadowania na wagony kolejowe w Sierakowicach.

Bracia Antoniego chodzili do szkoły w Sierakowicach i mieli niemieckich nauczycieli, Antoni natomiast, jako że urodzony później, doczekał się szkoły polskiej i to w pobliżu domu, bo w samym Paczewie. Podkreśla bardzo, że nauczyciele byli Polakami; nazywali się Plata i Pocot. Uczniów w tej paczewskiej szkole było nie mniej niż czterdziestu. W budynku szkolnym, który do dzisiaj stoi a do lat siedemdziesiątych służył jako szkoła, wówczas była jedna sala lekcyjna. Resztę budynku zajmowało mieszkanie jednego z nauczycieli.

Zeszytów ani tym bardziej podręczników uczniowie paczewskiej szkoły nie mieli. Wystarczyła im tabliczka i *gryfel*; jedna strona tabliczki służyła do polskiego, a druga do rachunków. Gdy była zapełniona, to szmatką ją wycierano i znów było gdzie pisać. Oprócz lekcji nauczyciele organizowali uczniom zajęcia na wolnym powietrzu. Ponieważ las w okolicach Paczewa był bardziej dorodny niż teraz, nauczyciele chętnie



Bracia Trederowie z kuzynami

wybierali się tam z uczniami. Czasem sadzili pod nadzorem leśniczego drzewka i taki dzień nazywano świętem lasu, a czasami zbierali grzyby dla nauczyciela i to nazywało się ... gimnastyką. Antoni bardzo lubił takie lekcje. Dbano też o morale uczniów – na przykład kradzież pod każdą postacią była surowo karana. Pan Antoni do dziś pamięta, że nauczyciel Pocot wymierzył wszystkim uczniom po pięć klapsów za to, że podbierali opadłe na ziemię gruszki z sąsiadującej ze szkołą posesji Klinkoszków, co było stanowczo zabronione.

Po ukończeniu szkoły Antoniemu z gospodarskich zajęć przypadło paść krowy. Ta sielanka nie trwała jednak zbyt długo, bo wybuchła druga wojna. Starsi bracia w momencie rozpoczęcia wojny zostali zmobilizowani. Tu trzeba zaznaczyć, że Broniś przed wojną służył w kompanii reprezentacyjnej Wojska Polskiego, co potwierdza fotografia w albumie rodzinnym z wnętrza Belwederu w tle. W rodzinie Trederów często trafiali się postawni i słusznego wzrostu kawalerowie; Broniś właśnie był taki i pewnie dlatego został wyróżniony.

Natomiast Antoni również w pierwszych dniach wojny został z grupą młodych chłopców wywieziony na Zachód. Po licznych postojach dotarli



Konie u Trederów były zawsze traktowane ze szczególną atencją

aż pod francuską granicę. Byli przetrzymywani w obozach jenieckich, a po kilku tygodniach zaczęto ich rozwozić spowrotem w rodzinne strony. Do Sierakowic dotarli koleją, pociąg zatrzymywał się od Lęborka na każdej stacji i opuszczali go ci, którym było z danej stacji najbliżej do domu. W Sierakowicach pociąg zatrzymał się po raz ostatni. Antoni wrócił do domu. Pozostali pasażerowie nie mieli już możliwości opuszczenia pociągu – zostali zawiezieni do obozu koncentracyjnego w Stutthofie. To było w listopadzie 1939 roku.

Po Antonim wrócili do Paczewa jego bracia i nadal *kuczerowali* u leśniczego w Kamienicy Królewskiej. Jednak nie tylko tym się trudnili. To leśniczy Jan Dąbrowski wciągnął trzech braci do Gryfa Pomorskiego. W 1942 roku sam został ujęty, a w lipcu tegoż roku wraz z Antonim Naczkim z Tuchlina i Franciszkiem Paszka z Kartuz – powieszony w Sianowie. Wcześniej zdążył schować broń u Trederów; był to jeden karabin i jedna fuzja myśliwska. Na początku 1944 roku bracia Trederowie zostali zaprzysiężeni. Wcześniej uczyli się w lesie strzelać. Przysięgę odbierał od nich Juliusz Koszałka z Rębienicy. To uroczyste wydarzenie miało miejsce w... stodole Trederów. Pan Antoni mówi, że najprawdopodob-

niej lista zaprzysiężonych wówczas młodych ludzi, a było ich w owej stodole dwudziestu, gdy znalazła się daleko od Paczewa, trafiła w ręce Niemców. Jakies dwa-trzy miesiące później – dokładnie w czerwcu 1944 roku – wszyscy zostali aresztowani. Pan Antoni przypomina sobie niektórych z tej grupy: swojego kuzyna Stanisława Majkowskiego z Młynów, Leona Myszkę też z Młynów, Jana Gojtowskiego z Łyśniewa, Franciszka Penkę z Tuchlina i Teodora Zelewskiego z Sierakowic. Ujęci też zostali obaj bracia Antoniego.

Aresztowanych zwożono do sierakowickiego posterunku policji w budynku przy ulicy Słupskiej, gdzie po wojnie miała pierwszą siedzibę gminna rada narodowa. Zanim nakazano im wejść do ciężarówek, wszystkich powiązano sznurami, krępując nie tylko wykręcone do tyłu ręce, ale oplątując sznurem również szyję. Jechali zatrzymując się po kilka godzin w Sulęczynie, Stężycy i Kartuzach, a do sierakowickiej grupy dołączali nowi aresztowani. W Kartuzach doszedł do nich ksiądz Franciszek Grucza, pochodzący z Gowidlina. Utworzono kolumnę składającą się z czterech ciężarówek i wtedy pojechali już prosto do Stutthofu. Po przekroczeniu bramy obozu gestapowcy zapytali, co to za zbrodniarze. – To partyzanci z Gryfa Pomorskiego – padła odpowiedź.

Wcielenie do obozu w Stutthofie wyglądało w ten sposób, że po uwolnieniu ze sznurów nowym więźniom ogolono głowy, skierowano do kąpieli, potem każdy dostał drewniaki na nogi i resztę obozowego przyodziewku, a do oznaczenia kategorii „przestępstwa” Antoni i jego koledzy z transportu otrzymali obok numeru czerwone, wydłużone trójkąty, które każdy musiał sobie przyszyć w wyznaczonych miejscach odzieży ostrym kątem w dół. Tak w wielotysięcznej rzeszy więźniów znakowano więźniów politycznych. Do dzisiaj pan Antoni przechowuje w pamięci te detale i swój numer obozowy – 36978.

Był w jednym baraku z braćmi i kuzynem. Ksiądz Grucza również był z nimi. On został przydzielony do pracy administracyjnej, w biurze, które pan Antoni określa jako biuro pracy. Pamięta też, że w Wigilię ksiądz Grucza udzielił wszystkim zaufanym w bloku Komunii świętej. Natomiast Antoni najpierw pracował w stolarni, potem poza obozem przy budowie domu mieszkalnego dla jednego z gestapowców, a na końcu przy budowie hali fabrycznej znów na terenie obozu. Gdy pytam o wydarzenie, które najbardziej nim wstrząsnęło, mówi o karach, które stosowano wobec łamiących obozowe nakazy. W dzień Wigilii Bożego Narodzenia powieszono na placu apelowym dwoje ludzi. Nie zdjęto ich z szubienicy przez całe święta. Pan Antoni był też świadkiem innej okrutnej egzekucji, opisywanej wielokrotnie we wspomnieniach obozowych. Chodzi o sytuację, gdy wieszany trzykrotnie zrywał się ze sznura. Ostatecznie został zastrzelony.



Antoni na ślubnym kobiercu z żoną Agnieszką

W styczniu 1945 roku rozpoczęto ewakuację obozu. Antoni opuścił obóz 25 stycznia z trzecią półtoratysięczną grupą. Jego braci nie było razem z nim. Zima była sroga i napadało wiele śniegu. Dostali na drogę po bochenku chleba. Pierwszą noc spędzili w zabudowaniach gospodarsza za Wisłą, który dla wszystkich nagotował ziemniaków; przypadło po trzy *pulki* na głowę. Potem była noc i dzień na lotnisku w Pruszczu Gdańskim, następny nocleg gdzieś w piwnicy, a po nim dwie noce w Kczewie koło Przodkowa. Wtedy udało się opuścić transport księdzu Gruczy. Gdy nocowali w kościele w Strzeczcu, kolega Antoniego namówił jednego esesmana, że za zegarek pozwoli im obu oddalić się od grupy. Przenocowali w innej wsi u znajomych. Potem dotarli do Łapalic. Tam Antoni spotkał również zbiegłego brata Bronisia.

Przez tydzień przeczekiwali u znajomych. O tym, że synowie są wolni zawiadomiono rodziców w Paczewie, telefonując na dworzec kolejowy w Sierakowicach. Tam dyżurnym był Polak Białecki. Przyjechała po nich matka, saniami, z kuzynem. Żeby bezpiecznie dotrzeć do Sierakowic, najpierw włączali się w ciąg wozów z uciekinierami z Prus Wschodnich. Droga z Kartuz do Sierakowic była nimi wypełniona. Przed

Miechucinem jednakże skręcili w prawo i leśnymi drogami dotarli do domu. Dobrze zrobili, bo w Miechucinie, jak się później dowiedzieli, stał patrol niemiecki i wszystkich legitymowano.

Niezadługo wrócił spod Wejherowa trzeci brat – Jan. Jeszcze przez kilka miesięcy bracia nie czuli się w domu bezpiecznie. Znowu najlepszy okazał się las i w nim się zaszuli. W zupełnie niedostępnej gęstwinie wykopali w ziemi bunker, umocnili go drewnem, zamaskowali i tylko leśniczy Leon Hınca wiedział, gdzie są.

Po wojnie Trederowie zostali bez koni, bo sowieckie wojska wszystkie cztery zarekwirowały. Ciężko było od nowa dorobić się takich fest koni, bo te powojenne były słabsze, mówi pan Antoni. Ale po kilku latach znowu mieli cztery tęgie wałachy i ponownie mogli furmanić w lesie.

W 1951 roku ożenił się z Agnieszką Piotrowską z Sierakowic, dostał od rodziców dwa hektary ziemi i na niej wybudował dom dla swojej rodziny. Broniś ożenił się już podczas wojny i on został na ojcowiznie, a Jan wżenił się w rodzinę Naczków w sąsiedztwie i tak bracia pozostali do końca swoich dni razem w Paczewie.

Trzydzieści sześć lat przepracował Antoni na państwowej robocie – najpierw w składnicy drewna, potem jako murarz, a najdłużej w zakładach roszarniczych w Lęborku. Pozostawił dwoje dzieci – syna Kazimierza i córkę Romanę.

Postać Antoniego byłaby niepełna, gdyby nie podkreślić jego dużego zaangażowania w pracę na rzecz Związku Kombatantów, a właściwie na rzecz członków tej organizacji. Od 1988 roku był nieustannie prezesem sierakowickiego koła, w każdy wtorek regularnie spotykał się z innymi członkami zarządu i jest wiele osób, które dzięki pomocy Związku mają większe renty, emerytury lub uzyskali jakieś odszkodowania. Mój rozmówca pokazał mi na koniec sporą gromadkę odznaczeń, m.in. Krzyż Oświęcimski i Krzyż Partyzancki.

Pół wieku doli i niedoli

Rozmowę przeprowadzono w październiku 1998 roku

Zofia i Edmund
Lewiczowie

Pan Edmund Lewicz był seniorem wśród radnych obu pierwszych kadencji gminnego samorządu i miałam wiele okazji, żeby umówić się na rozmowę. Jednak dopiero gdy zmarł, pojęłam swoje zaniedbanie. Na szczęście osobą równie znaną w środowisku jest małżonka pana Edmunda – Zofia – a oprócz tego wyjątkowo otwartą, przyjazną ludziom i chętną do wspomnień. Przecież dla każdego, kto urodził się kilkadziesiąt lat temu w Sierakowicach, drogeria państwa Lewiczów jest częścią jego wspomnień z dzieciństwa. Pamiętamy ten szczególny aromat ich sklepu – mieszanina ziół, kosmetyków i farb. A przedświąteczny nastrój w każdym domu zaczynał się, gdy mama wręczała nam małą buteleczkę, na przykład po lekach, i nakazywała kupić w drogerii olejek migdałowy do ciasta. Pan Lewicz nalewał te olejki z olbrzymich flaszek czy słoików i nigdy przy tej operacji nie uрониł ani jednej kropli. Poznajmy więc dzieje pary sierakowickich „drogerzystów”, jak mówili o miejscowi, poprzez wspomnienia pani Zofii.

Zofia urodziła się 23 stycznia 1923 roku w Rybakach koło Wieżycy. Była najstarszą córką listonosza Kuchty, który – awansując w pocztowej hierarchii – w 1935 roku dostał skierowanie do pracy w województwie kieleckim. Tam Zofia jako uczennica starszych klas szkoły podstawowej zetknęła się z Żydami, ale nie pamięta żadnej wrogości ani konfliktów z nimi. Po dwóch latach udało się Kuchtom wrócić w rodzinne strony – ojciec dostał w Kartuzach pracę urzędnika jeżdżącego ambulansem pocztowym. Dzięki jego dobrym zarobkom, Zofia mogła rozpocząć naukę w gimnazjum. Wspomina kartuskie gimnazjum z dużym uznaniem – mówi, że tam był rygor, wszystkich uczniów obowiązywały jednakowe mundurki, ale dzięki temu wszyscy byli równi. Oprócz nauki była zaangażowana w harcerstwie i należała do Sodalicii Mariańskiej. Pamięta, że opiekowali się sierocińcem, który prowadziły zakonnice.

Pierwszego dnia wojny Niemcy aresztowali ojca, a rodzinę wywieziono na Wschód. Zofia z matką i trójką młodszego rodzeństwa oraz

dziadkiem dotarli pociągiem towarowym do Chełma, a potem furmanką na wieś niedaleko Berezki Kartuskiej. Dostali u chłopca izbę i słomę na podłozie do spania, a matka do wielkiego wiklinowego kosza zdążyła z Kartuz zabrać tylko trochę zapasów żywności i ojca galowy mundur pocztowca. Ten mundur był dla całej rodziny bardzo ważny i ojcu też zależało, żeby go ocalili. W tej, położonej nieopodal Bugu, wsi Zofia zetknęła się ze wszystkimi okropnościami wojny. Liczne bombardowania wyganiały ich z chaty do rowów, wojsko polskie, a zwłaszcza granatowa policja, której było tam dużo, próbowali się bronić. Ludność cywilna starała się im pomagać, jak potrafiła. Matka obszywała i opierała żołnierzy, a Zofia – ku własnemu zdziwieniu – była proszona o usługi fryzjerskie. Zobaczyli, że zręcznie goli dziadka brzytwą, więc też się ustawiali do niej w kolejce. Gdy nasze wojsko otrzymało rozkaz wymarszu na Węgry, niezdługo pojawili się Niemcy. W zielonych mundurach, na białych koniach, ale bezwzględni wobec ludzi. Tu Zofii po raz pierwszy przydała się znajomość języka niemieckiego, którym biegle władała po pierwszej klasie gimnazjum. Wy tłumaczyła okupantom dokładnie, kim jest ona i cała rodzina, a jeszcze wybroniła gospodarzy. Po jakimś czasie poznali inne wojsko. Bracia przybiegli do domu wykrzykując: - Co za dziwne wojsko idzie! Karabiny mają na sznurkach, a plecaki z worków! Gdy Rosjanie zrobili rewizję w wiklinowym koszu pani Kuchtovej, znaleźli mundur galowy jej męża i uznali go za dowód, że ukrywają wrogięgo żołnierza. Ponieważ Zofia najbardziej energicznie protestowała, ją pierwszą, a potem matkę ustawili pod ścianą do rozstrzelania. Wtedy gospodarz uratował im życie – na tyle znał rosyjski, że pojęli, iż w Polsce takie mundury nosili listonosze.

Gdy rodzina Zofii została przeniesiona do Lublina, znowu znajomość niemieckiego okazała się przydatna. Bardzo trudno było w niemieckim urzędzie załatwić papiery zezwalające na powrót w rodzinne strony; szesnastoletniej Zofii to się udało. Mówi, że wszystko tak dokładnie wytłumaczyła, że dostali nawet pieniądze, bo mówiła, że nie mają jedzenia. Z drogi powrotnej najbardziej pamięta przesiadkę w Bydgoszczy, bo tam po długim czasie na dworcu mogli kupić herbatę, bułki, a nawet parówki. Jednak, gdy dziadek zaczął dopytywać się „gdzie my jesteśmy?”, a Niemiec w mundurze SA bardzo brutalnie upomniał go, że nie wolno mówić po polsku, poczuli, że nadal są w okupowanym kraju.

Pan Edmund Lewicz urodził się 20 listopada 1919 roku w Berlinie, co wcale nie znaczy, że był Niemcem. Rodzice jego pochodzili spod Piły i jako młodzi ludzie oboje wyjechali na roboty do Niemiec; tam urodził się ich najstarszy syn. Czworo młodszych dzieci Lewiczów urodziło się już w kraju, gdzie wrócili w 1921 roku. Zamieszkali w miejscowości Białośliwie i tam Edmund chodził do siedmioklasowej szkoły podstawowej.

Dzieciństwo jego urozmaicała przynależność do harcerstwa i dzięki niemu poznał Kaszuby, bo tu nad jeziorem spędził jeden z obozów. W tym okresie pokochał wodę i góry, a miłość ta pozostała w nim na całe życie.

Po szkole podstawowej uczył się przez dwa lata w specjalnej szkole drogistowskiej w Bydgoszczy. Pani Zofia podkreśla, że była to szkoła o bardzo wysokim poziomie. Egzaminy końcowe trzeba było zdawać w Poznaniu, a najtrudniejsza była farmacja. Jako wykwalifikowany drogista pod koniec 1937 roku bez trudu otrzymał pracę w drogerii pana Wieczorka w Kartuzach. Edmundowi zależało, żeby osiąść na Pomorzu, gdzie było dużo jezior. Drogeria mieściła się na rynku, na rogu, gdzie dzisiaj jest zejście na deptak. Pan Wieczorek został rozstrzelany zaraz na początku wojny, a młody drogista stał się pracownikiem Niemca.

Troje dzieci żony urzędnika pocztowego Kuchty, gdy matka wróciła z nimi do Kartuz, otrzymało od okupanta nakazy pracy; nawet trzynastoletni syn musiał być parobkiem w gospodarstwie i nocował w chlewie. Zofia dostała skierowanie do pracy u rzeźnika i masarza, który miał sklep w Kartuzach pod adresem Rynek 5, a nazywał się Johan Muderau (wcześniej Jan Modrzewski). Musiała tam nie tylko sprzedawać mięso i wędliny, ale też sprzątać sklep i zaplecze, gdzie produkowano wyroby. Wszystko musiało błyszczeć! Nie było godzin pracy – robiło się tak długo, aż był pełny *ordnung*. Przepracowała tam całą wojnę.

Takie miejsce pracy miało w tamtych czasach swoje zalety: mięso było wydzielane na kartki – Polacy dostawali po dwieście gramów na tydzień, a Niemcy po czterysta. Nauczyła się tak kombinować, żeby znajomym Polakom można było dawać więcej niż kartkowa norma pozwalała. Najbardziej potrzebujący byli ludzie osadzeni w więzieniu i pozostający na froncie. Kilka razy jeździła z paczkami żywnościowymi do obozu w Chyloni, gdzie przebywali znajomi z Sulęcyna i Kartuz. Wzbudzała wielkie zdziwienie wśród więźniów, że przedostawała się przez liczne stráže. A ona mówi, że uważała to za swój obowiązek i znowu pomocna była jej znajomość niemieckiego.

Swojego przyszłego męża, pana Edmunda, poznała w owym sklepie mięsnym. Przychodził tam robić zakupy, tak jak wielu innych. Jednak, gdy poznała go na tyle dobrze, że wiedziała, iż jest niejako kolegą po fachu, włączyła go do grona uprzywilejowanych odbiorców, którzy dostawali więcej niż kartka pozwalała.

To była wojenna miłość. Sielanka nie trwała długo. Wiosną 1942 roku Edmund uległ naciskom i podpisał trzecią grupę niemiecką (eingedeutsche), wszak urodził się w Berlinie. Zofia przeczuwała, że niedługo straci narzeczonego. Rzeczywiście, we wrześniu tegoż roku otrzymał powołanie do wojska. Był w oddziale takich jak on „Niemców”, co przysięgę

składali po polsku, za pośrednictwem tłumacza. Przed odjazdem Zofia obiecała narzeczonemu, że będzie na niego czekała, a on przestrzegał, że może wrócić kaleką i stać się marnym kandydatem na męża.

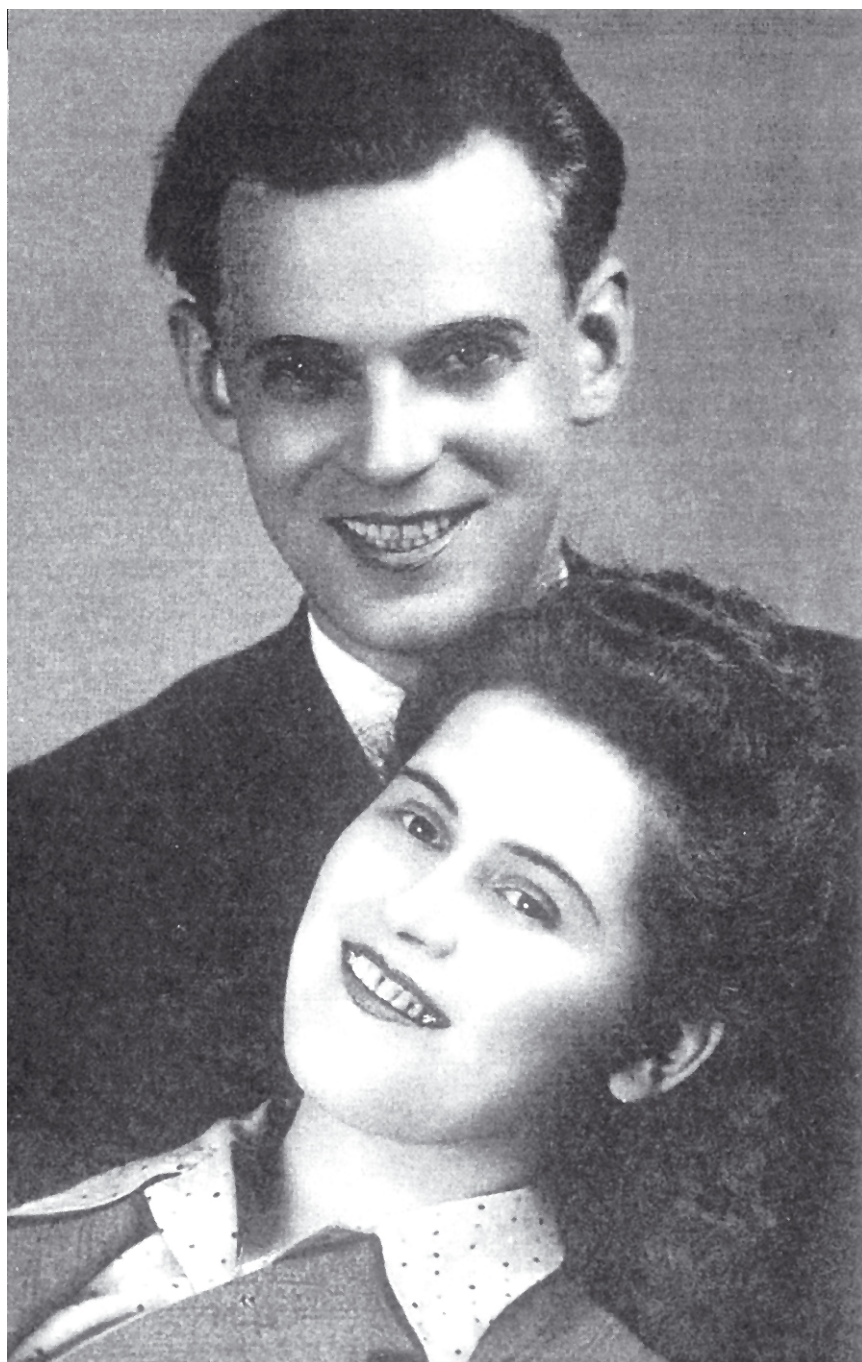
Zofia z jeszcze większą pasją oddała się przygotowywaniu paczek żywnościowych na front. Dzisiaj mówi: – Co ja się napakowałam tych paczek! Miałam dużą wprawę, żeby nie przekroczyć wagi. U jej pracodawcy produkowano specjalne kielbaski do paczek na front. Były z lepszego mięsa, podwędzane i każda dokładnie po sto gramów. A potem wiązano je mocnym sznurkiem po tyle, ile mógł dostać konkretny adresat. Wiązanie bardzo mocnym sznurkiem było po to, by kielbaski nie zostały rozszabrowane zanim dotrą do celu.

Edmund po przeszkoleniu został sanitariuszem. Pracował z doktorem Kuhnem, który go bardzo dobrze traktował. Pan Lewicz asystował mu przy operacjach. Gdy po raz pierwszy miał pomagać przy amputacji nogi, to zasłabł. Potem się przyzwyczaił. Najpierw stacjonował we Francji, potem we Włoszech, a dalej były Węgry i znowu Włochy. Tam doczekał końca wojny i postanowił wracać do Polski, chociaż doktor Kuhn gorąco namawiał go do pozostania na Zachodzie.

Gdy w drodze do kraju dotarli na Śląsk, koniecznością stało się zdobycie cywilnego ubrania. Miał z zapasów sanitarnych wermachtu jeszcze mydło, jakieś medykamenty, a nawet perfumy i to zamienił na ubranie. Nie miał żadnych dokumentów do legitymowania się, więc mówił, że wraca z robót. Ale najbardziej pomogły mu listy od Zofii, których miał dużo, a wszystkie pisane były po polsku. Nimi się legitymował. Do domu wrócił 8 października 1945 roku, jak dokładnie zapamiętała jego ówczesna narzeczona.

Zaraz po wojnie pani Zofia dostała pracę w Referacie Odbudowy w Kartuzach, a potem pracowała w prywatnej firmie, która budowała szpital w Dzierżążnie. Pan Edmund nie dostał jednak zatrudnienia w Kartuzach i pracował jako drogista w rodzinnych stronach. Do narzeczonej przyjeżdżał często i ciągle planował powrócić na Kaszuby. Bardzo mu w tym pomógł pan Przytarski, którego znał jeszcze z czasów wojny. Namówił Edmunda, żeby w Sierakowicach otworzyć drogerię, bo tam takiego sklepu nie ma. Zaproponował lokum w budynku, który odziedziczył po teściu Kromerze, przy ulicy Kartuskiej 12. Tak też się stało. Urządzenie i wyposażenie drogerii kosztowało sto tysięcy złotych. Została otwarta pierwszego września 1948 roku, a nad wejściem widniał szyld *Drogeria Kaszubska*.

Narzeczona pomagała panu Lewiczowi załatwić wiele spraw w Kartuzach, zwłaszcza dotyczących zaopatrzenia. Wreszcie stało się oczywiste, że powinni się pobrać. Dali w Kartuzach na zapowiedzi, a gdy rozeszła się wiadomość o ich ślubie, zaczęło się namawianie,



Zofia i Edmund w narzeczeństwie

żeby – zgodnie z nowym obyczajem – najpierw wzięli ślub cywilny. Pani Zofia nie miała zamiaru ulegać tej modzie i 2 października 1949 roku ksiądz Stryszak w kościele klasztornym dał im ślub kościelny, a kilka dni później po cichu załatwili cywilny. Do wiklinowego kosza sprzed wojny Zofia złożyła swój dobytek i pojechała za mężem do Sierakowic. Tam na poddaszu domu państwa Przytarskich czekało na nią zupełnie urządzone mieszkanie – duża kuchnia i duża sypialnia – z meblami, pościelą i naczyniami. Państwo Przytarscy zatrzymali wracającą z wesela babcię pana Lewicza u siebie i wspólnie wprowadzili Zofię do jej nowego domu. Mieszkali tam dwadzieścia lat.

Drogeria początkowo prosperowała świetnie. Ludzie w Sierakowicach byli im bardzo przychylni. Zamawiali wiele lekarstw, zwłaszcza dla chorującego bydła. Jednak czasy te nie sprzyjały prywatnym właścicielom. Lewiczowie otrzymywali coraz większe domiary od fiskusa; dziwili się, że wszystko mają w najlepszym porządku, a są ciągle karani. Wreszcie pewien urzędnik w Kartuzach powiedział pani Zofii w zaufaniu, że nie ma sensu walczyć, że trzeba się poddać. Drogeria stała się własnością Gminnej Spółdzielni w 1953 roku.

Pani Zofia na kilka lat zrezygnowała z pracy, bo zaczęły przychodzić na świat dzieci. Najpierw Krystyna, potem Aleksandra, niezadługo Ewa i wtedy była dłuższa przerwa, po której urodził się syn Piotr. Życie pani Zofii wypełniało gotowanie, pranie, karmienie. Jeszcze do dziś z pewnym zażenowaniem wspomina, jak bardzo długo karmiła własnym pokarmem każde dziecko, ale dzięki temu dr Lammek zapewniał ją, że kolejne maleństwo nie zarazi się ospą od chorującego starszego dziecka, pomimo że mieszkali w jednym pokoju.

W październiku 1955 roku rodzinę Lewiczów dotknęło duże nieszczęście – pana Edmunda aresztowano. Chodziło o biurową maszynę do liczenia, którą GS kupiła od prywatnej osoby, a takiej transakcji nie można było legalnie przeprowadzić. Uzgodniono, że pan Lewicz będzie ten wydatek odliczał z dochodów drogerii. Ktoś doniósł o tym „odpowiednim czynnikom”. Pani Lewiczowa zamartwiała się o męża, dzieci i o to, że część mieszkańców Sierakowic uwierzyła w niegodziwość jej męża. Przez pół roku nie mogła uzyskać zgody na widzenie, a więzienie było w Gdańsku przy ul. Okopowej. Gdy po raz któryś odrzucono jej prośbę, poszła przebojowo, jak mówi, do prezesa sądu, a ten myślał, że chce widzenia z synem, a nie z mężem. Z tej zgryzoty tak źle wyglądała. Wreszcie zgodę dostała. Gdy na Boże Narodzenie syn sąsiadów przebrany za świętego Mikołaja przyniósł dzieciom Lewiczów skromne upominki, one zaczęły płakać i gwałtownie prosiły go, że chcą tatusia, a nie prezenty. W maju 1956 roku ogłoszono amnestię i pan Lewicz został nią objęty. Wrócił dokładnie trzeciego maja, gdy pani Zofia modliła

się w kościele, zaniepokojona, bo miał wrócić dzień wcześniej. Potem ksiądz Bazyli Olęcki przypominał często powtarzane przez nią słowa, że zabrali męża w miesiącu maryjnym, to go wypuszczą też w czasie Matce Bożej poświęconym. A ona mówi, że nie wie, dlaczego tak powiedziała, tak jej serce dyktowało.

Gdy pani Zofia trochę odchowala dzieci, postanowiła się doksztalcić. W latach 1961–63 co tydzień w sobotę wyjeżdżała do Gdańska i całą niedzielę się uczyła, żeby uzyskać dyplom drogistowski. W tecze z dokumentami przechowuje ten dyplom, a na nim widnieje trzynaście specjalistycznych przedmiotów m.in.: chemia, fotooptyka, znajomość leków i trucizn, a nawet elementy języka łacińskiego. Po wielu latach pracy w drogerii i po zdaniu licznych egzaminów na dyplomie napisało, że „uzyskała kwalifikacje do samodzielnego wykonywania zawodu drogistowskiego”. Gdy jechała na końcowy egzamin, była tak niepewna jego wyniku, że zakazała rodzinie oczekiwania jej na przystanku autobusowym. Ale oni i tak byli tam w komplecie, a dzieci dzierżyły bukietki ogrodowych kwiatów.

Żeby udoskonalić własne miejsce pracy, pan Lewicz pojechał na wycieczkę do Niemiec i tam podpatrywał, jak wyglądają drogerie. Namówił zwierzchników, aby ich sklep unowocześnić. Postanowiono przenieść drogerię na drugą stronę ulicy Kartuskiej, do większych pomieszczeń, i zrobić wszystko jak trzeba. Na zapleczu były oddzielne magazyny na farby, oddzielne na artykuły zielarskie i farmaceutyczne. W sklepie były również działy: z kosmetykami, z artykułami fotograficznymi i z weterynaryjnymi. Przeniesienie drogerii nastąpiło w lutym 1969 roku. Pani Zofia nie podejmuje się wymienić wszystkich asortymentów, które w tym sklepie były, ale pamięta, że posiadali na stanie również peruki. Wiąże się z tym zabawna anegdota: pewnego razu klientka długo przyglądała się pani Zofii, wreszcie odważyła się zapytać, czy jest do kupienia również taka peruka, jaką ma na głowie, bo dla takiego efektu, też byłaby zainteresowana. A pani Zofia ma do dzisiaj przepiękne własne włosy.

Swój własny dom zaczęli państwo Lewiczowie budować dopiero w latach sześćdziesiątych. Żeby dorobić zaczęli dodatkowo, oprócz pracy w drogerii, hodować lisy. Poszczególne etapy budowy domu pani Zofia wiąże ze studiami córek. Budowa tak silnie ich absorbowwała, że dziewczęta same musiały jechać do miasta, składać papiery, zdawać egzaminy i to im nie zaszkodziło. Uczyły się samodzielności. Podkreśla jeszcze, że mąż nauczył wszystkie dzieci pływać, a tylko jej nie, bo się bała wody. Latem po pracy i nakarmieniu lisów jak najczęściej starał się zabrać całą rodzinę do Łeby i tam odbywało się wielkie harcowanie w wodzie, ale bez udziału pani Zofii, która truchlała na brzegu w obawie,

że się potopią. Dzisiaj dzieci państwa Lewiczów nie mieszkają w Sierakowicach – są wykształcone i zajmują odpowiedzialne stanowiska. Ale najważniejsze, że znajdują czas i często nawiedzają rodzinny dom. Pani Lewicz zaś mówi, że z Sierakowicami wiąże ją wiele pięknych wspomnień i jest tu otoczona życzliwymi ludźmi. Myślę, że to cieszy wszystkich, którzy znają tę elegancką i pogodną panią¹.

¹ Pani Lewicz od kilku lat mieszka w Kartuzach.

Stolarz, skrzypek i amator historii

Rozmowę przeprowadzono w maju 1999 roku

Stefan Kolka

(1924–2006)

Mało dziś ludzi używa słowa „patriotyzm” w tak naturalny sposób, jak pan Stefan Kolka. Nie ma w tym jego mówieniu ani przesadnego patosu, ani typowego dla wielu zażenowania. W dziejach rodziny Kolków, które spróbuję przybliżyć na kanwie losów pana Stefana, odnajdziemy wiele momentów o patriotycznym zabarwieniu. Były one jednocześnie ściśle powiązane z historią Sierakowic. Dlatego cieszę się bardzo, że udało mi się wreszcie namówić pana Stefana na garść wspomnień, co nie było łatwe. Jest on bowiem, mimo swoich 75 lat, osobą bardzo zajętą: na co dzień pomaga córce i zięciowi prowadzić siłownię, czasami zastępuje żonę za kontuarem kawiarni *Chęcz*, stale coś remontuje i naprawia, a oprócz tego jest przecież filarem Kaszubskiego Zespołu Pieśni i Tańca „Sierakowice”. Prawie od założenia zespołu gra tam na skrzypcach, śpiewa, służy jako tłumacz, a gdy ma dobry humor, to potrafi z maestrią *gadkę* kaszubską zaprezentować. Nie powiedziałam najważniejszego - przez większość swojego życia pan Stefan był stolarzem. Dzisiaj w Sierakowicach stolarzy jest bardzo wielu, ale w latach dwudziestych stolarstwo zaczęło się tu dopiero rozwijać i właśnie chyba dzięki rodzinie Kolków.

Stefan jest trzecim stolarzem w kolejnym pokoleniu rodziny Kolków. Dziadek Ignacy był pierwszy, potem ojciec Robert, który w wieku dwudziestu ośmiu lat już na tyle się dorobił pracą u ojca w Cieszeniu, że mógł zakupić piękny kawałek ziemi i wybudować w roku 1913 dom, a właściwie secesyjną kamienicę w centrum Sierakowic. Pan Stefan mówi, że pracowali od rana do wieczora, dlatego się bogacili. Robert był wtedy jeszcze kawalerem, chociaż już zaręczonym z Martą Rychert z Zawór. Poznali się, śpiewając w chórze kościelnym w Chmielnie. Zaręczyny musiały być huczne, bowiem do dzisiaj jako pamiątkę rodzinną przechowuje się w domu Kolków prezent, który Robert dał Marcie - sześć szklanek obłanych prawdziwym złotem, które oglądane pod światło są zielonkawe.



Marta i Robert Kolkowie z dziećmi, od lewej: Wacław, Leon, Stanisław, Zygmunt, Stanisława, Stefan i Helena

Jednak plany małżeńskie Roberta zostały odroczone, ponieważ wybuchła pierwsza wojna światowa. Przez cztery lata był na froncie. Pan Stefan zaznacza, że pisząc do domu i do narzeczonej z różnych miejsc Europy używał języka polskiego, którego formalnie się nie uczył w żadnej szkole. To zasługa Kościoła – stwierdza mój rozmówca – na lekcjach religii i poprzez inną swoją działalność księża uczyli dzieci pisać i czytać po polsku.

Rodzice Stefana pobrali się dopiero po wojnie – w 1919 roku. Matka urodziła ogółem dziesięcioro dzieci, jednak wieku dorosłego dożyło tylko siedmioro. Stefan był szóstym z kolei i urodził się 22 czerwca 1924 roku. Dzieciństwo upłynęło mu w dostatku, który, jak podkreśla, brał się z dużej pracowitości i oszczędności rodziców. Matka, sama pochodząca z dziewięćdziesięciomorgowej roli, mimo że stolarnia dobrze prosperowała, nie mogła żyć w Sierakowicach bez gospodarstwa. Do tego gromada dzieci i jeszcze stołowała niektórych pracowników stolarni. Zatrudniali co prawda pomoc do prac domowych, ale pan Stefan podkreśla, że matka była bardzo pracowita. O ojcu mówi, żeby zilustrować,

jaki był oszczędny, iż jadąc do Gdyni lub Gdańska załatwiać sprawy zawsze brał z domu jedzenie i kawę do popicia, wtedy nie musiał po drodze na piwo wydawać. A stolarnia Roberta Kolki była chyba jednym z większych zakładów pracy w Sierakowicach, bo zatrudniał dziesięciu pracowników, nie licząc uczniów.

Ale początki nie były tak dostatnie. Zaraz po pierwszej wojnie Kolkowie oddali nową stolarnię na potrzeby szkoły, żeby w odradzającej się Ojczyźnie było gdzie uczyć dzieci polskiej mowy. Warsztat urządzili w kamienicy, w sali z dużym oknem wystawowym, gdzie dzisiaj mamy kawiarnię. Okno było zasłonięte tylko do połowy, gdy pewnego wieczora pod domem Roberta i Marty spacerował ksiądz kanonik Bernard Łosiński. Stał zaintrygowany dziwnym widokiem: mężczyzna i kobieta, stojący naprzeciw siebie w pewnej odległości, regularnie kiwali głowami do przodu i do tyłu. Wszedł do środka, aby ustalić, co jest przyczyną tego dziwnego zachowania i zastał rodziców Stefana obsługujących dziś już nieużywaną pilę zwaną *kłopżega* do przecinania grubej deski na cieńsze kawałki. W taki to sposób ksiądz Łosiński poznał Kolków. Z czasem zaprzyjaźnił się z nimi, a z panem Robertem ksiądz Łosiński często rozprawiał o hodowli pszczół.

Robert Kolka należał do grona fundatorów pomnika Matki Boskiej Królowej Korony Polskiej oraz tablicy pamiątkowej, którą oddano hołd poległym w czasie wojny bolszewickiej. Oprócz tego był jednym z założycieli Stowarzyszenia Rzemieślników i Kupców, co też działa się pod patronatem księdza Łosińskiego.

Stefan chodził do szkoły od szóstego roku życia, był najmłodszy w klasie i najprawdopodobniej nie miał z nauką żadnych kłopotów, bo było oczywiste, że będzie kontynuował naukę w gimnazjum. Gdy ukończył dziesięć lat, ojciec uznał, że ma słuch muzyczny, kupił skrzypce i zatrudnił prywatnego nauczyciela. Mówi dzisiaj, że bardzo tych lekcji gry na skrzypcach nie lubił, że wolałby fortepian, ale z ojcem nie było dyskusji. Uważał, że dziewczęta powinny opanować grę na pianinie, a chłopcy właśnie skrzypce. – To były drobnomieszczańskie poglądy – z dezaprobatą kończy temat pan Stefan.

Gdy skończył szóstą klasę szkoły podstawowej, jego starszy brat Stanisław był już od trzech lat w gimnazjum, prowadzonym przez werbistów w Górnej Grupie koło Grudziądza. Matka miała ciche marzenie, by kolejni synowie szli w ślady Stanisława. I tak w 1936 roku Stefan stał się uczniem i wychowankiem misjonarzy. Bardzo dobrze wspomina trzyletni okres pobytu w tej szkole. Nie doskwierała mu wcale dość surowa dyscyplina, która tam panowała. Mówi dzisiaj wręcz, że tam wychowanie oparte było na dobrych zasadach. Ilustruje to następującym przykładem. Do szkoły przynależał piękny sad, obfitujący w najprzeróżniejsze owoce.

Wszystkim uczniom znana była zasada, iż nie należy podjadać owoców na własną rękę. Raz, gdy grupie uczniów, z którymi był Stefan, piłka wypadła między leżące pod drzewem renklody, pokusa dopadła i mojego rozmówcę, najpierw podniósł owoc, a w następnej chwili odłożył go z powrotem. Ponieważ czujne oko wychowawców wszystko widziało, Stefan cieszy się do dzisiaj, że oparł się pokusie.

Jeszcze w 1934 roku Kolkowie opuścili Sierakowice i zamieszkali w Gdyni, gdzie przy ulicy Leśnej wybudowali dom. Stolarska w Sierakowicach dalej istniała; wydzierżawili ją Janowi Jankowskiemu, jednemu z uczniów Roberta, który był człowiekiem godnym zaufania. Okupacja hitlerowska nie tylko przerwała naukę Stefana u misjonarzy, ale spowodowała też wygnanie z Gdyni i wywiezienie najstarszego z rodzeństwa Stanisława, który był już po święceniach diakonałnych, do obozu w Mauthausen, gdzie zmarł w Wigilię Bożego Narodzenia 1940 roku. Obawiałem się poważnie – mówi Stefan – że ta wiadomość matkę zabije, jednak przeżyła cios, choć nigdy o Staśku nie zapomniała. W styczniu 1942 roku przysłano z Mauthausen cynkową urnę z prochami brata. Czy to były jego prochy, trudno powiedzieć, ale przynajmniej była to ziemia z mauthausenowskiej Golgoty. Urnę zakopano w grobie siostry Stefanii, a już po wojnie sprawiono uroczysty pogrzeb¹.

Powrót do Sierakowic nie był łatwą rzeczą. Okupanci nakazali Kolkom wysiedlenie do Generalnej Guberni. Wybronił ich przed tym Gustaw Hoffmann – pastor sierakowickich ewangelików, który znał rodzinę Kolków od wielu lat. Przekonał starostę kartuskiego, że nazwisko Kolka wywodzi się od słowa kohlmann, które oznacza węglarzy pruskich, ludzi zajmujących się wypalaniem węgla drzewnego.

Najbardziej dramatyczne wydarzenia w domu Kolków rozegrały się na początku 1942 roku. Do końca lutego okupant oczekiwał ostatecznego zdeklarowania się miejscowej ludności w sprawie przynależności do którejś z trzech grup narodowości niemieckiej. Na dwa dni przed upływem ostatecznego terminu pastor zawezwał Roberta Kolkę i postawił sprawę jednoznacznie: wielokrotnie wstawiał się w gestapo za nimi tłumacząc, iż są proniemieccy i jeżeli teraz nie podpisze listy, to wiele złego może spotkać jego rodzinę. Ojciec Stefana wrócił do domu i próbował przekonać żonę, że nie mają innego wyjścia. Ona kategorycznie się nie zgadzała. Stefan był świadkiem rozdzierającej sceny, którą do dziś pamięta ze szczegółami, jak ojciec jedną ręką otwierał drzwi, a za drugą uchwyciła go matka i głośno błagała, żeby nie wychodził.

1 Kleryk Stanisław Kolka jako Sługa Boży nominowany jest do tytułu Błogosławionego po procesie diecezjalnym, zamkniętym 23 kwietnia 2008 roku na uroczystościach w Pieniężnie.



Leon, Stanisław, Marta i Stefan Kolkowie wiosną 1939 roku w Górnej Grupie

Jednak podpisał listę. A po miesiącu dowiedział się, że na drugi dzień żona wniosła w starostwie pisemny sprzeciw od decyzji męża. W ironiczny sposób uzasadniała, iż „nie czuje się godna plamić szlachetnej niemieckiej listy swoim nazwiskiem, bo jest matką polskiego bandyty, który został ukarany w obozie koncentracyjnym”. Swoje szyderstwo posunęła dalej – poszła do *arbeitsamtu* i poprosiła o skierowanie na roboty, bo tylko to się przynależy Polakom. Urzędnik uznał, że jest niespełna rozumu i z krzykiem wypędził ją z biura.

Rezultaty tego rozdźwięku między rodzicami były dość pozytywne dla rodziny: młodsze dzieci mogły chodzić do szkoły, bo ich ojciec podpisał listę; Stefan i młodszy o rok Leon nie byli brani do wojska, bo matka nie pozwoliła na ich zniemczenie. Mimo pozornego spokoju ani Stefan, ani inne starsze dzieci Kolków w domu na stałe nie mieszkały – rozproszyły się po świecie, bo tak było bezpieczniej. Stefan przebywał w Redzie i tam pracował jako stolarz, a gdy zjeżdżał do Sierakowic, to często zastawał dom zamknięty, jakby w nim nikt nie mieszkał. Wiedział, że rodzice często śpią w stodole, bo też nie czuli się bezpiecznie.



Stefan (pierwszy z lewej) jako żołnierz Armii Andersa –
Taranto we Włoszech, czerwiec 1945

Pod koniec wojny, a dokładnie w czerwcu 1944 roku, jednak dwóch najstarszych synów – Stefana i Leona – wzięto do wermachtu. Pan Stefan mówi, że Polacy w armii hitlerowskiej byli traktowani jak mięso armatnie. Rozdzielano ich, a z decydujących bitew wyłączano zupełnie, bo przy pierwszej okazji przechodzili na stronę aliantów i demaskowali pozycje Niemców. Zresztą, przeszkolenie wojskowe było tak mizerne, że nie mogli być dobrymi wojakami. Żołnierski szlak zawiódł pana Stefana do Luksemburga, w góry Ardeny. W lutym 1945 roku został ranny; do dzisiaj ma wyraźną bliznę na policzku. Niedoleczony musiał wrócić na front, gdzie poddał się Amerykanom. Trafił do armii Andersa, przebywał w obozie w okolicach Taranto we Włoszech. Tam spotkał też brata. Nigdy nawet nie myślał o pozostaniu na Zachodzie i wrócił do Polski, gdy tylko stało się to możliwe. Brat Leon wyjechał do Anglii, potem do Australii, gdzie mieszka do dzisiaj.

W grudniu 1945 roku Stefan z bronią na ramieniu wrócił do Polski i tu dopiero został zdemobilizowany. Mówi, że już się pogodził z faktem,

iż dla żadnej ze stron nie jest kombatantem. Dla Niemców jest dezert-rem, dla Polaków nie-żołnierzem, bo zanim przeszedł wszelkie obozy pośrednie, wojna się skończyła. Ma tylko taką małą satysfakcję, że teraz, gdy po latach jako członek zespołu „Sierakowice” był na miejscu swej wojaczki, mógł poznanemu tam Niemcowi powiedzieć: – Tutaj na przełomie 1944 i 1945 roku pomagałem wam przegrać tę wojnę. Niemiec się śmiał i dziękował.

– Jak była wojna – mówi pan Stefan – żyłem nadzieją na odrodzenie Polski, a jak się wojna skończyła, nadzieję straciłem. Najpierw zabrał się za skończenie szkoły, ale nie poszedł do werbistów, bo już wiedział, że nie chce być misjonarzem. W 1949 roku zdał maturę w Liceum Handlowym w Gdyni. Wcześniej poznał oblicze nowej władzy. W 1946 roku na represje wobec krakowskich studentów, którzy zorganizowali pochód Trzeciomajowy, uczniowie w Gdyni odpowiedzieli strajkiem szkolnym. Stefan został przez ubecę uznany za jednego z prowadzących i przez trzy miesiące musiał się ukrywać. Najpierw w domu rodziców, gdzie jeszcze z czasów wojny było jedno dobrze zamaskowane pomieszczenie, a potem na gospodarstwie u państwa Ramczyków na Wygodzie. Mówi z wdzięcznością, że uniknął aresztowania dzięki dużej życzliwości ówczesnego sierakowickiego milicjanta – Witolda Wierzyńkiewicza, który był wilnianinem i został tu z czasów, gdy przez Sierakowice wędrowała fala uchodźców ze Wschodu.

Stolarki Stefan nauczył się u ojca, ale nie mógł z nim pracować – stanowiliby zbyt kapitalistyczną firmę! Ojciec miał już powyżej 60 lat i nie chcieli narażać jego warsztatu na likwidację. Dlatego Robert pracował tylko z jednym uczniem i udawał, że prawie nie ma stolarni, połowę jej zakrywając słomą. Stefan natomiast pracował jako planista w gościńskiejskiej fabryce mebli. Dopiero po 1956 roku, gdy nieco zelżały przepisy i zezwolono by w jednym warsztacie mogło pracować troje ludzi, Stefan wrócił do Sierakowic.

Z czasem klimat dla rzemiosła robił się coraz przychylniejszy i stolarnia Kolków wytwarzała meble dla coraz liczniejszej klienteli, w bliższej i dalszej okolicy. Zawsze jednak były kłopoty z zaopatrzeniem w materiały, trzeba było robić „wycieczki” po całym niemal kraju. Robert przeszedł na emeryturę dopiero w wieku 80 lat, ale jeszcze mając 84 lata zrobił okno, potrzebne przy przeróbce domu. W latach siedemdziesiątych w stolarni zaczęły obowiązywać wolne soboty, a w sierpniu zawsze wszyscy mieli urlop. Pracownicy, najczęściej synowie rolników, byli zadowoleni z takiego układu, zaś pan Stefan miał czas dla rodziny, na przykład na wyjazdy po ciepło i słońce. Wyjeżdżało się tylko do „demoludów”, bo nigdy nie udało się uzyskać przydziału dewiz na wyjazd do Jugosławii czy Wiednia.



Stefan – artysta ludowy

Dużo zmieniło się w życiu pana Stefana w 1981 roku. W maju przeszedł ciężki zawał, po którym rozstał się ze stolarstwem; przedtem w kraju wybuchła Solidarność, a w Sierakowicach założono zespół folklorystyczny. Mojego rozmówcę zwerbował do zespołu jego imienik – Stefan Kwiecień, który wówczas był tam instruktorem muzycznym. Gdy dowiedział się, że Kolka gra na skrzypcach, to tak długo nalegał, aż dopiął swego. Pan Stefan mówi, że wstąpił do zespołu pod warunkiem, że nie będzie występował na żadnej scenie. Dla mnie, od dziesięciu lat śledzącej dzieje zespołu „Sierakowice”, wydaje się nieprawdopodobne, że tak skromne były plany tych, którzy zespół zakładali. A przecież w krótkim czasie osiągnęli wysoki poziom i wyruszyli w świat. Wówczas, gdy niełatwo było dostać paszport i wizę, zespół był zapraszany do niemal wszystkich krajów Europy, otarł się również o Azję. A pan Stefan uzbrojony w skrzypce, odziany w kaszubski strój na bardzo różne sceny wchodził – w wielkich teatrach i w maleńkich kafejkach – i jestem pewna, że zawsze, gdy schodził ze sceny, towarzyszyły mu serdeczne brawa. Mówi o sobie żartobliwie, że stał się teraz artystą ludowym.

Wielkim szokiem dla Stefana było wprowadzenie stanu wojennego. Mówi: – To przysłowiowy gwóźdź do trumny, w której pogrzebałem całą władzę ludową i lewicę. Uważa, że nic nie usprawiedliwia postawienia wojska naprzeciw własnego narodu, że ówczesne władze pokazały, czym jest dla nich Polska, naród, honor i uczciwość. Silny stres niepokoił lekarza, bo serce jeszcze nie całkiem powróciło do normy.

W roku 1990 wypełniły się dwa wielkie pragnienia pana Stefana, które nosił w sobie przez wszystkie lata panowania komuny. Po pierwsze, na pomnik Matki Boskiej Królowej Korony Polskiej wróciła tablica z tekstem, jaki został na niej umieszczony w roku 1930, w dziesiątą rocznicę Cudu nad Wisłą. I druga rzecz – odczytał podczas uroczystego poświęcenia tej tablicy apel poległych w drugiej wojnie światowej, których listę sam sporządził. Dzieje pomnika są na ogół znane, więc przypomnę krótko, że hitlerowcy usilnie starali się dotrzeć do listy ofiarodawców, zamurowanej w jego fundamencie podczas budowy. Nakazali rozbiórkę pod nadzorem wojskowego, lecz wykonujący tę pracę Polak wykorzystał moment jego nieuwagi, odnalazł butelkę z dokumentem i schował go do kieszeni, twierdząc, że znalazł tylko rozbite szkło. Lista była przez całą wojnę ukrywana w domu Kolków i po wojnie wróciła na swoje miejsce. Figurę Matki Boskiej przechowywano w kościele, a zniszczona przez Niemców tablica została zastąpiona inną, oddającą hołd ofiarom drugiej wojny. Dopiero po 1989 roku wróciła nadzieja, że o Cudzie nad Wisłą będzie można mówić i pisać.

Jeszcze przed 1990 rokiem pan Stefan reaktywował Stowarzyszenie Rzemieślników i Kupców. Byli chyba pierwsi na gminnej mapie organi-

zacji pozarządowych powstałych w Trzeciej Rzeczypospolitej. Inni niż w latach dwudziestych są sierakowiccy rzemieślnicy, wiele zawodów wyginęło, ale i wiele nowych się pojawiło. Na przykład właściciele sklepów Sierakowicom w krótkim czasie przybyło kilkudziesięciu. Pan Stefan tłumaczył potencjalnym członkom Stowarzyszenia, jak było przed wojną i dlaczego dobrze będzie się zorganizować. Doprowadził do rejestracji Stowarzyszenia, został jego pierwszym, do dzisiaj urzędującym prezesem. Rzemieślnicy i kupcy również jako pierwsi sprawili sobie sztandar, będący repliką przedwojennego, a na nim zakazane do niedawna „Boże, błogosław nam”. Zaraz też włączył rzemieślników do realizacji swojego marzenia – powrotu tablicy pamiątkowej pod figurę Matki Boskiej. Zebrał fundusze, za które sprowadził z Bojana granitową płytę, przy pomocy kamieniarza, pana Wenty, naszykował ją do umocowania liter i sam je wkleił; tekst z 1930 roku udało mu się odtworzyć ze zdjęcia w opublikowanej wówczas jednodniówce. Dokładnie w siedemdziesiąt rocznicę Cudu nad Wisłą, na zakończenie bardzo uroczystej procesji do odnowionego pomnika, ksiądz Tadeusz Klan dokonał poświęcenia tablicy.

Pan Stefan od dzieciństwa był wychowywany w przekonaniu, że ofiary wojen powinny być uszanowane przez tych, którzy pozostali przy życiu. Gdy jeździł z zespołem po Europie, oglądał w małych nawet miejscowościach okazałe pomniki i tablice, upamiętniające niekiedy kilku czy kilkunastu poległych. Postanowił, że należy koniecznie i jak najszybciej zebrać listę ofiar drugiej wojny z gminy Sierakowice. Przed 1989 rokiem to również nie było możliwe, ponieważ „cywil” wypytujący ludzi o takie dane byłby mocno podejrzany, a poza tym wśród ofiar są i ci, których zamordowali Rosjanie, a o tym na pewno nie można było wspomnieć. Pokazuje mi zwykły, niebieski zeszyt szkolny, a w nim starannie porobione rubryki i rzędy nazwisk. W innym miejscu zestawienie zbiorcze: ogółem wszystkich ofiar drugiej wojny w gminie Sierakowice – 243, w tym najwięcej, bo 104 osoby rozstrzelane przez Niemców lub zmarłe w obozach, 56 osób zginęło w walkach przeciwko okupantowi, 44 w armii niemieckiej, 23 z rąk sowieckich i 16 w różnych innych okolicznościach.

Pytam, jak powstał tak gruntowny i solidny materiał – bo są i dość dokładne dane o każdym poległym, i o okolicznościach jego śmierci, na tyle, na ile było to możliwe, bo przecież dużo czasu upłynęło. Pan Stefan odpowiada, że po prostu odwiedzał rodziny i wypytывał o wszystko. Będąc u jednych dowiadywał się o następnych i tak w ciągu roku wykonał zadanie, które sobie postawił. Wspomina z goryczą, że próbował zainteresować swoją inicjatywą członków Komitetu Obywatelskiego, ale zbyli go twierdzeniem, że to jest praca dla historyka, że zbyt wiele czasu



Maria i Stefan Kolkowie z rodziną córki Iwony

minęło, a pamięć ludzka jest zawodna. W odniesieniu do poszczególnych miejscowości pomagali mu ludzie od dawna tam mieszkający, na przykład w Jelonku i Załakowie pan Józef Klasa.

Z zebranego materiału pan Stefan wysnuwa wiele interesujących wniosków, a wśród nich ten, że w czasie drugiej wojny w armii niemieckiej zginęło znacznie mniej naszych rodaków, niż w pierwszej. Pokazuje mi, że ci, którzy byli w wermachcie, pochodzili przeważnie z samych Sierakowic, a w okolicznych wioskach prawie ich nie było. Pan Stefan z dumą zaznacza, że większość sierakowiczian nie ugięła się pod naciskiem okupanta i porównuje naszą gminę z Redą, gdzie pracował podczas wojny i do dziś pamięta, że na liście Polaków do odbioru kartek żywnościowych były tylko dwie tamtejsze rodziny i pan Stefan.

W kontekście prac nad listą ofiar wojny mój rozmówca z dużym naciskiem wyłuszcza mi swój pogląd na temat tzw. bohaterów wojennych. Mówi, że nie lubi tego określenia, bo używane bywa zupełnie bezzasadnie. Wie dobrze, jakie to okoliczności czyniły z ludzi tych niby bohaterów. Na przykład do Stutthofu można było trafić za nielegalne ubicie świni, a potem pod wpływem nacisków podpisać listę narodo-

wościową i w wyniku tego stać się żołnierzem wermachtu. Dlatego uważa, że lepiej mówić o ofiarach wojny, bo nimi byli na pewno wszyscy, którzy ginęli.

Jeszcze na zakończenie trzeba koniecznie wspomnieć o tym, że Stefan Kolka wydatnie przyczynił się do tego, iż przy rodzinnej chacie księdza Bernarda Sychty w Puzdrowie, w dziesiątą rocznicę jego śmierci został odsłonięty obelisk. Znowu zaangażował miejscowych rzemieślników, sam wyszukał w kamieniołomach koło Borucina potrzebnych rozmiarów kamień, zadbał o urządzenie otoczenia. Zabiegi te skończyły się okazałą uroczystością, co było o tyle łatwiejsze dla pana Stefana, że współpracował z własną żoną – Marią Kolka, wówczas prezesem oddziału Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego. Mnie się wydaje, że wszystko, co w ostatnich latach w naszej gminie miało proveniencję społeczną a wydźwięk patriotyczny, działo się z aktywną obecnością Marii i Stefana Kolków.

Dzielna Kaszubka

Rozmowę przeprowadzono w marcu 1999 roku

Stefania Zelewska

(1924–2009)

Jest Kaszubką spod Kościerzyny, co łatwo rozpoznać z powodu nieco innej, pięknej mowy kaszubskiej, którą się posługuje. Przybyła do Sierakowic pięćdziesiąt cztery lata temu jako żona Franciszka Zelewskiego i zamieszkała w części tak zwanego dworu – dawnej siedzibie rodu Łaszewskich. Po rozparcelowaniu majątku, w początkach wieku dwudziestego, stał się on rodzinnym gniazdem Zelewskich. Jeszcze do dziś dom posiada pewne ślady dworskości – duże i wysokie pokoje, starodawne meble, obrazy i zegar świadczą o przeszłości. Mimo że pani Stefania od wielu lat jest wdową, dom tętni życiem. Mieszka tu syn Ryszard, któremu zdała gospodarstwo, z żoną i trojgiem dzieci oraz najmłodsza córka Teresa, która pracuje w banku w Kartuzach. Niedawno zmarł szwagier – brat Franciszka, który też całe życie tu mieszkał. Seniorka rodu jest w rodzinie osobą najważniejszą i wszyscy ją szanują. Gdy w pierwszych chwilach rozmowy dowiaduję się, że akurat w najbliższych dniach skończy siedemdziesiąt pięć lat, nie mogę w to uwierzyć – jest bardzo ruchliwa, co chwilę gdzieś wyjeżdża, ma młody głos i bardzo chętnie się śmieje. Prawie żadnych oznak starości. Tym bardziej jestem ciekawa jej życia.



Stefania Bogumiła urodziła się 30 marca 1924 roku w rodzinie Młyńskich w Rekownicy koło Kościerzyny. Rodzice gospodarowali na stopięćdziesięciomorgowym gospodarstwie i należała do nich również część Jeziora Grabowskiego. Była najmłodszą spośród jedenaściorga rodzeństwa. Do szkoły chodziła najpierw w Wielkim Klińcu, a potem – do szóstej i siódmej klasy – w Kościerzynie. Z wielkim uznaniem mówi o swym pierwszym nauczycielu, chociaż był bardzo surowy, a rozbrykanych chłopców karał klęceniem na grochu. Pani Stefania już w starszych klasach szkoły powszechnej mówiła, że chce w przyszłości być nauczycielką.

Marzenia piętnastoletniej dziewczyny unicestwiła wojna. Na początku listopada 1939 roku gospodarstwo rodziców zajął Niemiec spod Egierowa. Miał troje dzieci, żonę, kozę i świnię – mówi pani Stefania.

Młyńscy musieli zostawić cały inwentarz, lepsze meble i wyprowadzić się do jednej izby w skromnej chacie, ale nadal zostali w Rekownicy. Najstarszy brat poszedł na wojnę. Już po dwóch tygodniach – dokładnie 18 listopada – przyszło im opuścić rodzinną wieś. Trzy rodziny z Rekownicy zostały wywiezione. – Ten Niemiec tak wrzeszczał, że ja ze strachu wyruszyłam w świat w jednym bucie i w jednej skarpecie! – mówi ciągle jeszcze zbulwersowana tym moja rozmówczyni. Wydarzenia, które potem miały miejsce, bardzo silnie zapadły w pamięć Stefanii, opowiada o nich barwnie i szczegółowo. Mówi, że o tym można by książkę napisać. Okupanci o piątej rano zabrali całą rodzinę na byle jaki wóz, tak jak stali. Na szczęście rodzice mieli trochę oszczędności. Najpierw odtransportowano ich do Wisina, tam spali w kościele. Potem jechali pociągiem z Liniewa do Siedlec. Właściwie jechały trzy pociągi z wagonami osobowymi i bydlęcymi, wypełnione ludźmi z okolicy, a najwięcej było z Kościerzyny. Tamtejszy starosta był bardzo przeciwny Polakom i wskazywał tych, których uważał za patriotów. W Liniewie wrzucono im do wagonu kilka bochenków chleba, który sprawiedliwie rozdzielono. Ludzie się wiele modlili, śpiewali nabożne pieśni i nawzajem pocieszali. Ciasno było tak, że małe dzieci spały na półkach bagażowych. Jedna kobieta nawet urodziła dziecko w tych warunkach i szczęśliwie zostało ono przy życiu. Na bocznicę w Siedlcach poprosili o wodę, a dostali coś podobnego do benzyny, od czego najbardziej spragnionym popuchły usta. Ostatnią noc w pociągu Stefania z osłabienia spędziła na podłodze, a matka stała nad nią i płakała.

Dotarli w Lubelskie, pod Łosice, i tam zaczęto rodziny rozwozić do różnych wsi. Jeszcze wcześniej stali dwa dni na granicy sowieckiej nad Bugiem, ale Rosjanie nie chcieli ich wypuścić. Pani Stefania mówi, że modlitwy ludzi zostały wysłuchane.

Rodzinę Młyńskich osiedlono we wsi Kornica, która miała siedem kilometrów długości. Zamożnych Pomorzan uderzyła bieda tamtych stron. Pani Stefania wspomina: – Mieli takie wąskie pasy ziemi, domki maleńkie, łózek żadnych. Ludzie chodzili boso, w walonkach, w kożuchach i po kilka chustek na głowie. Piekli czarny chleb, rano gotowali barszcz, nawet ziemniaków mieli mało. Ojciec Stefanii czasem kupił na rynku w Siedlcach jakąś gęs i tak przetrwali zimę. A była ona o wiele sroższa, niż w naszych stronach, mróz dochodził do czterdziestu stopni. Najpierw Kornicę opuścili dwaj starsi bracia i siostra Stefanii – zostali wzięci przez okupanta na roboty. W maju Stefania powiedziała, że ucieknie, że chce wrócić w rodzinne strony. Matka płakała i obszywała jej wełną od spodu pończochy, żeby mogła w nich pójść pieszo.

Wśród wywiezionych do Kornicy był ksiądz Kinga. On dał Stefanii mapę i wytłumaczył, jak trzeba iść. Mówił, że najpierw należy dotrzeć



Stefania w wieku trzynastu lat

do Warszawy, a potem najtrudniejsza będzie przeprawa przez granicę między Generalną Gubernią a Pomorzem. Radził szukać nad Narwią przewoźnika, który trudni się szmugłem. W ostatniej chwili przed wyruszeniem w drogę okazało się, że takie same plany ma o rok starszy od Stefanii gimnazjalista Zygmunt (nazwiska moja rozmówczyni nie pamięta). Postanowiono, że razem będzie im raźniej i wyruszyli oboje.

Z Siedlec do Warszawy jechali pociągiem, ale przerw w podróży było wiele, bo musieli unikać patroli niemieckich. W Warszawie przedostali się na Mokotów. Dalej już szli pieszo. Wiedzieli, że powinni kierować się ku granicy, czyli do Narwi. Już jakiś tydzień byli w drodze, gdy dotarli do wsi, która leżała nad rzeką. Było koło północy. W jednym z domów paliło się światło. Zbliżali się z wielkimi obawami, czy w tym domu załatwią przekroczenie rzeki. Najpierw weszła sama Stefania. W środku było pełno ludzi z tobołkami. Poprosiła o wodę do picia. Dostała od gospodyni filiżankę mleka. Do dziś pamięta jego wspaniały smak. Rozpoczęła rozmowę na temat przeprawy przez rzekę i okazało się, że trafili w najbardziej odpowiednie miejsce; gospodarz trudnił się nielegalnym przerzutem przez granicę. Takie szczęście, mówi, pewnie zawdzięczała matce, która cały ten czas odmawiała różaniec w ich intencji.

Stefania odważyła się porozmawiać z żoną gospodarza na uboczu i poprosić, żeby ona i jej towarzysz zostali zabrani za pierwszym razem, bo widziała, że oczekujących jest więcej. Miała oprócz prośb jeszcze trochę pieniędzy na poparcie swoich nalegań. Udało się. Ustaliła też, że za jakiś czas jej rodzice również będą mogli tą drogą wrócić do domu. Mieli płynąć w dziesięcioosobowej grupie. Już przy wchodzeniu do łodzi pomoczyli się, bo zacumowano ją z dala od brzegu. Byli brudni, niewyspani i głodni. Gdy wydawało się, że już szczęśliwie dobijają do drugiego brzegu, zaskoczyły ich strzały. W wielkim popłochu wylądowali i pobiegli do pobliskich krzaków. Gdy strzelanina się uspokoiła, nie mieli sił iść dalej. Nad ranem dotarli do najbliższych zabudowań, ukryli się w stodole i spali tam dwa dni.

Potem zaczęli nasłuchiwać, czy ludzie, którzy krzątają się w obejściu będą do nich życzliwie nastawieni. Znowu pierwsza odważyła się iść Stefania. Poprosiła o coś do picia. Dostała szarej kawy. Potem gospodyni zaczęła pytać, skąd panienka jest i dlaczego się włóczy. Widać, że swymi wyjaśnieniami wzbudziła przychyłność, bo pozwolono jej uprać spódnice, umyć się i ochędożyć do dalszej drogi, a ona odważyła się powiedzieć, że w stodole jest jeszcze kolega. Zostali w tym domu cały dzień i wytłumaczono im, jak mają iść dalej. Przeważnie szli pieszo albo jechali pociągiem na gapę.

W Grudziądzu był problem z przejściem przez most, bo wszyscy mówili, że tam mogą ich złapać. – Udało się, bo szłam z różańcem w rękę,

a wachman stał odwrócony i wcale nas nie widział – mówi pani Stefania. Za Grudziądzem wypoczywali na łączce i liczyli ostatnie pieniądze. Chcieli dojechać do Tczewa, ale jeszcze kilka stacji musieli przejść pieszo, bo mieli za mało pieniędzy na całą trasę. Stefania w Tczewie miała wujka – księdza Młyńskiego – i u niego się zatrzymała. Jej towarzysz dostał od wujka pieniądze, żeby pojechać do Starogardu. W dalszych wojennych perypetiach zgubiła jego adres i nigdy więcej go nie spotkała. A gdy po jakimś czasie wróciła do Kościerzyny, do swojej siostry, ta otworzywszy drzwi nie poznała jej, ponieważ była bardzo wybiedzona i zmieniona. Jeszcze długo leczyła pęcherze na nogach.

Gdy wojna się zaczęła, Stefania była piętnastoletnią dziewczyną i już podczas niedługiego pobytu na kresach zdążyła wejść w kontakt z partyzantką Armii Krajowej. Miała nawet akowską legitymację, ale w latach pięćdziesiątych ją zniszczyła z obawy przed prześladowaniami. A wszystko za przyczyną bliskiej znajomości jej rodziców z rodziną nauczyciela Leona Macholi. Był wielkim patriotą i musiał się od początku wojny ukrywać. Jego żona z dziećmi była wywieziona tym samym transportem, co Młyńscy. Ojciec Stefanii się nimi opiekował, a potem pan Machola znalazł na Wschodzie swoją rodzinę i zaczął tam organizować ruch oporu. Stefania i córka Macholi pomagały mu.

Po powrocie w rodzinne strony działała w Gryfie Pomorskim. Przede wszystkim pomagała ludziom, którzy się ukrywali. Na rowerze przewoziła przeważnie coś do jedzenia, ale zdarzało się, że i spirytus robiony domowym sposobem, który, jak mówi, nie był do picia, tylko do nacierania twarzy i dłoni, bo to chroniło przed odmrożeniami. Ukrywający się siedzieli przeważnie w bunkrach; pamięta, że jeden był w okolicy Borucina, a w innym ukrywał się ksiądz Chmurzyński. Było to w Borowcu koło Stężycy. Kiedyś miała zadanie zawiesić plakat. Na rowerze wybrała się w stronę Sikorzyna i tam przyczepiła go na drzewie. Do dzisiaj, ile razy tam przejeżdża, pokazuje dzieciom to drzewo. Na plakacie był napis, żeby do partyzantki zgłosili się ludzie do obierania ziemniaków. Chodziło o „zrobienie psoty” okupantowi, tłumaczy pani Stefania, bo taki apel na plakacie sugerował, że partyzantów jest wielu.

Kontaktami z Gryfem sprowadziła na siebie kłopoty. Mieszkała wtedy z rodzicami u siostry w Nowej Wsi. Najprawdopodobniej zdradziła ją dziewczyna, której zaproponowała ukrycie w bunkrze, żeby ta nie musiała wyjechać na roboty. Stefanę zabrali z domu nad ranem. Najpierw była w gestapo w Gdańsku. Nie chce o tym mówić, tylko we włosach pokazuje blizny od pobicia. Potem trzy miesiące więzienia w Wejherowie. Mówi, że mimo głodu, razów gumowego pejcza i pluskiew, tam też zdarzały się chwile wesołe, a pogodne usposobienie bardzo pomagało przetrwać. Najważniejsze, mówi, że nikogo nie wydała.

Pod koniec wojny została wysłana na roboty – budowała okopy pod Gniewkowem koło Torunia. Praca była bardzo ciężka, ale w gromadzie młodych szukano sposobności do żartów z okupanta. Idąc z rana do pracy, z łopatami na ramionach, musieli śpiewać niemiecką piosenkę, ale wracając śpiewali *Jeszcze Polska* i uchodziło im to bezkarnie. Tam poważnie zachorowała z powodu zakażenia krwi, którego się nabawiła przez skaleczenie ręki drutem kolczastym. Wylądowała w szpitalu w Toruniu, a rękę leczyła jeszcze po wojnie. Do dzisiaj ma przykurcz dwóch palców.

Gdy tylko wojna się skończyła, wróciła do szkoły. Uczyla się w Sopocie, żeby spełnić swe przedwojenne marzenie i zostać nauczycielką. Tam, a był rok 1945, najadła się tyle kaszy, że starczyło jej na całe życie. Dostała pracę w Kaliszu za Dziemianami i dalej się uczyla na kursach. Przy okazji pogrzebu ciotki z Załakowa poznała swego przyszłego męża – Franciszka Zelewskiego. Właściwie miała innego starającego się, ale on był nauczycielem, a rodzina źle przepowiadała dla związku z nauczycielem; odradzali jej mówiąc, że będzie musiała kozę paść w *biszungu*.

Pan Franciszek był człowiekiem poważnym i posiadał po rodzicach godziwą gospodarkę – trzydzieści cztery hektary. Była to część największego kiedyś w okolicy majątku Łaszewskich i połowa byłego dworu. W rękach Zelewskich ta część majątku jest od 1904 roku, gdy kupił ją od Żyda Jakuba Krebsa, który zadłużonych Łaszewskich wykupił i parcelował majątek. Łaszewscy żyli bardzo po pańsku, lubili się bawować, mówi pani Stefania, a do kościoła Św. Marcina jechali w sześć koni. A dziadek Franciszka, Jan, kupił od Krebsa za gotówkę dwieście mórg ziemi, ale był tak oszczędny, że na zapisy do Kartuz szedł pieszo. Notariusz nie mógł uwierzyć, że ten skromnie wyglądający człowiek będzie płacił gotówką.

Franciszek przyjeżdżał do narzeczonej w Rekownicy rowerem i za pierwszym razem swej wybranki nie zastał, bo była na jakimś kursie. Ale pani Stefania mówi, że starała się nie zwlekać z podjęciem decyzji, żeby tak poważnego człowieka nie zwodzić. Więc wcale długo nie wrejowali, bo tylko dziesięć razy się spotkali i było wesele. A wesele było huczne, bo rodzina liczna i po wojnie wszyscy chętnie się bawili.

Z początku młodej pani Stefanii było ciężko na nowym miejscu, ale nie miała wiele czasu na smutki, bo dzieci przychodziły na świat i w objęściu też było dużo pracy. Wcześniej sobie marzyła, żeby tylko drewek nie musiała rąbać, jednak bywały momenty, kiedy i to przyszło jej robić, bo mąż pracował daleko w polu.

A czasy po wojnie wcale nie były lepsze. Zelewscy byli uważani za kułaków i z tego powodu prześladowano ich. Gdy pan Franciszek szedł



Ślub Stefanii i Franciszka odbył się w 1945 roku



Na spotkaniu z okazji dnia seniora w styczniu 2009 roku

przez rynek, to wołali za nim, że ten wielki gbur pójdzie niedługo na *spódnich buksach*. Władze bardzo utrudniały normalne gospodarowanie. Pani Stefania wspomina, jak gmina nakazała im zaorać całe pole koło szosy, bo nazajutrz miały przyjechać jakieś ważne osoby. A gdy obowiązywały akcje zbierania stonki, to złośliwość urzędników doszła do tego, że na polu Zelewskich ktoś specjalnie podłożył trzy sztuczne, papierowe stonki i żądano, żeby je znaleźli. Znaleźli tylko dwie. Kiedy indziej rozwalili im całe plewy, bo chcieli się upewnić, czy pod nimi nie jest schowane zboże. A pochod pierwoszomajowy w latach pięćdziesiątych prowadzono przez podwórze Zelewskich, byli w nim ludzie przywożeni z Kartuz i Lęborka, a jeden podpity krzykacz dokładnie przy ich domu wrzeszczał: „podżegacze wojenni!”. Mówiono potem, że uczył się tego cały tydzień.

W maju 1956 roku miało miejsce jeszcze jedno wydarzenie, ważne w dziejach Sierakowic. Pani Stefania nazywa to krótko: obrona kościoła Św. Jana. W sobotę ksiądz Jan Nowicki, proboszcz u św. Marcina, otrzymał poufną wiadomość, że drugi kościół, poewangelicki, ma być rozebrany. W niedzielę zaprosił wiernych na popołudnie do tego kościoła, ogłaszając, że będzie on poświęcony i włączony do katolickich obiektów sakralnych. Tak się też stało. W poniedziałek mieszkająca naprzeciw kościoła pani Stefania i jej sąsiadka pani Pioch usłyszały, jak ktoś wybił szybę na kościelnym chórze. Okazało się, że podjechał tam samochód wypełniony ludźmi z Kartuz, a przewodził im - mówi pani Stefania - jakiś zamiejscowy partyjniak. Ludziom powiedziano wcześniej, że mają rozebrać jakąś budowlę, nie wiedzieli, że chodzi o kościół. Na miejscu nie mogli się już przeciwstawiać.

Gdy pani Stefania z sąsiadką tam dobiegły, to połowa drzwi i żelazna sztaba z nich były włożone na samochód. Kobiety bez zastanowienia ściągnęły z samochodu te części. Partyjniak chciał ją uderzyć ową metalową sztangą. Wtedy pani Stefania, chociaż była w ciąży, zamachnęła się kamieniem. Nakazała drzwi z powrotem wstawić w futrynę. Dowodzący rozbiórką człowiek wołał zdenerwowany, gdzie są tutejsi ludzie partii, ale nikogo z Sierakowic się nie doczekał. Urzędnicy w gminie się pochowali i udawali, że są w terenie. A tymczasem zbiegło się ze wsi więcej ludzi, zwłaszcza kobiet, bo słyszeli krzyki. Nadszedł też wprost przez pola od plebanii wikary - ksiądz Bazyli Olecki. Ogółem było ze trzydzieści ludzi, mówi pani Stefania. Ci przywiezieni z Kartuz rozbiegli się. A miejscowi wołali, że ten kościół jest poświęcony i nie wolno go ruszyć. Ściągnięto więcej ludzi z Kartuz, przyjechał też pierwszy sekretarz partii, ale miejscowi nie pozwolili tknąć kościoła.

Po kilku dniach zaczęli się zjeżdżać do proboszcza Nowickiego dziennikarze aż z Warszawy i sekretarze z województwa, mówi pani Stefania.

A ksiądz Olęcki ją uprzedzał, żeby się miała na bacności i lepiej na noc szła spać do stodoły. Nie posłuchała go, ale zniszczyła wszelkie pamiątki wojenne – adresy, listy, legitymacje.



Pani Stefania jest nadal bardzo aktywna. Jej siedmioro dorosłych dzieci mieszka w pobliżu, a ona po latach zatroskania o ich wychowanie ma więcej czasu dla siebie. Między innymi chętnie odpowiada na zaproszenia organizatorów różnych targów turystycznych i wtedy oglądamy w telewizji, jak częstuje dostojników państwowych swoim przepysznym swojskim chlebem z jeszcze lepszym smalcem – tak przenosi przywiązanie do tradycji na współczesność.

Spółecznik ze Starej Huty

Rozmowę przeprowadzono w styczniu 1998 roku

Franciszek Syldek

Ludzie związani z sierakowickim samorządem – każdy radny, każdy sołtys, każdy urzędnik i wszyscy, którzy choć sporadycznie bywają na sesjach Rady – znają pana Franciszka. Nie dałoby się zliczyć, ile razy zabierał głos na różnych zebraniach, ale chyba nikt nie słyszał go mówiącego publicznie w swojej prywatnej sprawie. Wszystkie dobrodziejstwa cywilizacyjne, które przez ostatnie czterdzieści lat zyskała mała wioseczka, oddalona od Gowidlina jakieś pięć kilometrów na zachód Stara Huta, pojawiły się przy dużym zaangażowaniu tego zacnego człowieka. Przez ostatnie lata zabiegał o przychylność, o pieniądze dla każdego kilometra asfaltu na trasie Gowidlino – Stara Huta, a poza tym od czasu do czasu zgłasza drobniejsze publiczne kłopoty, którymi chce zainteresować radnych i które chce rozwiązać. Nie jest radnym, nie jest sołtysem, a jednak, gdy prosi o głos – wszyscy słuchają go z dużym szacunkiem.



Urodził się 26 lutego 1927 roku w Lemanach, w typowo *gburskiej* rodzinie. Był najstarszym synem Jana i Heleny z domu Gruchała i pewnie dlatego dzieciństwo musiał dzielić między szkołę i pomoc w gospodarstwie. Jego dorastanie wyznaczały coraz ważniejsze obowiązki – najpierw pasał gęsi, potem owce, aż dorósł na tyle, że mógł paść krowy. A do szkoły gowidlińskiej, do której był przypisany jako uczeń, nie chodził zbyt regularnie. Pokazuje świadectwa z lat 1938 i 1939, ale nie na oceny zwraca moją uwagę, tylko na wpisaną u dołu liczbę dni, które opuścił – w czwartej klasie 59, a w piątej 96 dni! Mówi, że ojciec jakoś zawsze pogadał z nauczycielem, żeby wytłumaczyć konieczność zatrzymania syna w domu, a ja wyczuwam w jego głosie echo poczucia niesprawiedliwości, że krowy były ważniejsze niż szkoła. Jednak oceny za tak skąpe chodzenie do szkoły są przeważnie dobre i bardzo dobre. Pan Franciszek tłumaczy, że pasąc krowy też można się uczyć i dlatego przyzwyczaił się wychodzić w pole z podręcznikiem. A bardzo dobre oceny to miał między innymi z prac ręcznych dzięki temu, że przy ojcu

poduczył się stolarki, a jeszcze bardziej dlatego, że na tym przedmiocie uczniowie niekiedy wyrrywali sołtysowi osty w dwudziestomorgowym polu owsa. Pan Franciszek był w tym najlepszy, bo miał tak twarde dłonie, że zupełnie nie czuł ich klucia. Dobry był również w bieganiu. Raz do roku szkoła organizowała zawody w biegach wokół wsi – Franciszek miał w nich jedno z pierwszych miejsc.

Do wojny kierownikiem szkoły powszechnej w Gowidlinie był Przytuła, a ostatnim wychowawcą pana Franciszka – Niezgódka z Torunia, który wziął za żonę Kaszubkę Dąbrowską z Borku. Gdy wybuchła wojna, pozostały mu do ukończenia dwie klasy, bo Gowidlino miało wówczas szkołę siedmioklasową, a Sierakowice tylko sześcioklasową. Franciszek próbował chodzić do szkoły prowadzonej przez niemieckich nauczycieli, ale pamięta z niej tylko początkową naukę języka niemieckiego.

Życie uczyło dalej. Dopiero pod koniec wojny, w 1944 roku, dotknęło rodzinę Franciszka większe nieszczęście – ojca wywieziono do Stutthofu za przynależność do Gryfa Pomorskiego. Bezpośrednią przyczyną było pewnie to, że do domu Syldeków schodzili się mężczyźni i słuchali radia. Radio mieli z Borku od „twardego” Polaka, jak mówi pan Franciszek. Pamięta, jak wyrwano ich w nocy ze snu, jak związano ojca, który musiał potem biec za faszystami jadącymi na rowerach. Rano Franciszek szukał na drodze śladów ojcowych butów, a ludzie powiadali, że miał szyję okręconą sznurem, przez plecy łączył się on z rękami, które z tyłu też były skrepowane.

Gdy więźniów Stutthofu zaczęto przemieszczać z powodu zbliżającego się frontu wschodniego, Jan Syldek zgłosił się do pierwszej ewakuacji. Doszli do obozu w Gęsi koło Krępy Kaszubskiej i tam byli przetrzymywani przez sześć tygodni. Potem wycofywano ich w kierunku Wejherowa, w okolicach Godętowa zostali oswobodzeni przez Rosjan. Jan w grupie ośmiu mężczyzn z naszych stron dotarł przed nocą do Lęborka, nie więcej jak kilka godzin po opuszczeniu miasta przez Niemców. Patrol rosyjski, wystawiony na rogatkach, nakazał im przenocowanie w mieście. Opuszczonych mieszkań było wiele. Jednak noc ta okazała się bardzo niespokojna dla powracających do domu sierakowiczów. Obudziły ich krzyki, że się pali. Rzeczywiście, zobaczyli łuny pożarów w wielu punktach miasta, zwłaszcza w okolicy rynku. Gdy przyszedli do Lęborka, w mieście nie było żadnych śladów walki, a tym bardziej ognia. Tak więc byli naoczni świadkami długo fałszowanej prawdy o tym, kto zniszczył Lębork.

A w Lemanach siedemnastoletni Franciszek z matką i czworgiem rodzeństwa też doświadczał zmian spowodowanych nadejściem wyzwolicieli ze Wschodu, którzy rozkwaterowali się w ich całym obejściu.



Franciszek Syldek

Wracającego ojca najpierw dowódca wziął na spytki, a potem zawołał matkę i kazał zgadywać, z czyjego przyjścia będzie się cieszyć. Kiedy Rosjanie wreszcie pomaszerowali dalej, okazało się, że gospodarstwo Syldeków zostało doszczętnie ograbione – zabrali konie, wozy, pasze, zapasy żywności i... zegarki też.

Po wojnie Franciszek bardzo chciał skończyć szkołę. Najpierw próbował w Borku szkołę wieczorową. W 1946 roku pojawiła się lepsza możliwość – szkoła przysposobienia rolniczego w Gowidlinku, a Franciszek chciał zostać rolnikiem. Nauka trwała trzy lata. Powiązana była z praktyką rolniczą: każdy słuchacz miał swoje poletko i w pierwszym roku uprawiał ogródek warzywny, w drugim uczył się hodowli trzody lub bydła, a w trzecim uprawiał jakieś zboże. Możliwości do takiej nauki były na tzw. resztówce, czyli pozostałości po majątku poznaniaka Kisielewskiego, która ostała się po reformie rolnej. Było tam dosyć ziemi i niezłe zabudowania, żeby zorganizować szkołę rolniczą. Nauczyciele przyjeżdżali z Kartuz i z Gdańska, ale najważniejszy był jej kierownik Bronisław Zielonka, pochodzący z Czarlina. Jego, a jeszcze bardziej jego żonę, Janinę, uważa pan Franciszek za najważniejszych nauczycieli swojego życia. Oprócz zajęć związanych z rolnictwem kwitło w szkole życie kulturalne – organizowano wycieczki, zabawy, przygotowywano przedstawienia. Franciszek był do tych wszystkich prac włączany, bo – jak dzisiaj ocenia – państwo Zielonkowie traktowali go jak własnego syna. Dodaje: – Wtenczas właśnie zrodziło się we mnie społeczne zaangażowanie. Tam ono zostało mi zaszczipione.

Franciszek długo myślał, że zostanie na gospodarstwie. Czuł przywiązanie do ziemi. Do dzisiaj nie może spokojnie słuchać, jak ci z Zachodu mówią, że czasami ziemię lepiej ugorować. Uważa, że każdy jej kawałek powinien rodzić. Jednak życie potoczyło się inaczej. W latach pięćdziesiątych ojca zaczęto szykanować jako kułaka. Był gnębiony podatkami i obowiązkowymi dostawami. Te uciążliwości w połączeniu ze spustoszeniem, którego dokonali Sowieci, spowodowały, że rodzina nie mogła wygrzebać się z biedy. Dlatego Franciszek musiał rozglądać się za robotą poza domem. Pierwszy raz poszedł do pracy w 1949 roku. Zatrudnił się do grupy budowlano-remontowej przy Zespole PGR na tzw. ziemiach odzyskanych w Kozach. Pracował w charakterze malarza pokojowego. Potem przeszedł do innego PGR, w Motarzynie koło Czarnej Dąbrówki. Nauczył się zawodu malarza. Pegeery często się reorganizowały i z tego powodu na jakiś czas stracił pracę. Był rok 1956 i po pięciu latach *wrejowania* z Gertrudą Lis ze Starej Huty myślał akurat o ożenku.

Gertrudę poznał w bardzo nabożnych okolicznościach – oboje przez lata należeli do grupy, która nosiła w procesjach obrazy, chorągwie



Na ślubnym kobiercu z żoną Gertrudą

i proporce przy parafii w Gowidlinie. Gertruda chodziła do proporca, on do obrazu. Poznawali się więc przy okazji kościelnych świąt. A że w owym czasie był w Gowidlinie bardzo prężny chór kościelny, który organizował kilka razy w roku zabawy dla służby liturgicznej, na nich poznali się dokładnie.

Szukający pracy malarza Franciszek otrzymał propozycję, ale wiązała się ona z wyjazdem na dwa lata aż za Radom. Pojechał więc pełen wątpliwości do swej narzeczonej. Ona na te wiadomości nic nie odpowiedziała, tylko opuściła głowę. – Ale moja teściowa – mówi pan Franciszek – była *białka* otwarta i zapytała, czy bym nie znalazł roboty gdzieś bliżej. To wystarczyło, żeby szukać dalej. I znalazł. Bardzo dobrą pracę, też w ekipie pegeerowskiej, w Pluszewie koło Pucka. Tam byli bardzo solidni pracownicy, pilnowali gospodarstwa jak swego – mówi pan Franciszek. Robota była dobrze płatna, a oprócz tego kierownik pilnował, by co dwa lata malować od sufitu po podłogi mieszkanie każdego pracownika, niezależnie od tego, czy malowania wymagało, czy też nie. Przy tej pracy pojawiło się dodatkowe źródło dochodu. Moda ówczesna nakazywała, żeby na gładko pomalowanych ścianach, za co

płaciła firma, znajdowały się rzucane luźno bukiety kwiatów i różne szlaczki. Każda kobieta chciała mieć takie właśnie ściany, więc malarze po godzinach ozdabiali je i dodatkowo zarabiali. Mieli niezliczone ilości szablonów do kwiatów, bo każda gospodyni chciała mieć inne. Nano-szono te kwiaty techniką dmuchania ze specjalną pompką. Najlepszy w dmuchaniu, jak wspomina mój rozmówca, był Bernard Kotłowski. A pan Franciszek częściej robił paskowanie narożników.

Po kilku miesiącach pracy Franciszek mógł się już ożenić. Mówi, że tym wszystkim Pan Bóg kierował. Wesele wyprawili, a teść zapisał młodym osiem hektarów ziemi w Starej Hucie. Urodził się pierwszy syn, zaś po niecałych czterech latach mieli swój dom. Dzieci przybywało, a pan Franciszek pracował dalej jako malarz w pegeerach. Chciał jednak być bliżej domu, bo gospodarki trzeba było doglądać. Dlatego przeniósł się najpierw w pobliże Lęborka, a potem do PBR-olu w samym Lęborku. Tam przepracował 18 lat. Ma czterech synów i córkę. W roku 1977 postanowił przerwać pracę w Lęborku, żeby bardziej zająć się gospodarką – synowie wybywali z domu do wojska i do szkół. Wziął urlop, ale do pracy w firmie już nie wrócił, bo w latach osiemdziesiątych wszystko zaczęło się rozpadać. Długie lata żyli i kształcili dzieci z małego gospodarstwa, a potem z niskiej emerytury rolniczej. Dopiero dwa lata temu doliczono panu Franciszkowi do emerytury lata pracy państwowej.

Wydaje się, że pan Franciszek ukochał wioseczkę, która stała się jego miejscem na ziemi, Starą Hutę. Mówi, że kiedyś z tutejszymi ludźmi można było konie kraść. Potrafi też wiele powiedzieć o jej historii. W 1920 roku Stara Huta należała do powiatu bytowskiego i byłaby wcielona do Niemiec, gdyby nie wyniki plebiscytu. Wszyscy mieszkańcy wsi jednogłośnie opowiedzieli się za przynależnością do Polski. Pan Franciszek przechowuje starą mapę, na której figurują pasy poletek torfowych dla mieszkańców Starej Huty i podkreśla, że są tam same polskie nazwiska, na przykład Bednarek, Stencel, Wenta, Żakowski.

Wioseczkę włączono do powiatu kartuskiego, w którym od tamtej pory były dwie miejscowości o nazwie Stara Huta; ta druga koło Staniszewa, co komplikowało pracę listonoszy. Od miejsca, gdzie dzisiaj stoi dom państwa Syldatak, zaledwie o kilkadziesiąt metrów przebiegała granica z Niemcami. To powodowało, że gospodarze ze Starej Huty chętnie i stosunkowo łatwo przyjmowali nowości techniczne od zachodnich sąsiadów. Po 1945 roku również elektryczność prowadzono od zachodu i mieli ją wcześniej niż Gowidlino. Jednak potem długo, długo nic w Starej Hucie nie unowocześniano. Nie było tam ani wodociągów, ani telefonów i ludzie jakby coraz bardziej odstawali od świata. Wreszcie, nie czekając, aż ktoś z daleka umieści ich w planach, sami wzięli się do dzieła.

Najbardziej potrzebowali wody. Przywozili ją z jeziora, a do celów spożywczych służyła woda ze studni za wsią, która często wysychała. Pani Gertruda wspomina, jak bywała zmęczona dźwiganiem tej wody, gdy – mając małe dzieci i męża poza domem – musiała z latarką zawieszoną na szyi, po ciemku taszczyć ciężkie wiadra. Dużą rolę w staraniach o wodę odegrał nie żyjący już Antoni Drywa. Miał on powiązania z władzami i potrafił zadbać o poparcie z zewnątrz. Zaczęło się od tego, że przyjechała do Drywy komisja, oglądać nowe zabudowania gospodarskie, zgłoszone na konkurs Złota Wiecha. Wśród oficjeli z powiatu była pani Szydłowska i w trakcie oglądania gospodarstwa zapytała, jak z wodą, gdzie są krany. Pan Franciszek mówi, że kobiety mają lepsze serca, bo pani Szydłowska, wzruszona ich trudną sytuacją, obiecała pomóc. I dotrzymała słowa. Odwiercono studnię głębinową i uproszono, żeby przy niej był przynajmniej jeden punkt czerpalny. Tylko gospodarz Pranczk był upoważniony do wydawania wody dwa razy dziennie przez dwie godziny. Wszyscy się cieszyli, bo można było nabierać wody bez ograniczeń.

Teraz myślano o budowie wodociągu. Powiat przyrzekł, że znajdą projektantów, a ludzie zebrali pieniądze na dokumentację. Każdy dawał, ile mógł. U Syldeków często odbywały się zebrania. Jeszcze trzeba było wybudować hydrofornię oraz strefę ochronną i to też zrobiono społecznie. Na sam wodociąg już pieniędzy nie mieli. Postanowili solidarnie wszyscy gospodarze, a było ich tylko piętnastu, że wezmą – każdy na siebie – po dziesięć tysięcy złotych kredytu z banku. Był to początek lat siedemdziesiątych. Pozostałe pieniądze starali się pozyskać z innych instytucji. Bardzo im pomógł w tych staraniach i w formułowaniu pism pan Kuszowski, który w powiecie odpowiadał za inwestycje wodociągowe. Gdy mieli dosyć pieniędzy, zaprosili do Starej Huty kolejną komisję. Przyjechali, rozłożyli swoje papiery i okazało się, że w ich planach nie ma Starej Huty, a jest Borowy Las. Pan Franciszek nie tłumaczy, jak przekonali komisję do zmiany planów. Faktem jest, że Stara Huta wodociąg miała ponad piętnaście lat wcześniej niż Borowy Las. Samej budowy bał się pan Franciszek bardzo, bo czytał w gazetach, że takie inwestycje ciągną się czasem latami. Dlatego wszystko skrupulatnie przygotowali. Koparki białorus pojechał pan Franciszek szukać na zachód, bo w naszych stronach nikt takiej nie miał. Wszystko było tak zorganizowane, że na drugi dzień po zrobieniu odcinka wykopu montowano w nim rury, hydranty itp. Cała robota zaczęła się po żniwach i trwała zaledwie kilka dni.

Po wodzie najważniejszy był telefon. W razie pożaru czy nagłej choroby nie było jak wzywać pomocy. Starania o telefon trwały długo. Pan Franciszek do dzisiaj przechowuje pękata teczke pism w tej sprawie.



O budowie drogi niejedną rozmowę odbył Franciszek z ówczesnym przewodniczącym Rady Gminy Tadeuszem Bigusem

Gdy już otrzymali zgodę, to znowu solidarnie zwozili słupy i wkopywali je w ziemię. Pan Franciszek mówi, że nie było łatwo. Po tych wielkich staraniach i pracach pozwolono założyć tylko jeden telefon. Był on w domu państwa Syldatków. Przez wiele lat służył całej wsi.

Myślę, że budowa drogi Gowidlino–Stara Huta to chyba najważniejszy rezultat działań społecznych pana Franciszka. Obserwowałam osobiście tę pracę, która często była walką. Wielokrotnie pisałam o kolejnych jej etapach w „Wiadomościach Sierakowickich” i najbardziej utkwiła mi w pamięci argumentacja, którą pan Franciszek głosił. Nie mówił, że chcą mieć lepszą drogę, bo mają coraz więcej samochodów i trudno nimi jechać po wybojach, tylko mówił: – Chcemy, żeby nasze dzieci tu zostały, żeby nie opuściły Starej Huty! Musimy być bliżej świata!

Starania rozpoczęto na początku lat osiemdziesiątych. W 1982 roku mieli gotową dokumentację. Wprawieni byli wcześniej i w rozmowach z projektantami, i w zdobywaniu pieniędzy. Załatwili trzy i pół miliona, z czego półtora poszło na zapłacenie dokumentacji, a pozostałe „przezucono” na drogę do Długiego Krza, bo tam zabrakło. Pan Franciszek

mówi: – Zgodziłem się być radnym przez dwie kadencje, żeby te pieniądze odzyskać, żeby rozpocząć budowę drogi. Przemawiał, zgłaszał interpelacje, pokazywał grube teczki dokumentów – wszystko bezskutecznie. Co nowy budżet się pojawiał, okazywało się, że inna wieś ważniejsza i schodzili na dalszy plan.

Budowę zaczęto w 1991 roku, gdy nastały samorządy. Na trasie budowanej drogi jest sześć krzyży i one z grubsza wyznaczały długość kolejnych etapów. Pierwszy w Gowidlinie, drugi koło Cymana, potem koło Klejnow, następny niedaleko Sychty, dalej przed Starą Hutą, a ostatni za wsią – wylicza pan Franciszek. Robili społecznie wszystko, co należało zrobić, żeby można zalewać asfaltowy dywanik. A nie była to tylko stabilizacja gruntu, projekt nakazywał zmianę trasy starej drogi. Ciężko było przebijać się przez las lub tysiące kubików ziemi nawozić w miejsca, które wymagały wyrównania poziomu. Ludzie wykazali wiele ofiarności i samozaparcia. Ustalano, ilu mężczyzn i w jakim miejscu danego dnia ma pracować. Wychodziły na drogę całe rodziny. Angażowano wszystkie ciągniki, jakie mieli gospodarze. Nie tylko w gminnych gazetach, ale w wojewódzkich i w telewizji też chwalono ludzi z tej maleńkiej wioski, że potrafią w zgodzie tak wiele lat zmierzać do celu.

Dopiero, gdy doszli do wsi, na ostatnim etapie budowy zaczęło dziać się źle. Nie wszyscy zgodzili się na zmianę trasy drogi, gdy to naruszało granice ich posesji. Nie pomogły bardzo daleko idące mediacje. Już dwa lata jest we wsi dwustumetrowy odcinek bez asfaltu¹. Zniknął gdzieś promienny uśmiech i młodzięcza werwa pana Franciszka. Mówi dzisiaj: – Ta droga miała nas połączyć, a ona nas podzieliła.

¹ Budowę drogi zakończono ostatecznie jesienią 2008 roku.

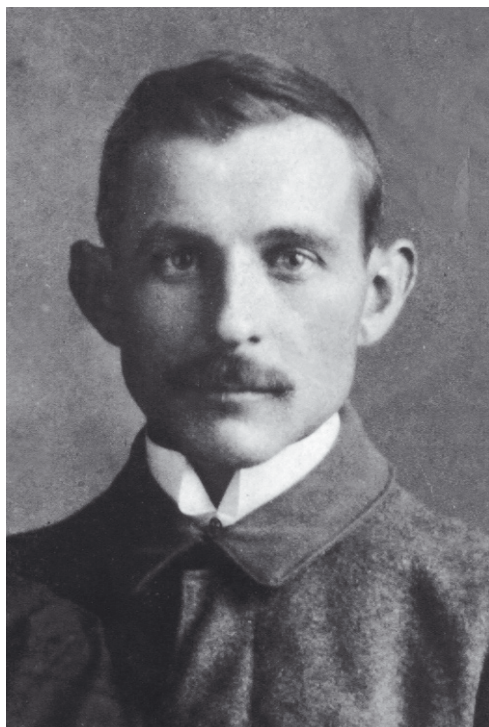
Córka kowala, żona krawca

Rozmowę przeprowadzono w lipcu 2005 roku

Helena Czaja

Pierwsze lata życia pani Heleny Czaja związane są z dworem w Tuchlinie. Tam urodziła się jako trzecie dziecko Antoniego Myszka w roku 1928. Ojciec już przed pierwszą wojną pracował jako kowal w tuchlińskim majątku. Po powrocie z wojaczki na francuskiej ziemi, postanowił osiedlić się nieco dalej na zachód, w majątku pod Słupskiem. Jednak gdy okazało się, że granica polsko-niemiecka oddzieliła go od ojczyzny, a najstarsza córka miała rozpocząć naukę szkolną, powiedział: – Nie będę dziecku kręcił języka! – i wrócili w rodzinne strony. Pan Stencel, właściciel majątku w Tuchlinie, aż klasnął w ręce na ich widok.

Tuchliński dwór to było duże gospodarstwo z młynem, rządził tam Kazimierz Stencel, a jego brat Leon był jakiś czas wójtem. Przy dworze znajdowała się też kuźnia, przy niej mieszkanie i tam urodziła się moja rozmówczyni. W rodzinie długo krążyły opowieści o tym, jak się żyło przy dworze, o tym że do właściciela trzeba było mówić *pun*, on zaś do kowala mówił *kłewyl*, a do jego żony *kłewylka*. Upewniam się, czy rzeczywiście rozmawiali po kaszubsku i pani Helena potwierdza, że tak właśnie było. Oboje – kowal i jego pan – mieli porywczе usposobienia. Kiedyś doszło między nimi do ostrej wymiany zdań, która skończyła się tym, że kowal pociągnął swego pracodawcę za wydłużoną ogoniasto połę fraka i zerwawszy ją, wrzucił do kałuży. Tu trzeba dodać, że pan Stencel miał zwyczaj chodzić po obejściu w znoszonym już fraku. Ten nietypowy ubiór był najprawdopodobniej czymś charakterystycznym dla tuchlińskiego pana, ponieważ pani Helena ze śmiechem wspomina, iż mówiono o tym we wsi z niemiecka *szwalbenrok*. Ale sprzeczka z kowalem miała swój ciąg dalszy; za tak zuchwałe zachowanie kowal otrzymał natychmiastowe wypowiedzenie pracy i mieszkania. Krewki kowal nie zamierzał przeproszać, wsiadł na rower i pojechał szukać nowej posady. Po trzech dniach wrócił, a pan Stencel ochłonawszy z gniewu mówi doń, że może zostać. Jednak dopiero w rozmowie Stencła z *kłewylką* udało się cały spór zażegnać.



Rodzice Heleny: Anna i Antoni Myszkowie

Pani Helena podkreśla, że rodzina Stencłów to byli dobrzy ludzie. Krowa kowala Myszka była wypasana przez pastucha razem z dworskim bydłem, a gdy państwo napotkali idącą pieszo do kościoła żonę kowala, to zawsze zatrzymywali brykę i ją zabierali. Kowal miał pozwolenie, że może pracować w dworskiej kuźni na swoje konto, kiedy wykona wszystkie zlecenia dworu. Gdy pani Helena miała cztery lata, jej ojciec mógł się już usamodzielnąć. A pan Stencel był dumny, że kowal u niego się dorobił i poszedł na swoje.

Nie odeszli daleko, bo do Puzdrowa i tam pani Helena spędziła całą młodość, lata wojny, aż do roku 1950, kiedy wyszła za mąż. Rodzice kupili cztery hektary ziemi, mały domek i tam zbudowali kuźnię. Było skromne, ale swoje.

Początek wojny dla mojej rozmówczynie nierozzerwalnie związał się z przyjęciem Pierwszej Komunii. Ksiądz Smoliński, który przygotowywał dzieci, w czwartek, czyli w przeddzień wybuchu wojny, zachęcał, żeby kto może przystąpił już tego dnia do spowiedzi a w piątek może przyjąć Komunię, która wcześniej była zaplanowana na niedzielę. Rodzice Helenki usłuchali rady księdza. W ów czwartek kościół był wypełniony



Rodzina Heleny i Józefa Czajów z dziećmi: (od lewej) Elżbieta, Roman i Maria

mężczyznami, którzy zostali zmobilizowani, oni też przystępowali do spowiedzi i komunii. Pierwszego września, czyli w piątek, była bardzo ulewna burza i Helena pojechała z matką do sierakowickiego kościoła autobusem, który już w tym czasie regularnie, dwa razy w tygodniu, kursował między Gowidlinem a Gdańskiem; jeździli nim przeważnie drobni handlarze. Zanim wróciły z kościoła do domu, mama z córką poszły na zakupy, bo doświadczenia z poprzedniej wojny nakazywały zrobić zapasy; moja rozmówczyni pamięta, że matka kupowała nici, świece, zapalki itp. A w niedzielę z rana po raz kolejny szykowano Helenkę do kościoła, bo nikt jeszcze Niemców nie widział, chociaż poruszenie było ogromne; Polacy z nadgranicznego Skrzyszewa przemieszczali się wozami w głąb kraju, a inni im tłumaczyli, że to nie ma sensu. Jednak tego dnia, czyli trzeciego września, ani Helenka, ani rodzina już się do kościoła nie wybrali, bo przed samym wyjściem dotarła do nich wiadomość, że Niemcy są w Kaulach przed Gowidlinem.

Około dwunastej godziny niemieckie wojsko było już w Puzdrowie. Nakazywali wszystkim wychodzić z domów, krzyczeli: *raus!* Ustalali przede wszystkim, czy są mężczyźni i w jakim wieku. W domu Myszków

młodszy syn miał 16 lat, a starszy był poza domem, służył w szwoleżach w Stargardzie, więc zostawiono ich w spokoju. Jednak, zaczęły się bardzo niespokojne czasy – mówi pani Helena – co chwilę zabierano kogoś siłą do wojska lub na roboty. Łapani urządzano nawet w kościołach. Pamięta, że nie raz do jej matki przybiegała jakaś sąsiadka z prośbą o bochenek chleba, bo jej syna czy męża już prowadzą.

Gdy pytam o inne wspomnienia z czasów okupacji, pani Helena mówi, że tych niemieckich policjantów można było łatwo nabrać. Otóż Myszkowie mieli krewnych w Westfalii, mieszkali w mieście i dokuczał im brak żywności. Między Puzdrowem a miastem Bochum zaczęły krążyć paczki; od nas masło, słonina a nawet jajka dobrze umoszczone w sieczce, a stamtąd przeważnie odzież, ale zdarzyło się, że i rower pocztą otrzymali. Według okupacyjnych przepisów przesyłki z Polski było nielegalne, jednak istniał niezawodny sposób na ich obejście: Helenka niosła na pocztę paczkę zaadresowaną na pocztę polową do kuzyna jej matki, który był w wojsku niemieckim, w dodatku z dopiskiem, że ma być pośpieszna. Miało to znaczenie, gdyby jakiś policjant w drodze ją sprawdzał. Dopiero na poczcie, gdzie mama nakazywała zawsze najpierw się upewnić, czy nikogo nie ma, Helena wyjmowała kartkę z właściwym adresem i prosiła urzędnika pocztowego, żeby ją nakleił, bo w domu nie ma kleju. Paczki wielokrotnie i bardzo szybko docierały do krewnych w Westfalii.

Szkołę kończyła Helenka już niemiecką, okupacyjną. Mówi, że to była byle jaka szkoła, bo nauczyciel dojeżdżał, często zaś nie dojechał, natomiast biada, gdyby uczeń nie stawiał się do szkoły. Dostała świadectwo ukończenia szkoły podstawowej, ale nie wymieniono tam nawet przedmiotów. Ważne było, żeby uczeń potrafił mówić po niemiecku. A w Puzdrowie mieszkało wtedy wielu Niemców, którzy przychodzili do kowala z różnymi robotami. Z tego powodu, a nie z nauk szkolnych, język niemiecki córka kowala znała dobrze. Czternastoletnia dziewczyna, zaraz po ukończeniu szkoły, otrzymała nakaz pracy do gospodarstwa w okolicach Pucka. Dla rodziny i dla niej był to cios nie do przyjęcia. Tak daleko od domu, młoda dziewczyna! Udało się przekonać mieszkających w Puzdrowie osiedlonych Niemców, że przyda się im pomoc Heleny przy chorej gospodyni. To uratowało ją od opuszczenia domu. Jednak pół roku później, gdy ukończyła piętnaście lat, zmarła jej matka; wtedy jako jedyna kobieta, bo miała tylko dwóch braci, mogła już zostać w domu. Dla młodej, osieroconej panienki, był to trudny czas, nie tylko z powodu wojennych zawirowań, ale również dlatego, że zwały się na nią wszystkie kobiece obowiązki, a nie raz musiała jeszcze pomagać ojcu w kuźni.

Końcowy okres wojny wiąże się dla pani Heleny z dość urozmaiconymi wspomnieniami. W ich domu i dlatego, że był ulokowany

na skraju szosy, i dlatego, że do kowala mieli sprawę różni wojenni ludzie – zawsze był ruch. Najsmutniejszy był widok gnanych jeńców; pani Helena do dziś się zastanawia, czy dobrze robiła podając im pokrojony chleb w dużej misie, bo oni rzucali się na to bez ładu, a ci najsłabsi nie mieli szans się dopchać. Jej brat idąc do stodoły przed wieczornym obrządkiem co rusz napotykał ukrywających się w sianie. Z uciekającymi z Prus Wschodnich Niemcami powracali ludzie skierowani tam na roboty; gdy dowiedzieli się, że niedaleko jest już granica niemiecka, odłączali od swoich panów i prosili miejscowych o dach nad głową. W domu kowala ukrywali się różni ludzie, też obcokrajowcy: Belg chorujący przez trzy tygodnie, Białorusin, Łotysz i wielu innych. Była wśród uciekinierów dziewczyna niewiele starsza od Heleny – Wanda z okolic Suwałk. Pierwszego dnia, gdy nadszedł wieczór, Wanda widząc, że dom jest przeludniony, zapytała, gdzie będzie spała. Helena niewiele myśląc, odrzekła, że mogą spać razem. Potem okazało się, że obie mają problem z wszami, ale przy pomocy nafty udało się je zwalczyć. – Ona mi bardzo pomogła, gdy przyszli Ruscy – mówi pani Helena o Wandzie – bo ona mogła mówić po rusku. Dziewczyna przebywała u Myszków przez pięć miesięcy, gdyż Helenie zależało na towarzysze; nie miała przecież ani matki, ani siostry.

Wszyscy bracia kowala Myszka byli rzemieślnikami, jeden ślusarzem, dwoje krawcami. Już po wojnie, w 1950 roku, pani Helena wyszła za mąż za Józefa Czaję, który też był krawcem, a rzemiosła uczył się u wujka mojej rozmówczynie w Sierakowicach. Gdy pytam, gdzie się poznali, odpowiada, że na cmentarzu, co nie jest takie nieprawdopodobne, ponieważ pan Józef mieszkał nieopodal w tak zwanej wikaryjce. Rodzina Czajów była bardzo blisko związana ze wszystkim, co się działo na plebanii i stąd najprawdopodobniej wyniósł pan Józef zamiłowanie do ogrodnictwa, potrafił między innymi szczepić drzewka, krzewy. Jeszcze w okresie międzywojennym przyszły mąż pani Heleny dojeżdżał na rowerze do Kartuz, uczył się w szkole zawodowej, gdzie zdawał egzamin czeladnikowski, a w Gdyni mistrzowski. W ostatniej zimie przed drugą wojną został wybrany do szkoleń z zakresu samoobrony, w związku z tym wyjechał nawet na obóz narciarski w okolicy Lwowa, bo był bardzo sprawny fizycznie.

Helena i Józef zamieszkali w zbudowanym przez siebie domu przy obecnej ulicy Mirachowskiej. Tutaj urodziły się i wychowały ich dzieci: Maria, Roman i Elżbieta. Dzisiaj na stałe mieszka tam owdowiała pani Helena z rodziną najmłodszej córki, starsze dzieci często ją odwiedzają, a córka Maria podkreśla, że te bukszpany w ich ogrodzie wyhodował ojciec ponad pięćdziesiąt lat temu.

Uśmiech pani Stasi

Rozmowę przeprowadzono w maju 2003 roku

Anastazja Błaszowska

Wychowywała i nauczała dwadzieścia pięć roczników dzisiejszych dorosłych sierakowiczów, więc któż nie zna przemiłej, starszej pani Stasi Błaszkiowskiej. Spotykamy ją na ulicy, w kościele, w sklepie i ciepłej robi się na sercu, gdy obdarzy nas swoim dobrym uśmiechem. Znający panią Stasię bliżej wiedzą, że jest nie tylko pogodna, ale także zawsze chętna do pomocy i bardzo gościnna. Chyba każdy, kto przekroczy próg jej przytulnego mieszkania na Lęborskiej, jest poczęstowany czymś wybornym, a pani Stasia tłumaczy, że to nic, że to jakieś resztki. Wyczarowuje przepyszne smakowitości z niczego, a w karnawale wszyscy znajomi i sąsiedzi przypominają sobie, że jej specjałem są pączki.

Urodziła się 8 listopada 1932 roku jako Anastazja Sylka na terenie dzisiejszej gminy Stężyca. Była jedenastym dzieckiem Anastazji i Franciszka Sylków. Matka zmarła przy porodzie i na jej pamiątkę nowonarodzonej dziewczynce nadano to samo imię. Jednak w praktyce od początku była Staśką, Stasią a czasami Anią. W dniu chrztu osierocone niemowlę z kościoła w Mściszewicach wzięli do siebie siostra i szwagier ojca – Agata i Leon Wicowie. Mała Staśka chowała się więc w oddalonym o trzy kilometry, dobrze prosperującym gospodarstwie swoich krewnych we wsi Dąbrowa, blisko Klukowej Huty. Dom Wiców stał się jej domem rodzinnym. Ciocia i wujek mieli już dziesięcioro swoich dzieci, ale były nieco starsze i maleńka Staśka stała się dla wszystkich oczkiem w głowie. Pytam moją rozmówczynię, czy było jej dobrze w tej, jakbyśmy dzisiaj powiedzieli, rodzinie zastępczej. Pani Stasia z dużym naciskiem potwierdza, że to byli „nadzwyczaj” dobrzy ludzie, którzy dali jej bardzo szczęśliwe dzieciństwo i dopiero z wiekiem zaczynała się orientować, że jej prawdziwa rodzina to Sylkowie. Najbardziej podkreślenia godne jest według pani Stasi to, że Wicowie byli bardzo „zgodliwi”; długo nie wiedziała co to znaczy się kłócić.

Ojciec Staśki planował, że gdy podrośnie, to zabierze ją od krewnych. Jednak stało się inaczej – sam zmarł nagle, niecałe dwa lata po śmierci



Siostra Klaudia i jej podopieczna Stasia

żony. Opiekunem prawnym osieroconych zupełnie dzieci został jeden z zamożniejszych mieszkańców Stężycy – Wilczewski – i jego staraniem wszyscy bracia pani Stasi wyuczyl się jakiś zawodów, a siostry zostały wydane za mąż. Mała Staśka dorosła do pójścia do szkoły akurat, gdy rozpoczęła się druga wojna. Jednak, jak domyśla się dzisiaj, pewnie dzięki pozycji Wilczewskiego przyjęto ją, dziecko polskie, do szkoły niemieckiej. Kończyła najpierw cztery pierwsze klasy w Łosienicach, a dwie kolejne w Mściszewicach.

Jedna z córek państwa Wiców, Aniela, była w tym czasie już od kilku lat siostrą zakonną – elżbietanką o imieniu zakonnym Klaudia. Ona najbardziej przyczyniła się do tego, że edukacja Stasi nie skończyła się na niemieckiej szkole. Tuż po wojnie siostra Klaudia pracowała jako pielęgniarka w szpitalu wojewódzkim w Toruniu. Ustalono, że piętnastoletnia Staśka na zimę może pojechać z siostrą Klaudią do Torunia, żeby trochę rozejrzeć się w świecie, a na wiosnę, gdy nasilą się prace gospodarskie, wróci do Dąbrowy. Jednak Staśka nie chciała wracać, bo zależało jej na dalszej nauce.

Najpierw był jakiś kurs, po którym dostała świadectwo ukończenia szkoły podstawowej. Potem rozpoczęła regularną naukę w początkowo



Pani Stasia z wnukiem Szymonem

prywatnej szkole średniej, która nazywała się Liceum Gospodarczym św. Tereski. Dyrektorką tej szkoły dla dziewcząt była pani doktor Zofia Szczepkowska, z pewnością jedna z osób znaczących w życiu młodej dziewczyny. Klimat szkoły był jeszcze całkiem przedwojenny; dyrektor Szczepkowska dbała o swoje uczennice jak matka, a pani Stasia pokazuje mi na zdjęciu z tamtych czasów, że jest w płaszczyku, który dostała od swojej opiekunki. Pamięta też, że dzień imienin Zofii to było święto całej szkoły. Jednak wraz z umacnianiem się ustroju komunistycznego szkoła zmieniała się również. Gdy ją Stasia kończyła i zdawała maturę, to nazywała się już Technikum Gastronomicznym, a dyrektorem był ktoś inny.

Sześć lat nauki w Toruniu było możliwe tylko dzięki życzliwości sióstr elżbietanek. Przez pierwsze lata Staśka mieszkała przy nich w szpitalu, w dwudziestoosobowej grupie sióstr – pielęgniarek, a gdy to okazało się już niemożliwe, siostra przełożona załatwiła dla niej stancję. Oczywiście, Stasia ze swej strony też starała się być pomocna siostronom, wykonywała prace porządkowe, podawała do stołu i do dzisiaj jest pełna wdzięczności za opiekę, którą ją otaczano. Na wakacje wracała do rodzinnej

Dąbrowy, zajmowała się dziećmi, czasami nawet pasąc z nimi krowy. Mimo że po wojnie była bieda, Wicowie w Dąbrowie nieźle sobie radzili, jako że mieli dobre wzory gospodarowania z czasów przedwojennych, gdy w sąsiedztwie było dużo Niemców, a Polacy żyli z nimi w zgodzie – wspomina pani Stasia.

Po maturze podopieczna elżbietanek musiała opuścić Toruń; otrzymała nakaz pracy do zakładów gastronomicznych w Grudziądzu. Tam przepracowała rok i wróciła w rodzinne strony. Dostała pracę nauczycielki w Łosienicach. Był rok 1953. Na początku praca w szkole sprawiała trudności. Stasia uzupełniała wykształcenie w zakresie pedagogiki i przedmiotów artystycznych. Szkoła w Łosienicach mieściła się w dwóch salach budynku wynajmowanego od gospodarza, miała od 80 do 100 uczniów w siedmiu klasach, a nauczycieli najpierw było troje, a potem czworo. Przed panią Stasią pracowali tam już Anna Roszkowska i Stanisław Błaszkowski, a potem doszedł jeszcze Jan Roszkowski. Dzieci grupowano po dwa roczniki i nauczyciele pracowali w tzw. klasach łączonych. Pomieszczenia skromnie wyposażone, podłogi naoliwione na czarno, bez elektryczności, wychodek na zewnątrz, ale atmosfera była dobra. Ludzie szanowali nauczycieli, dzieci chętnie się uczyły, a młode nauczycielki budziły zainteresowanie kawalerów.

I tak po siedmiu latach pracy w Łosienicach pani Stasia wyszła za mąż za brata swego kolegi z pracy – Jacka Błaszковского. Rodzina Błaszkowskiach wywodzi się z Kawli koło Gowidlina i dlatego już od 1960 roku losy pani Stasi są związane z Sierakowicami, gdzie zaraz po zamążpójściu dostała pracę w nowowypbudowanej, jak na owe czasy nowoczesnej, szkole znajdującej się przy ulicy Dworcowej. Błaszkowscy zamieszkali w budynku po byłej szkole przy ulicy Lęborskiej i w nim mieszka moja rozmówczyni do dzisiaj. Małżeństwo pani Stasi było wyjątkowo krótkie – nie minęły nawet pełne trzy lata, gdy będący agronomem powiatowym Jacek Błaszkowski nagle zmarł. Jednak owdowiała pani Stasia nie została sama – miała dwóch synków.

Kolejny etap w życiu sierakowickiej nauczycielki to łączenie wielu obowiązków: praca w szkole, wychowywanie synów i jeszcze dalsza nauka. Z nauczyciela do wszystkiego z czasem stała się nauczycielem historii, kończąc najpierw studium nauczycielskie, a potem wyższe studia zawodowe. Jednak – wspomina – nadal poza historią przydzielano jej różne przedmioty, bo godzin z historii nie było tak wiele. W sierakowickiej podstawówce były wtedy dwa ciągi klas – a i b. Kierownikiem szkoły gdzieś do połowy lat siedemdziesiątych był przedwojenny nauczyciel Stanisław Moś. Moja rozmówczyni bardzo dobrze go wspomina mówiąc, że jego zachowanie i postawa były prawdziwie „pańskie”. Gdy kiedyś pani Błaszowska, która od lat dostawała wychowawstwo w klasie

b (przeważnie dzieci spoza Sierakowic), poprosiła kierownika Mosia o zmianę tego zwyczaju, on powiedział, że celowo daje jej pod opiekę tych uczniów z dalszych stron, bo ma dla nich macierzyńskie serce.

Życie samotnie wychowującej dwoje dzieci nauczycielki było nadal silnie splecione z jej dobrodziejami z przeszłości. Siostra Klaudia, która z powodu swego oddania dla chorych i biednych stała się dla rodziny pani Stasi wzorem świętości, regularnie przez czterdzieści lat spędzała wszystkie urlopy w Sierakowicach. A pani Błaszowska z dorastającymi synami wyjeżdżała podczas wakacji do swych bliskich w Dąbrowie, żeby pomagać w gospodarstwie. Chłopcy uczyli się tu roboty przy żniwach, przy truskawkach i przy sianokosach. Jak dużą wagę przywiązywała moja rozmówczyni do tego, żeby jej synowie poznali smak ciężkiej pracy widać, gdy dobitnie stwierdza: – Praca fizyczna jest każdemu człowiekowi potrzebna do prawidłowego trybu życia! Kolejne pokolenie gospodarzy w Dąbrowie wspomina, że jak ciocia przyjechała, to się brała za najtrudniejszą pracę.

Dzisiaj pani Stasia nadal ma czas dla swoich licznych krewnych, jest ukochaną i chętnie zapraszaną na wszystkie rodzinne uroczystości ciocią; od kilkunastu lat jest na emeryturze i ma jeszcze więcej czasu dla innych. Jej synowie skończyli studia, założyli rodziny, mieszkają niedaleko i obdarowali matkę trójką wnuków.

Nie było mi wcale łatwo namówić panią Błaszowską na te zwierzenia; wymawiała się, że miała życie nieciekawe i o czym tu pisać. A ja myślę, że było ono i trudne, i piękne. Na zakończenie naszej rozmowy pani Stasia powiedziała: – Przy moich nieszczęściach zawsze się znalazł ktoś, kto mi pomógł. To zdanie tchnie nadzieją, może z takiego przekonania bierze się ten niezwykle uśmiech pani Stasi.

Wybrała Gowidlino i pokochała pszczoły

Rozmowę przeprowadzono w maju 2005 roku

Agata Stenka

Pani Agata Stenka z domu Hirsz urodziła się w 1934 roku w Kłobuczynie koło Stężycy. W latach 1954-1984 była nauczycielką Szkoły Podstawowej w Gowidlinie, przy czym ostatnie dziesięć lat pracowała jako jej dyrektor. Jest matką Eugeniusza i Danuty, sławnej aktorki. Pani Agata jest wyjątkowo rozmowną i ciepłą osobą; prawie cztery godziny spędziłam, słuchając jej wspomnień o tym, jak bardzo pragnęła zostać nauczycielką, jak wrastała w gowidlińską społeczność i o tym, jak teraz ważne są dla niej pszczoły. Poznajmy bliżej to życie, wypełnione pracowitością i miłością do ludzi. Sformułowałam opowieść pani Agaty w pierwszej osobie, ponieważ jej sposób mówienia, utrwalony na taśmie dyktafonu, pozwalał na zachowanie tej formy.



Jeszcze żyli moi dziadkowie, a mieszkali z nami w Kłobuczynie, i ja widząc u nich gazetę rozłożoną na stole przy oknie, gdzie zawsze siedzieli, byłam ciekawa, co w tej gazecie jest. Miałam może cztery latka i przy gazecie, czasem przy kantyczce, nauczyłam się czytać. Byłam drobna, chorowita, ale chyba pojętna. Gdy mnie, takiego małego brzdąca, brali na kolana i pytali, kim ty będziesz, odpowiadałam, że szkólną. Nie wiem, skąd to mi się brało, ale od początku wiedziałam, że chcę być nauczycielką. To mnie nie opuściło nigdy.

Gdy tuż po wojnie zbliżał się dla mnie koniec szkoły podstawowej, mama moja zachorowała na raka, a bardzo chciała, żebym się uczyła dalej. Ja miałam ciągle to samo marzenie; pytam delikatnie tatę, czy mogę na to liczyć, że pozwoli mi jechać na egzaminy w Lęborku do Liceum Pedagogicznego. On kręci głową, że nie. Ja go rozumiałam – w domu było nas dziewięcioro dzieci, w większości młodsze ode mnie, mama w szpitalu, za który trzeba było płacić. Nauczycielka Ulińska zobaczyła w szkole, że jestem smutna; gdy jej się zwierzyłam, poprosiła, żebym przyszła z tatą. Jednak jej namowy też nie pomogły. Mieliśmy dość duże gospodarstwo, takich nazywano kułakami i na stypendium nie można było liczyć.



Pani Agata z uczniami klasy drugiej oraz swoimi dziećmi;
po lewej córka Danusia

Któregoś dnia była ulewna burza, kierownik szkoły z Pomieczyna schronił się u nas i słyszę, że rozmawia z ojcem na mój temat. Przedstawił ojcu sytuację, że stypendium mogę dostać później, jak będę się dobrze uczyła. Ojciec trochę zmiękł. Był światłym człowiekiem, nie był przeciwny, tylko warunki były takie niesprzyjające. A zbliżał się już czas egzaminów. Jeszcze w naszej szkole nie było siódmej klasy, a do szkoły średniej trzeba było mieć świadectwo jej ukończenia. Dla kilku uczniów, którzy chcieli uczyć się dalej, uruchomiono siódmą klasę, chodziłam więc do szkoły dwa razy w ciągu dnia, uczyliśmy się rano i wieczorem, przy naftowej lampie, skuleni przy piecu. W przeddzień egzaminów ojciec powiedział: rób, jak chcesz, ale... Ja to „ale” ciągle słyszałam.

Na egzaminach większość była z miasta, koleżanka i ja byłyśmy takie skromne, ciche, niepewne, czy sobie poradzimy. To były nasze pierwsze kroki w świat. Słyszymy: – Jak te ze wsi zdadzą, to my też. Okazało się inaczej – myśmy zdały, a ci z miasta nie wszyscy. Moje marzenia zaczęły się ziszczać. Miałam bardzo dobrą wychowawczynię, ze Wschodu, przez cały czas tę samą, nazywała się Waleria Fegler. Była moją drugą mamą.



Nauczyciele szkoły podstawowej w Gowidlinie w roku 1964

A moja rodzona mama upadała coraz bardziej na zdrowiu, widziałam, że w domu coraz trudniej, pani Fegler dawała mi wolne na wykopki, potem nadrabiałam zaległości. W szkole były dwie specjalności – na nauczyciela języka rosyjskiego lub wychowania fizycznego; wybrałam to drugie. Jednak w trzeciej klasie zmieniłam kierunek, bo z wychowaniem fizycznym wiązały się wyjazdy na różne obozy podczas ferii, a ja wiedziałam, że jestem potrzebna w domu, tam była praca. W szkole musiałam znowu uzupełniać braki z języka rosyjskiego. Ale udawało mi się kończyć kolejne klasy z dobrymi ocenami, czasami z dyplomem. Mama chorowała, ale ją cieszyła moja nauka, a ojciec też zmieniał zdanie. Sprawy finansowe były trudne; nie zawsze na pierwszy okres dostawałam stypendium, a potem, pewnie też dzięki pomocy pani Fegler, starali mi się to zrekompensować, czasami dostawałam też jakieś buty. Przed maturą, w 1953 roku, zmarła moja mama.

Jakie były początki mojej pracy nauczycielskiej? O tej sprawie rozmawiałam z ojcem, który wtedy stał się dla nas mamą i tatą, z każdą sprawą mogłam do niego się udać. Z wydziału oświaty dostałam kilka miejscowości do wyboru, a mnie w pamięci zostało tylko Gowidlino. Ja



Pani Agata z uczennicami haftującymi obrus wzorem kaszubskim

tej wioski na oczy nie widziałam, pojechałam i tylko sprawdziłam, co tu jest – jest światło, jeden raz na dzień dojeżdża autobus, to było całė dobro. Tak, tu zostanę. I jestem do dziś. Od 1954 roku.

W Gowidlinie poznałam swojego męža, który tu mieszkał z rodzicami. Po ślubie zamieszkaliśmy w górnej szkole, w jednym pokoju z kuchnią. Tam przyszły na świat nasze dzieci, w 1959 syn Eugeniusz, a dwa lata później Danka. W tym czasie Gowidlino przeżyło wielką tragedię – pożar zniszczył wiele zabudowań. Spaliła się wtedy cała jedna część Gowidlina, wiele rodzin było poszkodowanych. Nasze mieszkanie i szkoła też było narażone na spalenie. Ludzie wynosili swój dobytek w stronę ulicy Słupskiej, mnie kazali wziąć syna, który miał dwa i pół roku, i trzymać się z daleka. Po wszystkim mąż do mnie przyszedł i powiedział: szkołę uratowaliśmy. Ludzie nie mogli się pozbierać po tym nieszczęściu. A ja trzy dni po pożarze jechałam rodzić Dankę. Wracam, a cały nasz dobytek był poza domem. Rodzice męža wszystko stracili, nie mogli się pozbierać. Zamieszkali z nami, jeszcze był dziadek męža, i tak w tym niewielkim mieszkanku żyliśmy trzy lata. Zaczęliśmy wspólnie budować dom na ojcowiznie męža. A ja jeszcze podjęłam studia.



Z mężem w pasiece

W szkole kierownikiem był pan Brunon Bigus, przez cały czas do 1970 roku. Potem powstały gromadzkie rady narodowe i on został przewodniczącym a mnie prosił, żebym przejęła jego obowiązki. Bałam się, bo dzieci małe, mąż po wypadku, ale to nie trwało długo. Pan Bigus wrócił na swoje stanowisko i dopiero w 1974 roku odszedł na emeryturę a ja ponownie przejęłam kierowanie szkołą. Tak było przez dziesięć lat, chociaż ja lubiłam bardziej pracę nauczycielską, niż kierowanie szkołą. Wtedy ludzie mieli więcej dzieci, w niektórych rodzinach wychowywałam przez lata wszystkie po kolei. Znałam je, lubiłam, a oni mnie chyba też. Żyłam się z tym terenem, z rodzicami, do dziś dnia jest mi tu dobrze.

Maluchy wyjątkowo pokochałam, dlatego podjęłam studia w tym kierunku, bo z liceum miałam przygotowanie do języka rosyjskiego. Tutaj nauczyciel był do wszystkiego, już w drugim, czy trzecim roku dostałam pierwszą klasę; jak ja się obawiałam, prosiłam o pomoc doświadczonych nauczycieli, panią Dąbrowską na przykład. Najbardziej się bałam, gdy miałam wizytację, ale nie było źle, dostałam nawet wyróżnienie i to mnie pocieszyło, upewniłam się, że nie błędzę. Najmłodsi uczniowie odprowadzali mnie po lekcjach aż do stróżki.

Język rosyjski, to nie było wdzięczne, ale wrogów też nie było, to zależało od mojego podejścia. Kiedyś przyjechała do mnie na wizytację pani Matkowska z Kartuz i pyta, jak sobie radzę z tym problemem, czy nie mam trudności, bo widzi, że nie ma dąsów. Pyta, jak to rozwiązałam, że nie ma oporu. A ja powiedziałam to, co mówiłam swoim uczniom – że jest bardzo dobrze znać języki swoich sąsiadów, że w życiu zdarzają się różne okoliczności, w których znajomość obcego języka może nas wyratować z kłopotów. Jako przykład podawałam zdarzenie z mojego dzieciństwa, z czasów okupacji: ojciec pozwolił zamieszkać w naszym domu rodzinie aresztowanego przez hitlerowców proboszcza, był wśród nich bardzo wykształcony profesor i gdy zbliżały się do wsi wojska sowieckie, on napisał na tabliczce nieznanymi dla nas literami jakiś tekst i zawiesił to na ścianie domu, na zewnątrz. Potem dowiedziałam się, że tam było po rosyjsku napisane „tu mieszkają Polacy” i dzięki tej tabliczce nie zrobiono nam żadnej krzywdy.

Po ciężkiej chorobie, która w 1984 roku zmusiła mnie do przejścia na emeryturę, pszczoły mnie uzdrowiły. Jak mąż mnie po szpitalu pierwszy raz przyprowadził do pasieki, o własnych siłach nie mogłam stać. Ale patrząc jak mu trudno samemu robić to, przy czym kiedyś mu pomagałam, jakoś się doczłapałam do ula i starałam się mu dopomagać. Tam z dnia na dzień czułam, że dochodzę do sił, już ten szpital jakoś odchodził. Tego lata, a był czerwiec, gdy pierwszy raz po chorobie byłam u pszczół, pod koniec sezonu już miałam tyle siły, że pomagałam mężowi w wybieraniu miodu. Nie uwierzyłabym w to wcześniej. Korzystałam z wszelkiego dobra, które pszczoły produkowały: mleczko, kit, miód... Jednym z wielkich dóbr było samo wdychanie oparów, które się wydzielają po otworzeniu ula; ja czułam, jak wracam do sił. Po tylu lekarstwach – przy pasiece się odtrułam. Każdy dzień tam był więcej wart, niż w szpitalu. Pszczoły wtedy były moim lekarzem.

Pszczoły też mnie uspakajają. Ja się tych małych stworzonek wcale nie boję, one dają mi wiele spokoju. Pracuję zawsze przy pszczołach gołymi rękami; ubrana, jak jest gorąco, bardzo lekko. Nie mam lęku przed pszczołami; nawet jak mnie użądli, to biorę ją do ręki. To nie pszczoły znają człowieka, to człowiek musi znać się na pszczołach. Z mężem prowadziliśmy własną hodowlę, staraliśmy się zawsze dbać o to, takich sposobów używać, żeby pszczoły nasze nie były agresywne. One są tak sympatyczne i dobre, że mnie dały zdrowie i innym ludziom. Pozyskiwaliśmy miód, propolis i pyłek. Ale nie dla pieniędzy pracowaliśmy z pszczołami; mąż przed wielu laty uległ ciężkiemu wypadkowi i jemu też pszczoły pomogły wydźwignąć się z dolka.

A po śmierci męża, gdy czułam się bardzo nieszczęśliwa, one mi znowu pomogły. Od tych smutków odchodziłam, bo one mnie ratowa-

ły. Teraz ja musiałam wziąć odpowiedzialność za te wszystkie rodziny pszczele, a każda rodzina jest inna, trzeba poznać jej potrzeby. Bałam się sprzedawać te pszczoły komukolwiek, żeby ich nie zmarnowano. A sama przecież nie dałabym rady. Jeszcze jak mój mąż żył, poznaliśmy młodego człowieka, pana Ludwika, który był zainteresowany hodowlą pszczół i miał do nich dobre podejście. Jemu zaproponowałam, żeby przejął naszą pasiekę, a sobie zostawiłam niewielką część. Razem pracujemy i nawzajem sobie pomagamy; on mnie wspomaga w cięższych pracach, a ja jemu służę swoją wiedzą. Nabyłam ją od męża, trochę z literatury, a teraz przekazuję ją panu Ludwikowi. On mówi, że jest moim trzecim dzieckiem, a ja go napominam, żeby chętnie dzielił się swoją wiedzą o pszczołach z innymi, bo nie wszyscy tak robią.

